



WSZYSTKIE
BARWY
TĘCZY

BARTEK ZALEWSKI



INTEREBOOK.PL

© Copyright by Bartek Zalewski
Projekt okładki chatar
Rozpowszechnianie i kopiowanie całości
publikacji nie zabronione, jednak praca ta
nie może być sprzedawana.

[forum INTEREBOOK.PL](#)

„Wszystkie barwy tęczy” to debiutancka powieść Bartka Zalewskiego, który skorzystał z możliwości promowania siebie i swojej twórczości za pomocą Forum Literackiego Interebook (w skrócie IBK).

Młoda, zdolna architektka wewnątrz Marta Raczek ma jeden cel w życiu – za wszelką cenę osiągnąć sukces i zrobić karierę najszybciej jak się. Nie oglądając się na nic i na nikogo – po trupach dąży do wytyczonego celu. Do chwili kiedy jej życie zostaje postawione na głowie przez z pozoru nieistotne wydarzenie...

Motto:

„Ufam, że Ty ufasz iż ja - nie zaufam Tobie”

(fr. utworu „Emerald lies” Marillion w tłumaczeniu Tomasza Beksińskiego)

1.

Jest taka chwila, tuż po przebudzeniu, która określa jaki będzie przyszły dzień. To ulotny moment, jak przebłysk myśli czy narodziny idei. Powoli umysł budzi się do życia; jeszcze gdzieś w zakamarkach jaźni tli się sen, a ty już wiesz, czy będzie to dzień udany czy nie. Właśnie teraz, przez ułamek sekundy decyduje się to, czy najbliższe godziny będą przyjemne, czy tylko pasmem nieszczęść i piętrzących się trudności.

Marta wybudzała się powoli, jej umysł podpływał do świadomej egzystencji jakby opuszczał mgłę na oceanie. Jeszcze bodźce reagowały ospale, a to co rejestrowały, mózg przetwarzał na najwolniejszych obrotach, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Jakieś pojedyncze, oderwane na pozór od siebie retrospekcje pojawiały się w jej głowie, przypominając cały poprzedni dzień i noc. Obrazy przemykały zniemacka i jakby nie na temat.

„Ależ miałam dziwne sny” - pomyślała i uśmiechnęła się w duszy na przypomnienie o niektórych epizodów. Najpierw gdzieś tam za mgłą ujrzała siebie jak tańczy na stole w takt szalonej muzyki, potem ciemność i kolejna scena już w jej łóżku, ale nie sama, o nie! Na przypomnienie tej części snu, uśmiech wyrwał jej się pełną piersią i westchnęła z tęsknotą. No tak! Trudno się dziwić, że ma takie marzenia, skoro już od dość dawna się z nikim nie kochała. Te zmiany w firmie powodowały, że brakło czasu na sen i wypoczynek, a gdzie by tu myśleć o jakichś numerkach... Ale warto było!

Dostała samodzielny dział do kierowania i ekipę pracowników. Ciężko pracowała przez dwa lata na ten sukces, ale nareszcie się doczekała. Wczoraj oficjalnie zostało to ogłoszone. I w pracy rozpętała się mała, spontanicznie zainicjowana bibka. Co tam mała? Z każdą mijającą godziną i każdą wypitą flaszką rozrastała się niczym kula śnieżna. Jeszcze raz Marta przypomniała sobie te gratulacje i fety na jej cześć, wznoszone przez szefów i koleżanki w pracy!

Tak, popili na potęgę. Ale przecież po takim okresie stresu, trzeba było odreagować. I nawet Kamil - ten wstrętny, obrzydliwy, męski szowinista uściskał ją i prawie wydało się to szczere.

No, z Kamilem to darła koty od zawsze. Gdy tylko pierwszy dzień w pracy spotkali się przy automacie z kawą i zagadali do siebie, poczuli niczym niedającą się wyjaśnić bezinteresowną niechęć, która z czasem przeradzała się zaczęła w otwartą wrogość. Ich wzajemna rywalizacja, z początku zdrowa jako konkurencja, po pewnym czasie stała się chorobliwą, wypaczoną ambicją i przynosiła więcej szkody niż pożytku im samym. Więc w końcu zawarli niepisany i niemówiony pakt o nieagresji i tylko z dala powarkiwal na siebie po kątach.

W końcu ciężka praca Marty została dostrzeżona i dostała upragniony awans. Czekwała na to od lat. Już w szkole wiedziała, że musi być najlepsza i parła do przodu niczym rozpedzony czołg. Wszystkie środki były dobre, byle tylko dotrzeć do celu. Nie dziwota więc, że przyjaciół wokół niej nie było, bo tacy jak ona wzbudzali zazdrość i strach. Ale wrogów niszczyła lub omijała zręcznie przez lata liceum i studiów.

Koleżanek nie miewała, bo jej zazdrościły wiedzy i urody, zdziury jedne! A faceci tylko przeszkadzali w karierze; czasem spędzała noc lub kilka z jednym, a potem puszczała delikwenta na tratwie w dal! Jedyne do czego się nadawali to do seksu - a to nie zawsze. Jako zdolna projektantka wewnątrz szybko dorobiła się mieszkania i niezłego samochodu. Firma, która ją zatrudniła też na tym korzystała. I to jak jeszcze! Klienci rozchwytywali ją, bo miała niewiarygodne szczęście do gwiazd i bogatych zleceniodawców. Gdzieś tam głęboko marzyła, że kiedyś otworzy własny interes, ale na razie pracowała tam gdzie pracowała.

Z każdą chwilą Marta przytomniała. Sen odpływał w dal niczym wyspa spokojności. W ustach czuła delikatną suchość, co niedwuznacznie oznaczało kaca. Pierwszą świadomą myślą Marty było to, że świat od dziś piękniejszy jakby. Druga natomiast zgrzytnęła w głowie jak nóż po metalowym blacie: była całkowicie naga pod kołdrą!

Fakt, nie pamiętała jak się rozbierała do snu. Co tam snu! Nie pamiętała nawet jak dotarła pod drzwi swego mieszkania. Musiał jej się urwać film! Ale przecież nic dziwnego - po takiej balandze?

Wszystko to nic, głupstwo. Najważniejsze, że poranek zdaje się być wyjątkowo przyjemny. I o dziwo, pomimo tego ciężkiego okresu i wczorajszej popijawy czuła się dziś nadzwyczaj odprężona i wyluzowana. Całkiem jak po dobrym, intensywnym seksie...

Marta wciągnęła głęboko powietrze do płuc, by wypchnąć z trzewi wszelkie ponocne zaległości. Wyciągnęła ręce i przeciągnęła się zdrowo jak kotka. Nawet zamruczała jak ona. I nagle, całkiem nieoczekiwanie jej dłoń natknęła się na coś ciepłego i włochatego. Odwróciła gwałtownie twarz i zobaczyła, że łóżko dzieli z nią ktoś jeszcze. Ten ktoś cichutko pochrapywał przez lekko uchylone usta, co uświadomiła sobie z odrobiną zdziwienia, bo aż do teraz nie zdawała sobie z tego dźwięku sprawy.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pewne na pozór oderwane i bezsensowne obrazy zaczęły jej się układać w logiczną całość! I co gorsza – okazało się, że to nie był sen! Te nocne szaleństwa nagle stały się odległym, mrocznym; ale jednak wspomnieniem rzeczywistości, a nie sennego marzenia, jak się jej dotychczas wydawało. I pewnie to, co przypomniała sobie z tych nielicznych fragmentów imprezy w biurze, też miało miejsce w rzeczywistości.

„Ale odleciałam” - pomyślała gorzko. Zaczęła powoli się odwracać w stronę uspiętego kochanka, chcąc mu się lepiej przyjrzeć. „Kto to jest?” - ta jedna myśl zaczęła ją nurtować jak nie wiem co. Facet był odwrócony do niej plecami tak, że nie widziała twarzy, ale coś dziwnie znajomego kryło się w zarysie czaszki. No i te uszy! Już gdzieś je widziała, tylko u kogo?

Delikatnie się uniosła na rękach i usiłowała zaglądnąć przez ramię na śpiącego. Powoli zarysowywać się poczęła twarz nieznanego, chociaż tylko z profilu.

Ale Marcie wystarczył tylko rzut oka i nagle zrobiło jej się nieznośnie duszno.

„To nie może być prawda!”

Przerażenie pochwyliło ją za serce i trzymało w mocnym uścisku. Żołądek ścisnęło coś paskudnego i zaczęło ją mdlić na samą myśl, z kim spędziła ubiegłą noc.

„To niemożliwe!”

W jednej chwili wszystkie przyjemne doznania czmychnęły jak spłoszone ptactwo.

„A jednak było przyjemnie” - gdzieś bez jej woli zakołatała w głowie myśl. „Boże! Co za syf!” - Dorwał się rozsądek i pogonił wszystkie lubieżne skojarzenia.

Marta powoli, cichutko, by nie zbudzić broń Boże delikwenta, zaczęła wypelzać z pościeli. Nagie ciało owionął chłód, ale tylko ją to pobudziło do szybszego działania. Kiedy już znalazła się na dywanie, to błyskawicznie narzuciła na siebie szlafrok i, co wydało jej samej się lekko głupkowate, otuliła się nim szczelnie aż po szyję. „Pewnie, przecież nagiej to on cię nie widział.” - przemknęła przez głowę ironiczna myśl. Ale teraz to jakoś nie chciała

pokazywać mu się w tym negliżu. W ogóle nie chciała go widzieć, ale przecież to jej mieszkanie, więc musiała tu zostać. „I co teraz?”

Obudzić go, czy nie?

Pomału uczuciem dominującym stawała się galopująca panika, która powoli, nieubłaganie pełzła ku górze i stawała gulą w gardle.

„Co się do diabła wczoraj wydarzyło, żebyś poszła do łóżka i to właśnie z nim?”

Mężczyzna chyba podświadomie wyczuł, że jest sam w pośłaniu, albo że obserwują go intensywnie czyjeś napastliwie oczy, bo wyraźnie zaczął się wybudzać. Powoli otworzył oczy, odwrócił głowę i napotkał spojrzenie pełne mieszaniny złości, strachu i wątpliwości. W jego źrenicach zamigotały iskierki i ledwie zauważalnie się uśmiechnął.

„A to drań! Jeszcze się naśmiewa ze mnie!” - Marta prowadziła dalej bezgłośny monolog wewnątrz siebie.

Tymczasem on wrócił do rzeczywistości i rzekł całkiem miłym głosem:

- Dzień dobry!

Martą wstrząsnął dreszcz na dźwięk słów.

- Dobry? A co w nim kurna, dobrego?

Jeśli miał nadzieję na ciepły, przytulny poranek, to teraz przekonał się, że nic z tego.

- Mam nadzieję, że to był typowy gwałt pod wpływem alkoholu - Marta dalej atakowała.

- Gwałt? - Aż się uniósł na łokciu na te słowa. - Chyba, że z twojej strony. Bierna raczej nie byłaś...

- Kamil, ja nic nie pamiętam!

- I wcale się nie dziwię. Tyle wódy na raz!

- Powiedz mi, co się stało?

- Od początku?

- Nie, tylko jak się tu znalazłam!

- Przywiozłem cię taksówką i próbowałem położyć spać, ale w ciebie wstąpił demon.

Próbowałem cię powstrzymać, lecz ja także wypilem, no i stało się....

- Stało się?! Tylko tyle? - W Marcie furia osiągnęła apogeum.

Kamil gramolić się począł się z łóżka. Przez chwilę Marta chciała się na niego rzucić, ale powstrzymała się na widok nagości chłopaka.

„A więc to prawda! On też spał całkiem goły!”

- Mam nadzieję, że się zabezpieczyłeś?!

Kamil stanął przed nią w całej okazałości. Marta skonstatowała z wielkim zdziwieniem, że nie budzi w niej fizycznej odrazy, był zbudowany całkiem nieźle jak na faceta, a znała się na tym cokolwiek. Sypiała już z gorszymi kochankami, tak pod względem fizycznym jak i mentalnym.

- Prawdę mówiąc, nie było czasu...

- O czym ty, do cholery mówisz?!

- O zabezpieczeniu.

- Chcesz powiedzieć, że mnie przeleciałeś na żywcą?!

- Przeleciałeś? - W jego głosie pojawiła się niechęć i odraza. - Nie był to jednostronny seks Marta! Sprawiałaś wrażenie zadowolonej...

- Akurat!

Kamil zaczął się ubierać. W tym celu rozpoczął wędrówkę po sypialni w poszukiwaniu części garderoby. Leżały na podłodze, znacząc szlak prawie od samych drzwi wejściowych. I to nie tylko jego - jej różne kobiece fatalaszki i akcesoria też tam się znajdowały, co by nawet zgadzało się z wersją, którą jej podał.

„Ale ze mnie głupia, napalona idiotka!”

Kiedy już w stopniu dostatecznym skompletował ubranie i skończył się ubierać, odwrócił się do niej i rzekł:

- Słuchaj... Przepraszam, ale naprawdę sprawiałaś wrażenie, że wiesz co robisz.
- A pewnie, babka się upija, a ty myślisz, że działa rozsądnie pod wpływem alkoholu!
- Może i masz rację. Szkoda, że tak to postrzegasz, ale stało się i już tego nie zmienisz. W końcu jesteś dorosła!

Marta w odpowiedzi tylko prychnęła jak rozzłoszczona kotka.

Kamil sprawiał wrażenie zbitego psiaka, ale szybko się pozbierał.

- Słuchaj! Jeśli chodzi o to wydarzenie, to możesz być całkiem spokojna, chociaż nie użyłem prezerwatywy...

Marta machnęła ręką nie chcąc dalej tego ciągnąć.

- Powiedz mi tylko, gdzie mój samochód?
- Pod budynkiem firmy.

I jeszcze to! Będzie musiała dziś pojechać po auto.

„Cholera, co za dzień!”

- Wiesz co? Idź już sobie!

Kamil przystanął na chwilę i zrobił ruch jakby chciał ją objąć, lecz Marta podniosła w obronnym geście obie dłonie.

- Jak chcesz. - W jego głosie czuć było wyraźną urazę. - Ale powiem ci, szkoda Marta...
- Czego?
- Nic, już nic...

Po chwili już go nie było w mieszkaniu.

Dopiero teraz Marta przysiadła na brzeжку łóżka i łyzy pociekły wartką strugą po twarzy. Co za upokorzenie! Z jednej strony świetny awans, a z drugiej coś takiego! Pewnie los jej to zafundował tak dla równowagi. No nic, nie bolała nad faktem, że spała z facetem tylko, że to był on - Kamil. W zasadzie, to nic wielkiego się nie stało. Tylko tak dziwnie gorzko w ustach... Że też ze wszystkich szaleństw musiała popełnić to jedno akurat z nim! Jest silna, jakoś da sobie radę, ale te kolejne dni w biurze będą mordęgą, to pewne.

Udała się do łazienki, wzięła prysznic, który ją doprowadził do równowagi psychicznej, machnęła delikatny makijaż (w końcu to sobota i nie musi iść do pracy) i ubrała się. Zaparzyła sobie kawy i na poczekaniu wychyliła dwie filiżanki. Tak po prawdzie, to chętnie by zapaliła, ale przecież rzuciła to cholerstwo jakiś czas temu. Nawet nie miała jednego papierosa, więc tylko splukała chęć nikotyny kolejną dawką kawy. Kofeina zatańczyła w żyłach i pobudziła komórki do myślenia.

Auto! Trzeba pojechać po nie do firmy. Nie miała ochoty tłuc się autobusami miejskimi, więc zadzwoniła po taryfę. Odczekała kwadrans i na głośny klakson za oknem, narzuciła płaszcz, wzięła torebkę i już była w taksówce. Podała adres kierowcy i rozparła się na tylnym siedzeniu.

Myśli popłynęły gdzieś dalej, umysł w geście obronnym szukał jakichś pozytywnych stron tej sytuacji. Popełniła piramidalne głupstwo, ale to jeszcze nie koniec świata. Musi tylko się wziąć w garść i zabrać ostro do pracy. Kilka dni i zapomni o tym incydencie. Jak wpadnie w wir zajęć, to przestanie być dla niej takie straszne. A przecież zajęć jej nie zabraknie, o nie! Jest w końcu teraz szefową całego działu, będzie musiała pilnować mnóstwa rzeczy, bo przecież ci jej współpracownicy, pożałuj Boże niemoty. Wszystkiego będzie musiała dopilnować sama - tyle projektów spadnie na nią, tyle rzeczy do obgadania, tyle poprawek do naniesienia, tyle spraw do załatwienia.

Ale ona to lubi. Taki jest jej świat. Uporządkowany, pracowity, bogaty w spotkania i projekty do nakreślenia. Świetnie dawała sobie radę! I dlatego dostała awans. Doceniono jej umiejętności i jej zalety. W gruncie rzeczy wiedziała, była o tym przekonana, że sukces jej jest przypisany jak katar do nosa. Jak się ciężko pracuje, to profity same do człowieka przychodzą. Była tego pewna. Mierziły ją ciągle utyskiwania i narzekania znajomych. Za mało wkładali wysiłku w to co robią. I nic poza tym. Wystarczy trochę większe

zaangażowanie i cię zauważą. Wszędzie. Nieważne, czy jesteś dyrektorem czy kasjerem w markecie.

Taką miała filozofię życiową i już. I co najważniejsze, to się sprawdzało. Przynajmniej w jej przypadku.

Dla niej cała reszta świata to i tak tło, o tyle użyteczne jeśli mogła je dla siebie wykorzystać. Otoczenie należało ugniatać dla własnych potrzeb, a gdy się nie udawało, to trzeba jak najszybciej ominąć takie nieprzyjazne środowisko. To był jej sposób na życie, sposób na karierę, sposób na wszystko. Wzrastała w przekonaniu, że dopóki człowiek jest asertywny, nawet za wszelką cenę, to można wybaczyć każdą podłość, byle tylko być na wierzchu. Nie tolerowała przegranych złamasów, byli nic nie warcu. Nie sprawdzili się. Dla niej bez żadnej wartości: ani się nie dało ich wykorzystać, ani tym bardziej naśladować. To jej pojmowanie definicji asertywności także było znamienne i typowe dla wyścigu szczurów, w którym z taką lubością uczestniczyła przez całe niemal swoje dotychczasowe życie.

Nawet nie zauważyła jak dotarli pod budynek firmy. Zapłaciła kierowcy i na lekko drżących nogach podeszła do drzwi wejściowych. Co prawda była dziś sobota, ale ochrona nie zamknęła ich na amen. Często ktoś pracował po godzinach, choć pewnie teraz to nikt nie był w stanie na niczym się skupić. I dobrze, bo strach pomyśleć ile by trzeba nanieść poprawek po takiej pracy. Do jakiegokolwiek projektu.

Siedziba firmy mieściła się na trzecim piętrze. Pamiętała, że kiedyś były to tylko dwa pokoje, z czasem rozpełzli się po piętrze jak grzyb, wyparli kilka innych firm, przejęli ich biura, zawładnęli kondygnacją. Jeszcze trochę i pewnie będą musieli przenieść kilka oddziałów na inne piętro. Marta była dumna z tego, gdyż całkowicie zdawała sobie sprawę, że i jej wkład w rozwój miał przełożenie na to jak wielka to była firma. Że część jej harówki, i to ogromna część, to jej zasługa. Na razie starczała - świadomość, że ją doceniają. W taki czy inny sposób. Na razie... Ale gdzieś tam w najgłębszych pokładach ambicji tlił się zalążek ognia, pragnienia wypłynięcia na szersze wody.

Ale na to przyjdzie jeszcze czas. Trzeba poczekać, grunt to cierpliwość. A ona potrafiła czekać i przygotowywać się do dalszych posunięć.

Marta wysiadła z windy i przeszła korytarzem pod wejście na piętro.

Oczom ukazał się widok, który tylko w przybliżeniu mówił, co się tutaj wczoraj działo. Sprzątaczkę jeszcze się nie uporały z tym bałaganem. Wszędzie pełno było pustych butelek, kubków i najprzeróżniejszych gadżetów imprezowych. Istne pobożowisko. Tu i ówdzie walały się części garderoby - można było tylko zgadywać w jakich okolicznościach właściciele tych rzeczy się ich pozbyli. Jakieś zapalniczki, szminki, zmięte paczki papierosów; ale również wciśnięty w kanapie staniczek, pończoszki, pojedyncze pantofelki, aż strach pomyśleć, co się walało na dywanie. W sali konferencyjnej wielki stół, przy którym zawsze toczyli spory na tematy projektów, był zawalony talerzami, resztką kanapek i zagryzek, porzuconymi butelkami i kubkami.

Marta stała zniesmaczona w drzwiach i z narastającą odrazą kontemlowała ten dowód bałangi. W sumie, po co to wszystko ogląda? Przecież miała wziąć auto z parkingu, niepotrzebnie tu przychodziła. Zrobiła to bezwiednie, odruchowo jak koń w kieracie, nogi same się skierowały do biura choć to sobota, dzień wolny.

Za chwilę przyjdzie ekipa sprzątająca i uprzątnie ten bajzel, a w poniedziałek rozpocznie się kolejny dzień pracy. I tylko w pamięci pozostaną jakieś strzępki, z czasem na ich przypomnienie będzie się uśmiechać. Była tego pewna...

Postanowiła wrócić do domu i jakoś poukładać resztę skołatanej duszy. W końcu to tylko kac moralny po nocy spędzonej z kimś takim jak Kamil. Wszystkie nieprzyjemne i złe rzeczy prędzej czy później wychodzą na dobre, chociażby w formie doświadczeń, które da się wykorzystać jako źródło nauki i wsparcia.

„Co cię nie zabije, to cię wzmocni” - przemknęło przez głowę Marcie zasłyszane dawno temu powiedzenie.

Odwróciła się od tego rozgardiaszu i w tej samej chwili otwały się drzwi z łoskotem i do holu wtargnęła z impetem koleżanka z innego działu.

- O, cześć!

Agnieszka wyglądała jak półtora nieszczęścia, widać że i ona miała całkiem udaną noc; cokolwiek robiła, wyczerpało to jej siły na tyle, że rano bardziej przypominała zombie niż człowieka.

- Witaj - Marta przypatrywała się przybyłej z delikatnym zainteresowaniem i niejaką radością, bo przecież ona aż tak źle się nie prezentowała tuż po przybyciu.

- Ależ wczoraj daliśmy czadu! - Agnieszka gestem ręki ogarnęła ten swoisty pejzaż.

Marta tylko mruknęła coś w odpowiedzi. Nie знаła zbyt dobrze Agnieszki, która szefowała działowi zieleni i miały ze sobą tylko sporadyczne kontakty. Tak naprawdę, to ograniczały się do zdawkowych pozdrowień i krótkich, rzeczowych wypowiedzi podczas nielicznych spotkań w sprawach firmy. Czasem pracowały nad tym samym projektem. I tyle.

Agnieszka zaczęła kurs po biurze i wylawiała, co rusz jakiś drobiazg czy bibelot ze zręcznością, która wskazywała, że robiła to nie po raz pierwszy.

Dotychczas Marta omijała szerokim łukiem wszelkie imprezy firmowe; raz dla tego, że uważała to za najzwyczajszą stratę czasu, dwa - bo nie miała tu przyjaciół. Tak naprawdę to nawet nikt jej nie zapraszał, a ona nigdy nie zabiegała o tego rodzaju znajomości. W jej przekonaniu nic dobrego z tego nie wynikało, przysporzyć mogło tylko kłopotów i niepotrzebnych efektów ubocznych w postaci różnych takich wstydliwych wydarzeń. To podobno po takiej popijawie Kamil się rozwiódł...

„A skąd mi to przyszło na myśl?” - Marta w duchu ofuknęła się. „Cholera jasna, jeszcze ta sprawa z Kamilem” - druga konkluzja wprawiła ją w jeszcze gorszy humor.

Tymczasem Agnieszka zakończyła gromadzenie zagubionych drobiazgów i stanąwszy przed Martą rzekła:

- Ale z ciebie ziółko!

- Co proszę?

- Nie udawaj! Na co dzień zimna, niedostępna zdzira, a wystarczyło parę kropel gorzały i oto stajesz się...

- Kim się staję? - Spokój w głosie Marty przypominał odgłos deptanego szkła.

- Nie gadaj! Nic nie pamiętasz? A ten taniec na stole, w konferencyjnym?!

Marta teraz przypominała sobie, że o czymś takim śniła wczoraj w tym pijackim śnie pełnym zwidów i nieprawdopodobnych zdarzeń. A więc nie wszystko to było snem? A co jeśli wszystko, ale to absolutnie wszystko jest prawdą?

A Agnieszka, jakby znajdując w tym szczególną przyjemność trajkotała dalej:

- A powiedz mi, jak tam Kamil?

- Co Kamil?! - Marta miała dość tej pogadanki.

- Tylko nie udawaj niewiniątka! Zarwałeś najfajniejszego faceta. Dobry jest?

Marta aż się zachłysnęła oburzeniem.

- Dobry?! A w czym?

- No nie mów, że do niczego nie doszło! No powiedz, jaki jest w łóżku?

- A skąd mam wiedzieć? - Na przypomnienie wydarzeń ubiegłej nocy, nagły przyływ krwi oblał jej twarz gorącą falą.

Agnieszka popatrzyła na Martę uważnie i po chwili wyduła wargi w ironicznym grymasie.

- Jak nie chcesz, to nie mów.

- Nie zadaję się z takimi facetami - nie wiadomo dlaczego, ale Marta uważała za stosowne się tłumaczyć.

- Ależ tak, to jasne - Agnieszka przybrała swój głos szczyptą złości. - Ty się nie zadajesz z nikim!

Marcie jakby ktoś wymierzył policzek. Tym dotkliwszy, że przecież prawdziwy.

- A co ci się w nim nie podoba?

- Wszystko! A najbardziej to, że zawiódł kobietę...

- Kobietę? Bo się z nim rozwiodła?!

- Bo go przyłapała na zdradzie! - Marta prawie to wykrzyczała.

Agnieszka popatrzyła na swoją rozmówczynię z wyraźnym pobłażaniem.

- Nic o nim nie wiesz!

Marta wzruszyła ramionami:

- I nie chcę wiedzieć.

- To dobrze. Jest dla ciebie za dobry. Nie zasługujesz na niego.

Po czym odwróciła się i wyszła z biura.

Marta została sama. Cała ta rozmowa rozdrażniła ją jeszcze bardziej. Ale jeśli się dobrze zastanowić, to była kontynuacja kiepskiej passy w tę sobotę. Miała tylko nadzieję, że gorzej już być nie mogło.

Postanowiła wreszcie pójść do samochodu i pojechać do domu albo inne miłe miejsce, które spowoduje, że zapomni o tej nocy i tym poranku.

W drzwiach rozminęła się z pracownikami firmy sprzątającej, ale wymieniła z nimi tylko zdawkowe „dzień dobry”. Tacy ludzie dla niej nie istnieli, przynajmniej nie jako partnerzy do rozmów. W mniemaniu Marty niektórzy ludzie byli stworzeni na służbę innym. Skoro nie starczyło im cierpliwości i samozaparcia do nauki i nie mieli żadnych talentów, które da się zamienić na pieniądze, to jedyne co mogli zrobić to nająć się do czynności serwisowych. Ta pogarda maluczkich to część jej filozofii życiowej. Sens wszystkiego co robiła. Jeszcze się nikomu nie śniło w Polsce o ruchu yuppie, a ona już była przygotowana mentalnie na przyjęcie tej swoistej religii. Kiedy dorosła, dała się wchłonąć temu stylowi życia. Podczas tych kilkunastu lat dorastania i nauki przymierzała kolejne hasła jak ciuchy i w końcu zaakceptowała, że kariera i pogoń za zyskiem, to jest to, co jej odpowiada najbardziej. Paradoksalnie Marta przeobraziła się w koszarne połączenie kołtuńskiej mentalności katolika i osoby wyzwolonej. Bo przy całym tym gonieniu za pieniądzem, pozostała w głębi osobą głęboko osadzoną w korzeniach małomiasteczkowej społeczności. Bo z jednej strony seks przedmałżeński, a z drugiej oburzenie na zdradę małżeńską i dziwnie w tych okolicznościach brzmiąca maksyma, że jednak model rodziny to matka, ojciec, dzieci i te wszystkie trywialności dnia codziennego, z którymi się boryka świetna większość ludzi, a którymi tak głęboko Marta pogardza.

Marta doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nic od rodziców nie dostanie jeśli będzie żyła w nieformalnym związku i choć tak naprawdę niczego nie potrzebowała, to jednak gdzieś tkwił w niej żal, że mogłoby się to wszystko zmarnować. Wszystko, co zgromadzili jej rodzice.

Już dawno się pogodziła z faktem, że ma podwójną moralność, ale mieściło się to w granicach jej skali tolerancji dla samej siebie. Wybielała przed samą sobą swe wady, usprawiedliwiała każdą podłość lub tłumaczyła sobie, że inni też tak robią. W gruncie rzeczy wszystko dało się usprawiedliwić moralnością Kalego. Za wszelką cenę starała się znaleźć swoje miejsce w tym świecie, wmawiała sobie, że musi być tak samo drapieżna i bezwzględna jak wszyscy dookoła, bo tylko wtedy coś osiągnie. Bo tylko wtedy do czegoś dojdzie. Bo tylko wtedy będzie szanowana. Choćby był to szacunek poprzez strach. Wady przekształciła w zalety, zalety wypchnęła na obrzeża charakteru i tak uzbrojona ruszyła na podbój świata. I doszła aż tutaj. Wszystko, co osiągnęła zawdzięcza sobie, swym zdolnościom i determinacji. Odwróciła skalę wartości i tak długo ją zmieniała, aż pasowała do stylu jej postępowania. Od tego momentu wszystko zaczęło się układać według jej oczekiwań. A

nawet jeśli coś szło nie po myśli, to wystarczyło lekko wyskalować hierarchię wartości i było dobrze. Zachowaniem Marty kierowała prosta zasada: jeśli się nie dało czegoś zaakceptować, to należało to obejść lub zignorować.

Dotarła wreszcie na parking i wyciągnawszy kluczyki z torebki podeszła do swego nissana. Zapaliła silnik i z gracją, która cechuje tylko kobiety za kółkiem, odjechała w kierunku mieszkania. Ruch w mieście był minimalny, sobota to czas rodzinnych nasiadówek. Być może później, po południu, niektórzy wyruszą na zakupy szlakiem marketów, ale teraz jeszcze albo spali, albo dopijali spóźnioną poranną kawę po śniadaniu.

W tempie szybszym niż zwykle Marta dotarła do domu.

Dla odmiany zaparzyła sobie herbaty i po wypiciu kilku łyków, co wpłynęło na nią niezwykle kojąco, zaczęła sprzątać mieszkanie. Rytuał ten pozostał jej jako dziedzictwo po mieszkaniu z rodzicami. Sobotnie porządki, to było coś więcej niż tylko obowiązek, to był uświęcony od wieków obrządek, który scalał ze sobą rodzinę w weekend. Choć wtedy tak się na te dni wolnego jeszcze nie mówiło. Te przekomarzania się domowników, te śmiechy i kpiny, dowcipy i poważne rozmowy w trakcie czynności, które miały na celu doprowadzić dom do stanu przyzwoitości budziły w Marcie tęskne westchnienia. To były wspaniałe czasy. Mama krzątała się w kuchni i zawsze pichciła coś pysznego na niedzielny obiad z obowiązkowym ciastem do kawy, a ojciec naprawiał wszystkie usterki jakie się wydarzyły w ciągu tygodnia, a na które nie było czasu na co dzień. Był czas na opowieści co w pracy i w szkole. Był czas na telefony do znajomych i rodziny.

Marta nie raz uświadamiała sobie, że wbrew temu, iż coraz więcej środków jest po temu, by być bliżej siebie (te wszystkie komórki, maile), każdy ma samochód, w końcu wszędzie stacjonarny telefon, to tak naprawdę oddaliliśmy się od siebie dalej i skuteczniej niż kiedyś to bywało. Teraz, pomimo możliwości kontaktowania się ze sobą niemal w każdych warunkach, nie starczało czasu i chęci. Im bliżej technika nas łączyła, tym dalej odsuwała nasza nieufność i zmęczenie.

Po ciężkim dniu Marta jakoś nie miała ochoty jeszcze dowiadywać się, że u znajomych (tych nielicznych, których miała) czy rodziców jest równie źle czy ciężko. Nie chciała innym przekazywać swych frustracji, ale co ważniejsze ona sama nie miała najmniejszej ochoty angażować się w problemy innych, nawet swoich rodziców. No bo skoro nie dzwonią, to znaczy, że wszystko w porządku. Tak myśleć było znacznie wygodniej niż przekonać się czy tak jest rzeczywiście. Ograniczała się do zdawkowych esemesów lub krótkich, coniedzielnych telefonów do rodziców. Czasem, od wielkiego święta odwiedzała swój rodzinny dom, natomiast rodzice u niej nie byli już od bardzo dawna. Co zresztą jej specjalnie nie przeszkadzało. Nie wszystko mogłoby przypaść do gustu starym, a tak byli nieświadomi pewnych rzeczy, wiadomo: czego oczy nie widzą...

Na sprzątaniu i rozmyślaniu o dawnych czasach Marcie minął niezły kawałek soboty. Potem się zdrzemnęła, bo noc nie sprzyjała wyczynkowi, jak się okazało.

2.

Przez kilka następnych dni życie nabrało tempa tak potwornego, że ledwie się budziła, to już był czas na sen. Sypiała krótko, ale intensywnie. Ale dział, któremu teraz przewodziła zaczynał z wolna nabierać takiego kształtu jakiego sobie życzyła.

Miała pod sobą cztery osoby, w tym jedną stażystkę. Już na początku wyłożyła im swoje cele i zadania, które ich czekają. Nikt jednak nie zgłaszał swoich obiekcji, więc zagnała wszystkich do tytanicznej pracy. Sama też się nie oszczędzała, pierwsza była w biurze i ostatnia gasiła światła. Zapomniała o tej całej historii z Kamilem. Jeśli była obiektem drwin lub jakiegoś niezdrowego zainteresowania z związku z tą imprezą, to z daleka, bo do niej nie docierał żaden głos. Zresztą specjalnie jej to nie interesowało.

Miała pełne ręce roboty. Najpierw rozpoznała swych współpracowników i porozdzielała zakres prac według umiejętności i zaangażowania. Pod jej fachowym okiem wszystkie zlecenia były realizowane w terminie. Szef zostawił jej wolną rękę jak się obchodziła z pracownikami. Wiedziała, że dopóki nikt z klientów się nie skarży, dyrekcja nie będzie ingerować w jej styl zarządzania. Podwładnych trzymała na dystans, ale starała się sprawiedliwie rozdzielać pochwały i zachęty, adekwatnie do tego co robili. W zasadzie bez większych zgrzytów zespół wdrożył się w tryby maszyny i pomału zaczynała zauważać, że coraz mniej wymagało tego, by osobiście musiała nadzorować prace.

Mogła sobie czasem pozwolić na wypad na przerwę obiadową do miasta, a przerwy na kawę nie musiały być parosekundowe. Niepostrzeżenie zaczynała dostrzegać wszystkie te przyjemne aspekty bycia szefową. Co prawda, nie zapomniała, że jeszcze nie tak dawno ona sama ślęczała nad deskami kreślarskimi i przy programach komputerowych, ale już wystarczyło teraz, że od czasu do czasu tylko dyskretnie poprawiała ten czy inny detal. Wystarczał czasem jakiś gest czy ostrożna uwaga i natychmiast nanoszono korekty. Była z siebie w pełni zadowolona. Tym bardziej, że podwładni wykazywali nie tylko chęć do nauki, ale sami także przejawiali niezwykłą kreatywność tak, że mnóstwo ich pomysłów realizowano bez zmruczenia okiem. To dawało im poczucie, że uczestniczą w tworzeniu, a nie tylko ślepo wykonują czyjeś polecenia. Potrafiła ich słuchać i oni wiedzieli, że cokolwiek powiedzą, Marta to przemyśli. A że wiele z tych pomysłów było naprawdę niezłych, to dlaczegożby nie zrealizować tego?

Pomimo tego, że każde z nich pracowało nad innym projektem, to pomagali sobie nawzajem i radzili się jedni drugich w kwestiach dla siebie niezrozumiałych lub tam, gdzie umiejętności były mówiąc ogólnie - za krótkie. A ona nad tym wszystkim czuwała i interweniowała w naprawdę poważnych sprawach. Starła się być dla swych podwładnych przełożonym surowym i wymagającym, ale również pokazywać, że ich ceni i lubi jak puszczają wodze fantazji, bo to tak naprawdę działało na korzyść wszystkich. Oczywiście nie pozwalała przekraczać pewnych granic, to w końcu ona tu była szefem działu, ale jednocześnie dla każdego miała czas i wysłuchała tego, co miał do powiedzenia. Dzięki temu osiągnęła to, że załoga pracowała w zgodzie i w tempie jaki pozwalał kończyć prace na czas. I tak miały kolejne tygodnie.

Któregoś ranka przy automacie z kawą spotkała swoją stażystkę, Julię. Wymieniły standardowe grzeczności, ale Marta wyczuła, że dziewczyna jest dziwnie przygaszona i bez humoru. Przypomniała sobie również, że Julia zalega nieznacznie z projektami, nad którymi teraz pracowała. Co prawda opóźnienie nie było poważne, ale nie można było tego tak zostawić. Marta uznała, że delikatna interwencja nie zaszkodzi.

- Jak tam? Wszystko gra?

Julia wybełkotała coś na kształt potwierdzenia do kubka z kawą. Ale wzrok wbiła gdzieś w dolne partie swych nóg.

- A co ze zleceniem profesora Zawiłę?

Julka przez chwilę stała nieruchomo jakby nie dosłyszała pytania.

- Julia?

- Słucham? - Dziewczyna sprawiała wrażenie nie do końca obudzonej.

- Pytam o profesora Zawiłę. Skończyłaś już ten jego salon?

- Prawie...

- Prawie? Słuchaj Julia, terminy mamy napięte.

- Wiem, robię co mogę - w głosie stażystki pobrzmiwały nuty płaczu. - Dzisiaj dokończę.

- To dobrze.

Julia się odwróciła na pięcie i poszła do sali, w której wszyscy pracowali. Przez dłuższą chwilę Marta odprowadzała ją wzrokiem z uczuciem, że jednak coś jest nie tak! Po czym sama się udała do swego gabinetu. Klitka co prawda mieściła z trudem biurko, parę szaf i

regalów oraz krzesło dla interesanta, ale była jej własna! Miała samodzielne biuro, choć nie był to szczyt marzeń. Przechodząc obok sali gdzie cztery głowy zgodnie wpatrywały się w swoje wykresy, wyłowila okiem tego, którego zamierzała poprosić do swego gabinetu. Mariusz, jej cichy pupilek, z zapałem walił w klawiaturę palcami, wydając polecenia programowi z prędkością tylko niewiele mniejszą od prędkości światła.

Na moment wszyscy przerwali pracę, by jak na komendę zakrzyknąć:

- Cześć, szefowa!

- Witajcie - jej odpowiedź już poszła w przestrzeń, bo nikt nie czekał na reakcję. Wiedziała dobrze, że tu czas nie był marnotrawiony. W duchu pogratulowała sobie takich współpracowników.

- Mariusz! Wejdz proszę do mnie na sekundę.

Nie odrywając wzroku od monitora Mariusz odpowiedział pytaniem:

- Teraz?

Odrobina irytacji przemknęła Marcie przez głowę na ten przejaw niesubordynacji.

- Natychmiast!

I nie czekając na dalszy ciąg pokazała reszcie plecy.

Jeszcze zanim usiadła w swoim fotelu i postawiła kubek z wystygłą kawą na biurku, to w drzwiach stał już karnie Mariusz z miną przykładowie skruszonego.

- Zamknij drzwi!

Zamknął.

- I usiądź.

Usiadł.

„Zupełnie jak w wojsku” - pomyślała Marta.

- Jak się posuwają prace?

Tylko ułamek sekundy zajęło Mariuszowi poskładanie raportu w głowie:

- Bartek już się uporał z tym cholernym patio prezesowej, Daria kończy właśnie hol Bartkowiaka, Julia zabrała się do sypialni tych dwojga młodych milionerów, a ja przerabiam po raz nie wiem, który ten pokój dzienny...

- Dyrektor Anielewicz znów zmienił zdanie?

- Jak tak dalej pójdzie, to nic z tego nie będzie. Co rusz ma inne zachcianki...

- Dobra, rzuć na to okiem. - Marta wiedziała, że jak powie Anielewiczowi, iż to jej projekt, on to przyjmie bez zmruczenia powiek.

Zapadła cisza. Mariusz siedział przed nią i pytająco uniośł brwi.

- Podobno Julia ma jakieś opóźnienie?

Odchrząknął, by pokryć swoje zmieszanie i odrzekł:

- Drobne problemy. Ale się już uporała z tym.

- Naprawdę? - patrzyła na niego niczym wąż na ptaka, którego zamierza połknąć.

Doskonale sobie zdawała sprawę, że choć świetnie im się pracowało, to jednak wszyscy czują przed nią respekt. I właśnie teraz Marta to z premedytacją wykorzystywała:

- Jesteś tego pewien?

Chłopakowi oczy się rozbiegały jak stadko spłoszonych królików i pobladł nieco na twarzy:

- No, ja...

Głos mu uwiązł w gardle.

„Dobry z niego kumpel” - pomyślała Marta, a głośno rzekła:

- Wiem, że Julia ma jakiś kłopot.

Wyraźnie mu ulżyło.

- Powiedz mi tylko, czy to problem z projektem, czy jakiś prywatny dramat?

Ponownie stał się spięty i czujny.

- A rozmawiałaś z nią? - pozwolił sobie na zadanie pytania.

- Rozmawiam z tobą!

- Ja nic nie wiem - zbyt szybko udzielił tej odpowiedzi. - Wiem tylko, że prywatne sprawy mają wpływ na pracę...

- Kłamczuch! - z zupełną perfidią rzuciła mu to oskarżenie w twarz.

- Kto?! Ja? - Tym razem już poszedł na całego. Choć mu to całkiem nie wychodziło, grał rolę niewiniątka, na które ktoś pozwolił sobie puścić obrzydliwie niesłuszne pomówienie.

- No dobra, spadaj!

Poderwał się ochoczo, co kazało sądzić, że wie niejedno. Jednakże skwapliwie korzysta z możliwości nie mówienia, nie wdając się w dywagacje skąd ten nagły obrót sprawy. Już w drzwiach osadziło go na miejscu władcze:

- Mariusz!

Odwracał się z determinacją w oczach.

- Tak?

- Dobry z ciebie kolega...

- Dzięki.

- Przyślij mi tu Julkę.

Otworzył usta jakby zamierzał coś powiedzieć, ale się rozmyślił i rzekł tylko:

- Dobrze.

I rozplynął się tak szybko, że nawet nie zdążyła tego sobie uzmysłwić. Szybki uśmiech przemknął jej przez usta. Oto jej szkoła! Imponował jej ten dryg iście wojskowy u podwładnych.

Z rozmyślań wyrwało ją pukanie do drzwi.

- Proszę.

Nieśmiało wsunęła się do środka wezwana Julia. Czowała, że szefowa ma do niej pretensje i bała się tej konfrontacji. Wprawdzie nie tak dawno temu rozmawiała z nią na korytarzu, ale jak widać nie przekonała Marty, że panuje nad sytuacją. A do tego najpierw Mariusz poszedł na dywanik, a teraz ona. Julia dobrze wiedziała, że Mariusz ma plecy u szefowej i była przekonana, że rozmowa, która się odbyła przed chwilą dotyczyła właśnie jej. Być może coś tam szepnął, choć nie sądziła Mariusza w ten sposób, ale być może się myliła... W końcu nic o nim nie wiedziała. Ona była tylko na stażu i najbardziej z nich wszystkich zależała od Marty - w każdym aspekcie. A że zawodziła, to przecucia nie były dla niej zbyt przyjemne. Znała doskonale opinię jaką się cieszyła Marta i to nagłe wezwanie było dość złowieszcze. Stała na środku gabinetu i czekała na pierwszy cios.

Marta rozkoszowała się tą chwilą, a później, gdy już jej ego dostatecznie zostało zaspokojone spojrzała na stażystkę i przesadnie uprzejmym tonem głosu zadała pytanie:

- Julka, jak tam projekt?

- Przecież rano się pytałaś? - Julia drżącym głosem odpowiedziała pytaniem.

- Jeśli będę chciała, to pytać cię mogę co chwila? Jasne?!

- Tak, przepraszam... - skrucha w głosie Julii była prawie namacalna.

- No więc? - Marta ani na moment nie zamierzała odpuścić.

- Mam małe opóźnienie.

- To wiem. Ciekawi mnie tylko dlaczego?

Wyraźnie zmieszana dziewczyna wbiła wzrok w wykładzinę i zacinając się odrzekła:

- Cóż... mam kiepski okres... Złe się czuję.

- Jesteś chora?

- Nie wiem - wyszeptła zalekniona Julia.

Ze sporym zdziwieniem Marta ujrzała jak po policzkach Julii ciekną łzy. Może i była jędzą, ale jednak coś tam w Marcie pozostało jeszcze z tej dziewczyny, która dobrze rozumiała problemy młodych. Sama w końcu nie była aż tak stara. Raptem dobiegała trzydziestki.

- Siadaj!

Julia posłusznie usiadła, ale mimo usilnych starań, łez nie udało jej się powstrzymać.

Marta odchrząknęła i rzekła:

- Słuchaj, Julia! To nie moja sprawa i normalnie bym cię nie pytała, ale ten projekt jest dla nas bardzo ważny i wszystko co ma wpływ na jego realizację nie jest mi obojętne...

- Wiem, że cię zawodzę - Julia poprzez płacz wtrąciła zdanie. - Ale...

- Nie zawodzisz, tylko nawalasz. I chcę wiedzieć czemu?

Niestety, jedyną reakcją był tylko intensywniejszy płacz. Sprawa wydawała się beznadziejna. Marta nauczyła się radzić sobie sama, więc taka otwarta niemoc ją irytowała, ale także - i to ją zdziwiło nawet bardzo - obudziła pewne onieśmienie i odrobinę współczucia. Poczwała nawet trochę złości na Julię, że wydobyła i obudziła pewne dawno ujarzmione uczucia; uczucia, które jako okazy słabości usunęła w cień.

Sięgnęła po pudełko chusteczek i wyciągnęła jedną w kierunku płaczącej.

- Dziękuję - wymamrotała Julia.

- Weź się w garść! Nie pomogę ci, jeśli nie wiem w czym tkwi problem.

W odpowiedzi usłyszała tylko głośne smarkanie. Ale to oznaczało, że udało jej się uspokoić tę histeryczkę. Chociaż odrobinę.

- Kiedy nie wiem, od czego zacząć...

Marta obawiała się, że jak jej zaproponuje „od początku”, to ugrzęzną w długie tyrady wyjaśnień i dygresji. Na tyle znała usposobienie dzierlatek, by wiedzieć, że tego typu rozmowy mogą się ciągnąć przez nieskończenie długie godziny i nie prowadzić do żadnych konstruktywnych wniosków.

- Zaczynj od początku - głos Marty był wyprany z wszelkich barw.

Julia znęcała się chwilę nad kawałkiem bibuły, który trzymała w rękach. Znać było, że za moment się przełamie. Marta odrobinę się tego obawiała, z ust dziewczyny mogło wychynąć cokolwiek, coś na co nie była przygotowana zupełnie.

- Chyba jestem w ciąży! - z piersi Julii wraz z tym wyznaniem wyrwało się głębokie westchnienie, takie jakie towarzyszy z reguły uwalnianiu wielkich, ciężkich tajemnic. Westchnienie ulgi.

- Wielkie nieba! - Marcie wymknęło się stwierdzenie, które niekoniecznie było właściwe. - W ciąży?

- No, nie jestem pewna - uściśliła Julia, jakby to miało cokolwiek zmienić. - Okres mi się opóźnia...

Marta machnęła lekceważąco ręką:

- Mnie się spóźnia ciągle. Teraz też się nie spieszy... - Aż była zdziwiona, że pozwoliła sobie na takie spoufalenie z podwładną. - To wynik stresu.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że w oczach Julii pojawiły się błyski nadziei.

- Byłaś u lekarza?

Julia splonęła rumieńcem:

- Nie.

- Chyba się nie wstydzisz?

- Po prostu się boję tego, co mi może powiedzieć...

- No tak, taktyka strusia. - Sąd Marty był bezlitosny.

Julia westchnęła głęboko na ten zarzut.

- No wiesz, Marta. Po tej imprezie na twoją cześć zaszalałam trochę...

„A kto nie?” - przemknęło Marcie przez głowę.

- No i chyba się nie zabezpieczyliśmy - ciągnęła dalej nieświadoma myśli Marty jej podwładna.

- Jak duże dzieci - skomentowała Marta, chociaż doskonale pamiętała, że zrobiła dokładnie to samo.

Tymczasem Julia intensywnie się nad czymś zastanawiała, co nie uszło uwagi Marty. Przy tym nie opuszczało jej przeświadczenie, że za chwilę usłyszy coś, co jej się z pewnością nie

spodoba. W sumie cała ta rozmowa z punktu widzenia Marty była niepotrzebna, ale w efekcie miała pomóc znaleźć problem i go rozwiązać. Więc należało jak najszybciej to zakończyć. Tyle tylko, że Marta nie do końca panowała nad sytuacją, a to zupełnie jej nie odpowiadało. Już na tyle poznała Julię, że mogła się spodziewać wszystkiego. Wszystkiego, na co nie była przygotowana. Marta nienawidziła czegoś takiego. Czekwała na rozwój wypadków i to czekanie ją dobijało.

- Kupiłam testy ciążowe - Julka wreszcie wykrztusiła z siebie to, co miała do wykształcenia.

Marta przeczuwała; była w zasadzie pewna, że to wyznanie za chwilę będzie dla niej miało kolosalne znaczenie. Przeczucie jej nie myliło:

- Mam do ciebie prośbę, Marta...

- Prośbę? - Nie wiedzieć dlaczego ogarnął ją strach.

- Może przyjdiesz do mnie i razem to zrobimy?

„O rany! I co ja mam z tym począć?” - Marta zdawała sobie sprawę, że pozwoliła przekroczyć granicę i teraz mogła albo stać się kompletną świnią, albo postąpić wbrew swoim zasadom. I co gorsza, wiedziała iż tylko jedno rozwiązanie wchodzi w grę, jeśli chce nadal utrzymać zespół w takim stanie jak jest teraz.

- Nie masz nikogo innego, równie oddanego?

- Masz na myśli przyjaciółki? Nie, jestem w gruncie rzeczy samotna.

„Jak ja!” - uzmysłowiła sobie Marta z niejakim zdziwieniem. Dotychczas jej to nie przeszkadzało, ale ta rozmowa otwierała z wolna oczy na siebie samą. „Ale wpadłam” - ta jedna myśl była dominująca. Szczerze mówiąc, na takie kłopoty ze strony personelu nie była przygotowana. Problemy techniczne, tak! Drobne korekty w zarządzaniu ludźmi, tak! Ale to? Psychologia, zrozumienie, przyjaźń. Wszystkie te pojęcia, które gdzieś tam kołatały na peryferiach jej jestestwa. Niemniej zdawała sobie sprawę, że cokolwiek teraz uczyni, już nigdy nie będzie taka sama. Albo odrzuci w kął swoje zasady, albo odmową poniesie pierwszą klęskę w zarządzaniu ludźmi. Była wściekła, że dała się wmanewrować wbrew swojej woli w całą tę sytuację.

„Szlag, by to!” - tylko na taki komentarz było ją teraz stać. Okazało się, że nie wszystko jeszcze ma zaplanowane, o ile to w ogóle możliwe. Stało się dla niej jasne, że jej postawa życiowa była dobra dla niej samej, ale teraz, gdy była odpowiedzialna za innych, te zasady już tak mogą się nie sprawdzać.

Niestety, klóciło to się z jej nastawieniem do świata; z nastawieniem do życia; z nastawieniem do wszystkiego. Zdawała sobie sprawę, że cały dotychczasowy jej system wartości uległ degradacji przez tę jedną chwilę, gdy zapytała Julię, co się dzieje. I gdy chcąc, nie chcąc zaangażowała się w to pokręcone przedsięwzięcie. „Bycie szefową to nie tylko besztanie pracowników i zbieranie gratulacji” - uświadomiła sobie Marta.

Julia patrzyła na Martę z nadzieją w oczach i wydawało się, że liczyła tylko na jedną odpowiedź. Zupełnie odwrotnie niż Marta. Czuła się tak, jakby niechcący potrafiła kostkę domina, a ta uruchomiła swoim upadkiem cały ciąg, który odsłaniał obraz nie do końca zgodny z jej wyobrażeniami i oczekiwaniami.

- Zupełnie nie wiem po co to, ale skoro ma to wpłynąć na twoje nastawienie do pracy...

- A więc się zgadzasz? - ulga w głosie Julii była całkiem namacalna.

- Pojedziemy po pracy do ciebie - zamknęła sprawę Marta. - A teraz idź do zajęć, bo zaległości się skumulują.

Julia poderwała się na równe nogi.

- Dzięki! Jesteś...

Marta spojrzała na podwładną, bo ta zawiesiła głos.

- Jesteś... - Julka szukała odpowiedniego określenia. - Jesteś zupełnie inna niż o tobie mówią!

Wypaliła to zupełnie szczerze, ale akurat to ostatnie zdanie spowodowało, że oczy Marty niebezpiecznie się zwęziły.

Na szczęście dla siebie Julia spostrzegła zmianę i ugryzła się w język, by dalej nie wygłaszać innych spontanicznych sądów. Bez zbędnych ceregieli wyszła z kantorka. Dopiero teraz Marta pozwoliła sobie na głębszy oddech. Całkiem ją rozbiła ta rozmowa. Wzrok jej padł na stos dokumentów, które czekały, by się nimi zająć. Sama się dorobiła zaległości, z którymi musiała się jak najszybciej uporać. Przysunęła bliżej kartki do siebie i spojrzała z dezaprobatą na kubek z kawą. Zimna już kawa nie mogła jej zachęcić, by ją wypić.

Sięgnęła po kubek i powstała z fotela. Idąc w kierunku automatu z kawą rzuciła okiem na swoich pracowników i zarejestrowała z niejakim ukontentowaniem fakt, że wszyscy zgodnie oddawali się obowiązkom, nawet Julia sprawiała wrażenie skupionej, co niedwuznacznie wskazywało, że ta rozmowa, choć miała tak destruktywne skutki dla Marty, dla Julii była zbawienna. Po drodze pozbyła się zbędnego kubka, wyrzucając go do kosza. Odliczyła należność i karmiąc automat bilonem czekała aż pojawi się jej ulubiona kawa ze śmietanką, ale bez cukru. Maszyna cicho powarkiwała i dla urozmaicenia czasu oczekującej Marcie poczęstowała ją całą feerią barw na wyświetlaczu. Marta dość bezmyślnie przyglądała się temu wszystkiemu i nie usłyszała, że tuż za nią ktoś stanął. Dopiero po chwili podświadomie poczuła, że nie jest sama.

Odwróciła się i stanęła oko w oko z Kamilem. Nie widzieli się od tamtego pamiętnego poranka, czasem tylko przelotnie mijali się w drzwiach udając, że się nie spostrzegają. Zgodnie uznali, każde przed samym sobą, że mają prawo się obrazić.

- Cześć - zdobyła się na heroiczne powitanie.

- Witaj - odwzajemnił się tym samym.

Głosy były wyprane z wszelkich uczuć, obliczone na to, by niczym nie urazić drugiej osoby. Zdawali sobie sprawę, że nawet ton może spowodować wybuch. Działali na siebie jak płachta na byka i to w każdej sytuacji, a wspomnienie tamtego wydarzenia w zasadzie nie poprawiało wzajemnych stosunków. Raczej je jeszcze bardziej pogorszyło.

Kiedy Marta sięgnęła po kawę, on wsuwając pieniądze w szczelinę rzucił obojętnym tonem:
- Jak tam idzie zarządzanie?

Przez chwilę uważnie analizowała czy to pytanie nosi znamiona prowokacji, ale nie doszukała się niczego podejrzanego.

- Świetnie! - W życiu by się przed nim nie przyznała, że cokolwiek może być nie tak.

Spodziewał się takiej odpowiedzi, bo tylko kiwnął głową na potwierdzenie, że dotarło do niego jej zapewnienie. Sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego tym, co automat z kawą mu oferował.

Marta zrozumiała, że może odejść, z czego skwapliwie skorzystała. W ten sposób utrzymali status dotychczasowych stosunków wzajemnych. Żadne nie osiągnęło przewagi i żadne nie przegrało. Tak naprawdę, to ta odwieczna wojna obchodziła już tylko ich oboje, świetna większość pracowników firmy przestała się tym podniecać. Już dawno. Na szczęście byli na tyle mądrzy, by nie angażować w ten konflikt otoczenia, toteż szefostwo tolerowało taki stan rzeczy. Dopóki nie ma to wpływu na całość firmy i na tempo pracy, mogli sobie skubać pióra do woli.

Reszta dnia upłynęła jej na wypełnianiu druków i analizowaniu przyszłych zleceń. Kiedy się już uporała z większością najpilniejszych papierów, postanowiła również zakończyć to, w co się uwikłała przed południem. Choć kłóciło się to z jej dotychczasowym postępowaniem, dokładnie o godzinie, w której wszyscy kończyli, ona przykładowie wyłączyła komputer i wstała zza biurka. Już samo jej pojawienie się w sali, gdzie pracował zespół wywołało sensację, a kiedy jeszcze władczym głosem rzekła:

- Koniec na dzisiaj! - Wrażenie było podobne do efektu jaki by miał miejsce, gdyby wylądowało tu UFO.

Nie zdarzało się tak nigdy, więc nie czekając, aż się rozmyśli ekipa ewakuowała się szybciej niżby podczas pożaru. Jeszcze zanim Marta zamknęła usta, ostatnie kartki sfruwały z biurka.

„Mobilizacja godna podziwu” - przemknęło jej przez głowę.

Ale nie zaprzętała sobie tym zbyt intensywnie myśli, tylko odwróciła się i ruszyła ku wyjściu. Julia już czekała na parkingu. Marta minęła ją bez słowa, chciała mieć to wszystko jak najszybciej za sobą. W milczeniu zajęły miejsca w aucie i również nic nie mówiąc pojechały do Julii mieszkania. Dopiero teraz Marta mogła porównać standard życiowy swój i stażystki. Przepaść była ogromna. Nie te dochody, ale także inna osobowość. Już pobieżny rzut oka uświadomił Marcie fakt, że ona tu nie mieszkałaby ani chwili. Na szczęście nie musiała.

- Rozgość się, proszę - jak przystało na przykładną gospodynię Julia pierwsza zabrała głos.

Marta zdjęła garsonkę i przycupnęła na kanapie nie bardzo wiedząc, co się wydarzy dalej. Udzieliło jej się zdenerwowanie Julii. „Ciekawe dlaczego?” - pytanie pojawiło się nie wiadomo skąd. Jakieś niejasne przeczucie zagnieździło jej się w dolnych partiach brzucha, gdzieś koło żołądka.

„Uspokój się, głupia” - skarciła się w duchu.

- Zrobić coś do picia?

- Nie, mnie nie musisz. Wiesz, mam trochę planów na wieczór, więc jeśli możesz, chciałabym to zakończyć jak najszybciej.

Kłamstwo dość gładko przebrnęło przez usta. Julia spięła się jeszcze bardziej, ale tylko skinęła głową na znak aprobaty.

- Ale zrobimy to razem? - upewniła się jeszcze raz.

- To wariactwo, ale jeśli się przy tym upierasz...

W odpowiedzi Julia podała jej test ciążowy.

Potem każda, po kolei zniknęła w łazience, i już po chwili obie dzierżyły pipetki z kroplą moczu w jednej, a testem w drugiej ręce. Najpierw popatrzyły na siebie; Marta z delikatną ironią, a Julia z autentycznym przerażeniem w oczach i jakby na dany znak razem w jednej chwili upuściły krople na czytnik.

Przez chwilę Julia wpatrywała się w swój test z taką intensywnością, że cud iż się nie stopił w rękach. Ale pasek koloru nie zmienił. Jeszcze przez parę sekund Julia kontemplowała ten widok i dopiero po minucie z piersi wyrwał jej się głęboki wydech niczym z trzewi smoka.

- Nie jestem w ciąży! - zakrzyknęła dziko, podskoczyła na tapczanie w górę i zaśmiała się histerycznie. Potok łez trysnął z oczu jak z fontanny. Odańczyła taniec w sobie tylko wiadomym rytmie i dopiero wtedy odważyła się spojrzeć Martę.

Spojrzała i znieruchomiała w jednej chwili. Jej oczom ukazał się widok godny zadziwienia. Marta siedziała na swoim miejscu i wpatrywała się w test, a na jej obliczu zagościło bezbrzeżne zdumienie. Oczy ogromniały z każdym oddechem. Julka także popatrzyła na odczyt Marty. Pasek kończył właśnie zmieniać barwę i z niejakim zaskoczeniem Julia zdała sobie sprawę, że jest świadkiem chwili niezwyklej. Dotychczas Marta trzymała się od wszystkich na dystans, teraz trwała jak sparaliżowana, a z jej twarzy wyczytać można było wszystkie te uczucia, których nie była w stanie opanować i ukryć. Po raz pierwszy Julia zobaczyła swoją szefową zupełnie odkrytą. I to w takich okolicznościach.

Zakryła sobie dłońmi usta i wymamrotała:

- O, ja cię kręcę...

Przez moment nic do Marty nie dochodziło. Czowała tylko, jak krew szumi jej w uszach. Zapomniała gdzie jest i z kim. Całą swoją uwagę skupiła na tym, co trzymała w rękach. I dopiero po długich minutach umysł zarejestrował tylko jedna myśl: „to niemożliwe!” Julia stała przed nią z autentycznym przestrawieniem w oczach. Nie była pewna reakcji Marty. Wyciągała tylko wyżej szyję, by zaglądnąć na test, który trzymała Marta w dłoniach, choć było to zupełnie zbędne: widać wszystko bez tego. Cisza panująca w pokoju była obezwładniająca. W końcu Julia zdobyła się na wypowiedzenie kwestii:

- Mam jeszcze jeden...

Marta spojrzała na dziewczynę z wyraźnie rodzącym się w oczach mordem.

- To musi być pomyłka.

- Jasne. - Julia szybko pospieszyła z zapewnieniem. - To nie jest nieomylny środek. Ale tak naprawdę, to żadna z nich nie wierzyła w to, co mówi.

„I do tego jeszcze przy stażystce!” - Marta omal nie zaczęła wyc z gniewu.

Przez moment Julia zmagala się z myślami, czy nie podejść do szefowej i nie objąć we współczuciu, ale szybko zaniechała tego pomysłu.

- To ja zaparzę kawę. - Machnęła w kierunku aneksu i z wyraźną ulgą udała się do szafy udającej kuchnię, gdzie mogła pozbierać myśli i co ważniejsze, umknąć z widoku Marcie.

Kiedy ponownie podeszła do tapczanu, Marta już zdążyła się pozbierać. Schowała test do torebki i przejmując filiżankę z kawą, szybko upiła duży łyk.

- Muszę jutro iść do lekarza - zdanie pobiegło gdzieś w przestrzeń, jakby nie adresowane do nikogo.

- Tak będzie najlepiej - Julka odpowiedziała nie patrząc na Martę.

Znów zapadła krępująca cisza, przerywana tylko stukotem filiżanek o spodki.

Nagle Marta poderwała się jakby podjęła jakąś decyzję. Julia szybko pobiegła za nią do drzwi. Tam chwilę Marta szamotała się przy zakładaniu okrycia, a Julka próbowała jej pomóc, ale tak bez przekonania. Już na odchodnym zdobyła się na zdanie:

- Dziękuję, Marta! I przepraszam...

- Za co? - Marta spojrzała na stażystkę ze swych wyżyn, jakie cechuje osoby przekonane o swej wyższości.

I odwróciła się chcąc wyjść. Kolejne zdanie ugodziło już w plecy:

- W każdym razie, ja o niczym nie wiem...

Nie odwracając się, ani nie dziękując, Marta zbiegła szybko, aby zakończyć ten dla niej przykry incydent. Była wściekła na siebie, że odstąpiła od swoich ideałów - teraz jest uzależniona od takiej stażystki! Ładny gips, nie ma co! W jednej chwili cały świat runął jak domek z kart. I dopiero po dłuższym czasie dotarło do niej coś jeszcze: cięża! Pięknie! Jak ona to wszystko sobie ułoży? Te misternie poukładane klocki jakie składały się na jej życie, zachwiały się jak za podmuchem wiatru. Kwestią zupełnie osobną był fakt namierzenia tatusia! Ale to dopiero mogła zrobić kiedy będzie wiedziała, od jak dawna już jest w tym, pożałuj Boże, błogosławionym stanie. Sama nigdy do tego nie dojdzie. Miała tak nieregularny okres, że w życiu nie jest w stanie dociec kiedy to nastąpiło. Choć pewne, straszliwe podejrzenie zakolatało jej na moment w głowie. Ale szybko je odrzuciła jako nieprawdopodobne. Nie, tak nie może myśleć. Musi najpierw iść do specjalisty, takie dywagacje do niczego nie prowadzą, denerwują ją tylko niepotrzebnie jeszcze bardziej. A może to nieprawda? Jutro się okaże, że lekarz rozwieje jej rozterki i wszystko będzie jak dawniej? Zdarzały się takie przypadki.

Przez całą drogę do domu starała się skupić na jeździe, byle tylko nie popełnić żadnego błędu i nie spowodować wypadku. Na szczęście dojechała na miejsce bez przygód.

Zaraz po wejściu do mieszkania, chwyciła za słuchawkę telefonu, wykręciła numer swego ginekologa i umówiła się na wizytę jutro w południe.

Po czym szybko rozebrała się i przygotowała sobie kąpiel. Gorącą i aromatyczną z olejkami, które ją zawsze odprężyły. Myśli biegly rączo ku wspaniałym widokom ślicznie ubranych bobasów, śmiechów na spacerach i takich tam radosnych obrazkach, którymi karmiła się Marta myśląc o potencjalnym macierzyństwie. Tylko gdzieś na obrzeżach, jakby widziane kątem oka pojawiały się inne wizje: pieluchy wiszące na sznurach, nocne czuwanie czy wieczne gotowanie kaszek. Jakby bardziej realne i bliższe prawdzie, ale jednak mniej kolorowe i okazałe od jej wyobrażeń o obowiązkach mamusi. Zapadała co rusz w niespokojne drzemki, aż woda całkiem wystygła i niezle zziębnięta musiała w końcu wyjść z wanny. Już wycierając się ręcznikiem, pewna myśl zakolatała jej, jakby to miała być jedyna deska

ratunku: przecież nie miewała porannych mdłości! Pamiętała dobrze, że inne jej znajome ciągle zaczynała poranki od wymiotów, kiedy się spodziewały potomków, a ona nigdy czegoś takiego nie miała. I zupełnie bez znaczenia był fakt, że nie jadła śniadań...

Tym razem zjadła lekką kolację i oglądawszy film, położyła się spać prawie zupełnie uspokojona. Tak bardzo, że postanowiła rano odwołać wizytę.

Noc Marcie minęła średnio. Budziła się kilka razy i za każdym razem miała przeświadczenie, że sny których nie pamiętała, odnosiły się do okresu z jej awansu. Podświadomość uparła się, by ją zmęczyć. Także przecucia nie do końca jej odpuszczały. W sumie obudziła się nie wypoczęta. Rano świat wydawał się Marcie już nie tak kolorowy i wątpliwości ponownie ją opadły jak stado wron. Zaparzona kawa nie poprawiła jej humoru. Na przekór losowi postanowiła poigrać z nim i zjadła delikatną kanapkę.

I nim dopiła kawę, już ją zemdlilo.

Gdy w końcu oddała muszli klozetowej hołd w postaci wszystkiego, co miała w żołądku i mogła stanąć przed lustrem, zdobyła się tylko na jeden wniosek:

- Pewnie serek był nieświeży.

Jakoś ignorowanie podstawowych objawów stało się jej jedyną odpowiedzią na gnębiące ją przecucia.

- Nie ma co! Ginekolog mi powie, jak jest naprawdę!

Była to najbardziej rozsądna z jej myśli tego ranka.

Czuła lekki zawrót głowy, ale gdy znalazła się na świeżym powietrzu to natychmiast przeszła ta dolegliwość. Nawet przez moment zaświtał pomysł, by spacerować się, ale i tak już było późno. Ostatecznie wsiadła do samochodu i pojechała jak co dzień do pracy.

W drodze do klitki, zwanej szumnie jej gabinetem zaglądnęła do pracowni, ale jeszcze nikogo nie było. „Może to i dobrze?” - przemknęło jej przez głowę.

Po porannych torsjach czuła głód, więc zupełnie wyjątkowo zafundowała sobie kolejną kawę i batona. Niezbyt zdrowa dieta, ale pożywna. Pochłonęła batonik i szybko wyrzuciła opakowanie tak, by nikt się nie miał czasu zdziwić. Niezdrowe zainteresowanie, to była ostatnia rzecz jakiej sobie życzyła. Dotychczas jej zwyczaje były tak utarte, że takie niezwykle odstępstwo na pewno by nie umknęło reszcie. Co prawda wystarczy niedyskrecja stażystki, ale w takim przypadku nie chciałyby być w jej skórze. Bezwiednie na taką sugestię zacisnęła szczęki, aż zęby zabolęły.

„Co się ze mną dzieje?” - zadała sobie pytanie, ale nie udzieliła na nie odpowiedzi, bo biuro zaroilo się od pospiesznie wchodzących pracowników. Przez chwilę w powietrzu krzyżowały się wzajemne powitania i dowcipy mniej lub bardziej trafione. Jak to rano! Jeszcze tylko przez parę minut zakotłowało się przy automacie z kawą i każdy pobiegł do swych zajęć. Dzwoniły telefony, zazgrzytały drukarki i przestrzeń wypełniły te wszystkie odgłosy biurowego życia.

Marta pochwyliła spojrzenie Julii, ale żadna z nich nic po sobie nie pokazała. Dzień jak co dzień.

- Terminy, moje dzieci! - rzuciła za nimi błogosławieństwo Marta i już wiadomo było, że dzień się zaczął.

Usiadła przy biurku i zaczęła przegrywać na dyski projekty dla klientów. Osobno odłożyła zlecenie Anielewicza, które w końcu Mariusz ukończył. Wybrała numer i zadzwoniła do firmy dyrektora, by umówić się na spotkanie.

Kiedy wszystko miała już gotowe, zawołała Mariusza do biura

- Słuchaj! Muszę wyjść w sprawie tego twojego pokoju dziennego.

- On nie jest mój - rzucił z przekąsem chłopak.

- Dobra, ale to ty go stworzyłeś, choć nie jest dla ciebie. Jestem umówiona z Anielewiczem na prezentację i dobrze wiesz, że ode mnie ten projekt weźmie bez mrugnięcia okiem.

Mariusz słuchał tego z odrobiną znudzenia.

- Po prostu, nie przynoś mi tego ponownie - pozwolił sobie na głośne wyrażenie swoich uczuć.

- Masz to załatwione! Tymczasem zostawiam ci nadzór nad tą watahą, obyś mnie nie zawiódł!

- Bo to pierwszy raz? - Mariusz zrobił minę skrzywdzonego dziecka niesłusznie posądzonego o psotę.

Zaraz po wyjściu pracownika, Marta się spakowała i wyjaśnwszy sekretarce szefa cel swego wyjścia z biura, pojechała prosto do gabinetu doktora Szafrana, jej ginekologa.

Nie bywała tu zbyt często, w ogóle lekarzy omijała szerokim łukiem, odbywała tylko te wizyty, które były absolutnie konieczne. Prawdę powiedziawszy, jeśli chodziło o ginekologa, to odczuwała pewien rodzaj zawstyżenia i nieśmiałości, cały ten rytuał badań napelniał ją strachem i wprawiał w dziwny stan niepokoju. Nigdy, mimo usilnych starań, nie pozbyła się tej drobnomieszcząskiej, zaściankowej cnoty i choć zdawała sobie sprawę, że to taka sama wizyta jak u dentysty czy lekarza rodzinnego, to istota obnażania się przed kimś takim była jej wstrętna i w gruncie rzeczy budziła w niej lęk nieomal pierwotny. Dlatego ograniczała te wizyty do niezbędnego minimum i to pomimo kłopotów z prawidłowym funkcjonowaniem cyklu miesięcznego. Wybrała doktora Szafrana głównie dlatego, że gwarantował jej tak wielką dozę prywatności, która pozwoliła jej czuć się na tyle swobodnie, na ile to tylko w jej przypadku było możliwe.

Tym razem również nikogo nie było w poczekalni, co Marta uświadomiła sobie nie bez satysfakcji. Po krótkiej wymianie zdań z recepcjonistką mogła wejść do gabinetu lekarza.

Doktor Szafran był miłym, pięćdziesięcioletnim, lekko siwiejącym mężczyzną z dość przyjemną aparycją. Był nie tylko miły i przystojny, ale również całkiem niezły w swoim fachu. Przynajmniej tyle się orientowała Marta z tych nielicznych u niego wizyt, ale liczba regularnie go odwiedzających pacjentek była na tyle duża, że budziła w niej zaufanie do jego kwalifikacji zawodowych. Co zupełnie nie przeszkadzało Marcie notorycznie łamać jego zaleceń i przykazań lekarskich. Ot, taka sprzeczność, którą Marta dla swej wygody tłumaczyła przewrotnością natury kobiecej.

Przez cały czas zastanawiała się, czy powiedzieć mu o teście ciążowym, ale doszła do wniosku, że nie będzie nic sugerować i w końcu przemilczała powód, dla którego przyszła na wizytę. Niech to wygląda na standardowe badanie.

Kiedy było już po wszystkim i gdy ubrawszy się, usiadła przed obliczem doktora, ten przez dłuższą chwilę wpatrywał się intensywnie w swoje dłonie.

- Gratuluję pani - w końcu wydobył z siebie to jedno zdanie. - Wiedziała pani, że jest w ciąży?

W odpowiedzi Marta wyciągnęła test i podała go Szafranowi, by sam się mógł przekonać, że tak całkiem, to dla niej nowość nie jest. Pokiwał ze zrozumieniem głową i zadał kolejne pytanie:

- Od kiedy pani wie?

- Od wczoraj.

- Dziwne - wyduł wargi w geście autentycznego zdziwienia. - Jest pani w jedenastym tygodniu ciąży.

- Trzeci miesiąc? - Marta aż się uniosła na krześle.

- Tak. Nie miała pani kłopotów z miesiączką?

- Ciągle mam nieregularnie, więc mnie to nie dziwiło.

- I nic pani z tym nie robiła? - sprawiał wrażenie wstrząśniętego jej beztroską.

Na to pytanie Marta nawet się nie zdobyła by odpowiedzieć. Intensywnie liczyła w pamięci dni. Oczywiście, po takim badaniu można było określić tylko w przybliżeniu od jak dawna jest ciężarna. Ale i tak tylko jedna data mogła wchodzić w rachubę.

- Jak widzę, nie pała pani radością?

- Nie planowałam tego. Jest to nieoczekiwana i niezbyt szczęśliwa okoliczność.

Szafran tylko mimiką twarzy wyraził komentarz. Zapadło niezręczne milczenie, które pierwszy przerwał lekarz:

- Tak czy siak, będziemy się widywać częściej teraz. Czy miewa pani poranne mdłości?

- Od niedawna...

- To naturalne. Proszę o siebie dbać. Żadnych papierosów, alkoholu i nie przemęczać się nadmiernie.

Marta słuchała jednym uchem. Pomimo, że spodziewała się takich wieści, to jednak miała nadzieję, że cud się stanie i wszystko to okaże się tylko pomyłką.

Pożegnała wkrótce doktora, u recepcjonistki ustaliły kolejny termin wizyty i zapłaciwszy za dzisiejszy dzień, opuściła gabinet doktora Szafrana jak najspieszniej. Miała mnóstwo rzeczy do przemyślenia, a przecież praca też czekała.

Przez resztę dnia starała się myśleć tylko o obowiązkach. Odwiedziła dyrektora Anielewicza i po krótkiej prezentacji i zapewnieniu, że ona sama nadzorowała projekt otrzymała czek jako zapłatę za dobrze wykonaną robotę. Wróciła do firmy i zaniósła czek szefowi.

- Brawo! Kolejny sukces, gratuluję - Karol jak zwykle był zachwycony, zwłaszcza sumą na czeku. - Ale ty mi wyglądasz na wyczerpaną. Stało się coś?

Marta jak przez mgłę dosłyszała pytanie:

- Co?

- Za ciężko pracujesz, zwolnij trochę - Karol wyglądał na szczerze zmartwionego.

- Może faktycznie wezmę parę dni urlopu - choć to było do niej niepodobne, to jednak takie stwierdzenie padło z jej ust.

- Wszystko gra?

- Tak! Muszę tylko odpocząć. Ten awans i organizacja sekcji trochę mnie wyczerpały.

- To oczywiste. Harujesz jak wół, odpocznij trochę, zasłużyłaś na premię.

Marta wstała i wyszła na korytarz. Czowała jak jej się robi słabo. Jak zareagują, gdy im powie, że będzie miała dziecko? Że już tak się nie będzie angażować w pracę firmy? A może nawet zrezygnuje na jakiś czas? Niemal na pewno będzie musiała wziąć urlop wychowawczy, bo z kim zostawi noworodka? A tu przecież etat czekać na nią nie będzie, ktoś inny zajmie jej miejsce. Wszystko, na co tak ciężko pracowała tyle lat oddali się od niej, a może nawet przepadnie. Sama, bez przyjaciół, rodziny. Właśnie! Co powiedzą rodzice? Bez ślubu, bez męża, bez ojca dziecka!

Ojciec! Przecież sama tego dźwigać nie będzie, on też się przyczynił wcale do tego, iż teraz jest w takiej sytuacji jakiej jest. Tylko jak się z nim spotkać tak, aby się to nie poniosło po firmie? Jeszcze nie była gotowa na stawienie wszystkim czoła. Już widziała te pogardliwe uśmiešky i fałszywe gratulacje, widziała tę ledwie skrywaną radość, że się jej powinęła noga.

Napiła się zimnej wody i głębiej odetchnęła. Powzięła decyzję: sama na dno nie pójdzie.

Kroki skierowała do pracowni Kamila. Był na szczęście sam!

Przez chwilę patrzył na nią, jakby zobaczył upiora. Żadną miarą nie mógł wiedzieć, co jest przyczyną tego najścia, tym bardziej, że przecież ich stosunki były dalekie od przynajmniej koleżeńskich. O ile dobrze sobie Marta przypominała, to nigdy nie zachodziła do niego, a przynajmniej w prywatnej sprawie. Inna rzecz, że nie mieli ze sobą żadnych spraw poza służbowymi.

Pierwszy ocknął się Kamil:

- Witaj! Czym mogę służyć?

Łamiącym się głosem Marta odparła:

- Kamil, musimy porozmawiać...

- A o czym?

- Nie tutaj. To nie jest rozmowa na teraz.

Zadziwił się jeszcze bardziej.

- Więc kiedy i gdzie?
- U mnie dziś wieczorem. Pasuje?
- Świetnie. Będę na pewno.

Marta nie traciła ani chwili ponad to, co było niezbędne. Kiedy tylko usłyszała od Kamila potwierdzenie, że przyjdzie, odwróciła się na pięcie i już jej nie było.

3.

Nim Kamil się zjawił u Marty, przemyślał wiele rzeczy. Chciał koniecznie dociec przyczyny tego zaproszenia, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Natomiast przypomniał sobie całą historię ich wzajemnych stosunków, a raczej cofnął się do źródła tej wiecznej złości i niechęci, która wyniszczała ich po równo.

Pierwszy raz spotkali się przy automacie z kawą, tradycyjnym biurowym miejscu spotkań, plotek w przelocie i błyskawicznie wymienianych spojrzeń i poglądów, czyli tam, gdzie tak naprawdę kwitło życie biurowe, na tyle na ile to możliwe w tych warunkach. Co prawda widział ją już wcześniej, gdy przyszła na rozmowy kwalifikacyjne do firmy. Ona go nie zauważyła, tak jak nie zauważała nikogo wokół siebie, lecz Kamila zafascynowała jej niebanalna uroda i ten chłód, który go inspirował i przyciągał. Wyobrażał sobie jak topi tę skorupę i dociera do pokładów ciepła, czułości i wdzięku, który niewątpliwie drzemał za zasłoną jaką się otoczyła. Myślał, że będzie w stanie obudzić w Marcie te wszystkie przymioty, które gdzieś tam były, a które powinny cechować kobiety - odrobina czułości, kokieterii i tej nieuchwytniej, czarującej i nieodmiennie zniewalającej mężczyzn nieporadności. Krótko mówiąc wszystko to, co zawsze facetów stawiało w sytuacji z góry przegranej, a której się poddawali z ochotą i radosną desperacją.

Niestety, już od początku okazało się, że Marta jest w istocie zimną, wyrachowaną kobietą, dla której kariera i własne korzyści są najważniejsze. Traktowała niemal wszystkich jak instrumenty zdadne do określonych celów; innych, jeśli tylko byli dla niej zbędni lub co gorsza stali na przeszkodzie, traktowała jak karaluchy. Tak się Kamil poczuł już przy pierwszym poznaniu i nic tego nie mogło zmienić, ani później, ani nigdy. Doznanie to było tym bardziej dotkliwe, że raczej nie miał kłopotów w relacjach z płcią piękną. Wprost przeciwnie, zawsze pełno było obok niego kobiet, które wysyłały mu niedwuznaczne sygnały. Nawet wtedy, gdy był jeszcze żonaty. Ożenił się szybko, bo już na studiach. Kiedy dziewczyna mu oznajmiła, że jest w ciąży, to nie wahał się ani chwili. Ciężko było sprostać życiu i studiowaniu, ale za cenę harówki po godzinach jakoś podołał temu obowiązkowi. Choć małżeństwo to od samego początku było skazane na klęskę.

Cóż z tego, że starał się jak najlepiej, gdy żona wciąż o wszystko go obwiniała, nawet o to, że poroniła. Bo stracili to dziecko. Winy w tym nie było niczyjej, po prostu stało się i już, ale Weronika obarczała Kamila odpowiedzialnością za to. Urządziła mu istne piekło, a on znosił to z pokorną cierpliwością.

Jako młody projektant wewnątrz zaczął pracę w renomowanej firmie, a że był dość błyskotliwy, to warunki materialne uległy znaczącej poprawie. Wraz z tym ich wzajemne stosunki się jakoś ustabilizowały, aż do kolejnego wielkiego problemu: Weronika pragnęła dziecka ze wszech miar, ale od czasu, gdy poroniła, nie mogła zająć w ciążę. Żadne kuracje ani leki nie przynosiły efektu. Niestety, ta sprawa kładła się cieniem na ich wspólnym pożyciu. Zaczęli się od siebie oddalać, aż było za późno na jakikolwiek ratunek. Postanowił dać jej powód do rozwodu, bo choć uczucia wygasły już dawno, to nie chciał, by to ona czuła się odpowiedzialna za rozpad ich małżeństwa. Wziął winę na siebie, wpadł w siatkę romansów i choć tak naprawdę to nie było w jego stylu, przyłgnęła do niego łatka kobieciarza. W całym tym zdarzeniu przekonał się o swojej poważnej dolegliwości czy jak to nazwać: defekcie. Na szczęście żadne szczegóły nie wypłynęły na światło dzienne. Kiedy

wreszcie miał dość szaleństw i przygodnych, nocnych spotkań znów zapragnął stałego, poważnego związku. A gdy ujrzał Martę po raz pierwszy, poczuł ponownie to, czego nie czuł od dawna, bodaj od czasów ślubu z Weroniką. Dostał wyraźną odprawę i choć próbował na wszelkie sposoby, to ich stosunki chłodyły coraz bardziej, a fascynacja przeradzała się w otwartą niechęć i nienawiść. Kamil z początku próbował bagatelizować te sygnały, myśląc, że cierpliwością przekona Martę do siebie, ale ostatecznie i on pewnego dnia odpowiedział agresją na agresję.

Potem już szło gładko i bez przeszkód. Każde z nich robiło karierę, choć Marta pięła się szybciej do góry, być może dlatego, że była bardziej bezwzględna, wyrachowana i zdeterminowana, a może i bardziej utalentowana. Kamil z pełnym poświęcenia obiektywizmem przyznawał, że projekty i pomysły Marty naprawdę były dobre. Co tam dobre, były doskonałe. Toteż stosunkowo szybko awansowała i objęła samodzielnie grupę. Kamil w zasadzie pracował indywidualnie, wykonując zlecenia niewymagające zaangażowania wielu pracowników. Często były to poprawki czy też nieznaczne retusze, z reguły na wyraźne życzenia klientów. Wspecjalizował się zwłaszcza w zmianach pokoi gościnnych, kiedy tylko zmieniały się mody na wykończenia i style, on miał zawsze mnóstwo roboty. Był na tyle solidny w tym co robił, że doczekał się zupełnie pokaźnej gromady stałych klientów. Na tyle dużą, że zaczął mu się rodzić w głowie pomysł otwarcia własnego biznesu, ale nie miał do niego zbyt wielkiego przekonania. A może to była kwestia determinacji? Kto wie? Dopóki był sam, wystarczało mu to co miał. W miarę satysfakcjonującą pracę, dość pieniędzy na dostatnie życie i na tyle wygodne, że nie potrzebował tego zmieniać.

No, a potem była ta impreza po awansie Marty. W zasadzie nie chciał w tym uczestniczyć, ale w trakcie swej pracy w firmie dorobił się opinii duszy towarzystwa i chcąc, nie chcąc przewodził rej balandze. Może nawet po cichu sądził, że będzie mógł jakoś przełamać ten mur pomiędzy nimi. Był też ciekawy jakie jest drugie oblicze Marty; Marty, której nikt dotychczas nie widział w takiej sytuacji.

I poszaleli wszyscy. Dziewczęta chętnie oddawały się zabawie, cokolwiek i jakkolwiek to rozumieć. A ten taniec na stole w konferencyjnym? I to kto - Marta! Zabawa stała się odjazdowa. Tak bardzo, że poniektórzy poznikali w biurowych zakamarkach. Zdarzyło się to również Marcie... Trzeba przyznać, że ci kelnerzy z firmy cateringowej także potrafili świetnie i kompleksowo obsługiwać gości. W sumie to nie sprawa Kamila, ale jakiś niesmak pozostał mu w ustach, tym bardziej, że Marta, choć niezła jędza, to jednak budziła w nim respekt, który był nacechowany delikatną otoczką osoby zaślepionej przez uczucie. Bo chociaż się tępili wzajemnie, to jednak ze strony Kamila zawsze odbywało się to z niejakim obrzydzeniem i niechęcią. Paradoksalnie wciąż serce mu biło szybciej na widok Marty i chociaż próbował się pozbyć tego uczucia, to zawsze miękły mu kolana, gdy tylko był w pobliżu Marty. Kamil przekonał się, że tylko wrogość pozwoli mu zachować twarz i skutecznie ukryje te niepotrzebne porywy serca; które, był tego pewien, mogły doszczętnie zszargać mu opinię u Marty. Był za stary na jakies pogmatwane, skomplikowane durzenie się jak nie przymierzając, sztubak. W pewien dziwny sposób nie chciał, by jego męska duma ucierpiała w konfrontacji z kimś takim jak Marta. Tak naprawdę, to nie chciał pozwolić na to z nikim, zbyt mocno mu duszę poharatał związek z Weroniką i to co ona mu zrobiła. To właśnie duma kazała mu wziąć winę na siebie i rozwieść z Weroniką. W to ryzyko wkalkulował również utratę sympatii rodziny i znajomych, ale w tych czasach takie rzeczy szybko przechodzą do porządku dziennego. W pracy bez większych zawirowań współpracownicy przyjęli te prawdy, które im przekazał, a po pewnym czasie wszystko wróciło do normy. Kobiety lgnęły do niego, ale nie interesowały go romanse, przynajmniej na dłużej.

Ale na imprezie zobaczył inną twarz Marty i już wiedział, że jest możliwe coś więcej między nimi. Żeby tylko Marta zechciała dopuścić go do siebie, już on by potrafił

pielęgnować tę inną Martę. A później nadarzyła się okazja, by odwiedzić ją do domu. Nie zamierzał wykorzystywać sytuacji, to nie było w jego stylu, ale Marta jakby oszalała. Niczym opętana rzuciła się na niego i chociaż Kamil nie bardzo chciał się poddać, to w końcu i w jego żyłach krew zagrała i dał się ponieść nastrojowi chwili. Co prawda nie tak sobie wymarzył ten pierwszy raz z Martą, ale nie było to doświadczenie nieprzyjemne, wręcz przeciwnie; tylko trochę zbyt gwałtowne, dzikie, a poza tym uprawianie miłości z kompletnie pijaną kobietą nie mogło przynieść pełnej satysfakcji - co najwyżej zaspokojenie żądzy.

Aczkolwiek Marta sprawiała wrażenie osoby, która doskonale wie co robi. Niestety poranek rozwiał wszystkie nadzieje i ostatecznie pogrzebał wszelkie marzenia. Wszystko wróciło między nimi do normy, a może było nawet jeszcze gorzej, bo okazało się przez tę jedną noc iż Marta posiada jeszcze inne oblicze, którego nie chciała za nic nikomu pokazać, a tę twarz właśnie Kamil zobaczył i tego nie mogła mu wybaczyć. Pomimo dociekliwych pytań, nikomu nie zdradził, co się naprawdę wydarzyło tej nocy. Również on czuł się na równi winny i pokrzywdzony. Ostatecznie doszedł do wniosku, iż było to kolejne przykre doświadczenie, po krótkim czasie pogodził się z tym i zaczął żyć po staremu. Marty unikał, a że za bardzo i ona nie szukała z nim kontaktu, to ich wspólne spotkania stały się jeszcze bardziej epizodyczne niż dotychczas. Aż do dziś.

Od tamtego wieczoru minęło parę tygodni, więc ta dzisiejsza wizyta była nie tylko zaskakująca. Ona była wprost porażająca!

Przez cały czas w pracy i później, po południu Kamil wymyślał setki najprzeróżniejszych powodów i przyczyn, dla których Marta zaprosiła go do siebie. Nic sensownego nie wymyślił, miotał się pomiędzy rozpaczą a nadzieją, choć przecież fakt, iż Marta była tak wyraźnie wzburzona powinno mu dać jakąś wskazówkę. Gdyby chodziło o jakąś błahostkę, to z pewnością spotkać by się mogli gdzieś na mieście, a nie prywatnie w mieszkaniu Marty. I oczywiście budżetami by się Marta nie przejmowała, choć tak naprawdę Kamil nic o niej nie wiedział. Może nawet coś nieistotnego dla Marty ma znaczenie fundamentalne, aczkolwiek z tego co Kamil dotychczas zaobserwował, Marta nie sprawiała osoby małostkowej. Ale cóż on wiedział o niej? Wyobraźnia płatała mu figle. Cokolwiek mu przychodziło do głowy, to było albo nierzeczywiste, albo przerażające.

Chociaż nie! Pewien nieprawdopodobny pomysł zaświtał mu w umyśle, ale to nie mogło być prawdą, bo przecież to całkowicie niemożliwe!

W końcu dał sobie z tym spokój. Najprostszym rozwiązaniem będzie uzbroić się w cierpliwość i poczekać, aż odbędzie to spotkanie. Wtedy dowie się wszystkiego.

Więc stoi oto przed jej drzwiami i wie, że już za chwilę wszystko się wyjaśni. Nie bardzo wiedział co to może być, ale jednego był świadom: cokolwiek to będzie na pewno zmieni jego życie. Pytanie tylko czy pozytywnie. Życie go nauczyło, że zmiany raczej nie są na lepsze. Tak było przynajmniej w jego przypadku.

Nie można odwlekać tej chwili. Nabrał głęboko w płuca powietrza i wypuszczając, nacisnął dzwonek. Zanim drzwi się otwarły, uświadomił sobie, że manewr z powietrzem nie spowodował iż poczuł się lepiej. Wcale mu nie było źzej, ale była to ostatnia myśl jaka mu zaświtała w głowie przed tym jak stanął oko w oko z Martą. Próbował się jakoś przygotować na to, ale zupełnie nic z tego nie wyszło. Mimo, że starał się ze wszystkich sił przybrać minę obojętną, zdawał sobie sprawę, iż zupełnie mu to nie wyszło i wygląda jak idiota. I co gorsza - tak też się i czuł...

Bez względu jak wyglądał, Marcie było wszystko jedno. Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i ustępując w bok zrobiła przejście; aby go jeszcze zachęcić, wykonała tradycyjny gest zaproszenia. Jedyne co ujrzał to, że w gościu tym nie było cienia życzliwości. Kamil odnotował ten fakt w świadomości z niejakim niesmakiem i przekonał się, że wizyta kurtuazyjna to raczej nie będzie.

Żeby pokryć narastającą złość rozglądał się po mieszkaniu. Niewiele zdążył zapamiętać od ostatniego razu. Inna rzecz, że nie było czasu ani możliwości na przypatrywanie się szczegółom. Tak w nocy, jak i rano. Na przypomnienie tamtego poranka zalała go fala sprzecznych uczuć.

Mieszkanie, jak przystało na projektanta wnętrz, było urządzone ze smakiem. Co prawda smak ten charakteryzował całą Martę, odzwierciedlał zupełnie i całkowicie to jaka była, co myślała i jakie prowadziła życie. Kamil zdał sobie sprawę, że mieszkanie choć schludne, jemu absolutnie nie odpowiadało. Zbyt uporządkowane i oszczędne w szczegóły. Nie posiadało tej ulotnej atmosfery domu, w którym się mieszka. Tej odrobiny nieporządku czy śladu kurzu. Nie żeby było niechlujnie czy bałaganiarsko, ale brakło mu wyraźnych oznak zasiedlenia. Było to nieuchwytnie, takie coś co trudno określić, a co powoduje, że chce się wracać do tego miejsca. Chyba, że ktoś lubi mieszkać w pudrowanych komnatach pałacu nierealnego aż do granic. W każdym razie on by tu mieszkać nie mógł. Na szczęście nie będzie nigdy musiał.

Wszystko to przegalopowało mu przez głowę, gdy czekając na kolejne wskazówki, stał lekko stremowany w przedpokoju. Chociaż starał się zapanować nad sobą, serce mu waliło niczym młotem. Marta nadal nic nie mówiła, wyminęła go i udała się do pokoju dziennego, a on nie doczekawszy się żadnej komendy, podążył za nią. Czuł się lekko nieswojo, tym bardziej, że Marta wciąż milczała. Będzie w końcu musiał pierwszy przerwać milczenie. Chociaż, jako żywo nie miał koncepcji jak zacząć i był coraz bardziej rozeźlony, bo to przecież ona go zaprosiła i to ona powinna zagaić rozmowę. Niby taka wychowana i kulturalna, a nie potrafi zagrać poprawnie roli gospodarza. A jednak Marta w końcu się odezwała:

- Cieszę się, że jesteś. Musimy poważnie pogadać.

Początek był mało obiecujący, upewnił go, że rozmowa nie będzie ani miła, ani przyjemna.

- Czego się napijesz? - Można by odnieść wrażenie, że próbuje nadrobić stracony czas na starcie i dopiero teraz przypomniła sobie jak powinien się zachowywać gospodarz.

Miał przemożną chęć walnięcia porządnego kielicha, ale powiedział:

- Może być kawa.

Marta wyszła do kuchni, a on usiadł na kanapie i nieznacznie poluzował węzeł krawata. Starał się z całych sił nie okazywać jak bardzo jest zdenerwowany. Wciąż usiłował grać rolę twardziela, tę rolę, którą tak dobrze odstawił przed nią przez te wszystkie miesiące ich znajomości. Kiedy tak nad tym myślał, to sobie zdał sprawę, że zaprzepaścił wiele wspaniałych chwil, gdyby tylko potrafił być bardziej cierpliwy, gdyby tylko pokazał Marcie, że potrafi czekać, i że roztopiłby tę jej lodową otoczkę. Był o tym przekonany. A tak dał się sprowokować wbrew swoim przekonaniom i intencjom, dał się wciągnąć w te niekończące utarczki. Wszystko poszło nie tak...

Ale był tutaj dziś. I jeśli odpowiednio poprowadzi rozmowę, to być może jeszcze da się odwrócić wszystko. Było bez znaczenia o czym chciała z nim rozmawiać Marta, najważniejsze, że chciała! A także, że to właśnie ona pierwsza wystąpiła z tą propozycją. Kiedy Kamil próbował się naładować pozytywną energią, Marta wniosła filiżanki z kawą. Nadal w milczeniu, podała kawę i usiadła naprzeciw.

Kamil, by zyskać na czasie, odstawił szopkę ze słodzeniem i nalewaniem śmietanki, chociaż pił kawę tylko czarną.

Marta cierpliwie czekała, aż będzie gotów na to, by mogła mu powiedzieć po co go tu sprowadziła. Kiedy już wyczerpał i tak ograniczony zasób działań opóźniających, podniósł głowę znad stolika, na którym stały filiżanki i zupełnie bez żadnych ukrytych lęków spojrział na gospodynię.

Przez ułamek sekundy jego mózg zarejestrował obraz zmęczonej twarzy. W oczach czaiła się mieszanina desperacji, lęku i złości, w proporcjach doskonale wyważonych. Tak jakby

wewnątrz Marty zmagaly się dwie istoty, a to która w tej chwili zwyciężyła miało się okazać po brzmieniu głosu. I faktycznie. Gdy Marta się odezwała to znać było, że mimo całej woli jaką wkładała by brzmieć naturalnie, czuć się dawało delikatne drżenie znamionujące spacer na krawędzi.

- Dziwisz się pewnie, po co cię tu sprowadziłam. I nie bardzo wiem od czego zacząć. Nigdy nie darzyłam cię wielkim szacunkiem i nie było możliwe byśmy razem mogli przebywać obok siebie...

Kamil chciał coś rzec, przerwać ten dziwny początek rozmowy, bo choć brzmiało to niezbyt zachęcająco, to jednak w głębi czuł, że jest to rodzaj wyznania miłosnego lub czegoś w tym stylu. Wniosek dość odważny, ale miał niejasne przeczucie, że się nie myli. Jednak Marta pomimo, że spostrzegła to, iż Kamil chce coś dodać, gestem dała mu znak, by był cicho i nie przerywał. Tak więc kolejny raz powietrze, które wpompował w płuca, bezproduktywnie wypuścił z bezgłośnym westchnieniem.

Marta upiła łyk swojej kawy i kontynuowała:

- W sumie różnimy się za bardzo, a ja nie mam ochoty zmieniać się dla ciebie. Także ty nie jesteś w stanie się stać takim, jakbym chciała...

Ze zdenerwowania zdania, które wypowiadała pomimo, że miały być w zamierzeniu inteligentną tyradą, stawały się mało zrozumiałym bełkotem.

- O czym ty mówisz? - Kamilowi udało się wreszcie coś wtrącić.

Tym razem Marta nabrała powietrza i z głośnym sykiem wypuściła je w akcie obronnej dygresji.

- Kamil, proszę! Jest mi niezmiernie trudno. Przerywasz i wytrącasz z równowagi.

- Ale...

- Widzisz, znów! To dlatego nie możemy być razem.

- A moglibyśmy być? - zdumienie Kamila było autentyczne.

- Pozwól mi dokończyć!

Kamil tylko uniośł ręce w wiadomym geście ni to obronnym, ni to przepraszającym. Marta nerwowo splatała i rozplatała dłonie, tak jakby ta czynność miała utrzymać ją przy sednie sprawy.

- Kamil! Spędziliśmy razem noc. To była pomyłka i niezależnie co robiłam i jakie tobie wysyłałam sygnały, to była okoliczność wielce niesprzyjająca. Byłam pijana, zgoda... Ale to, że się nie zabezpieczyłeś, to już była z twojej strony głupota i skrajna nieodpowiedzialność.

Umilkła na chwilę ponieważ głos zaczął jej się dramatycznie załamywać. W Kamilu zaczął kiełkować niepokój, nie był pewny czy dobrze rozumie dokąd zmierza ta rozmowa, co takiego ma Marta jemu do zakomunikowania.

- Chcesz powiedzieć, że...?

Nie dała mu dokończyć. Zdaniem Kamila miała bardzo irytujący sposób prowadzenia rozmowy. Być może monolog był najlepszą formą komunikacji werbalnej w rozumieniu Marty.

- Jak mogłeś być tak samolubny?

Przez moment Kamil sprawiał wrażenie wstrząśniętego, po czym wydobył z siebie tylko jedno zdanie:

- Ależ to zupełnie niemożliwe!

- Zrobiłeś mi dzieciaka i mówisz, że to niemożliwe?! - Marta aż się uniosła oburzona do granic.

Była taka chwila, przez którą Kamil był nieomal pewny, że kobieta rzuci się na niego. Nic zatem nie powiedział więcej, tylko pozwolił, by opadło choć trochę napięcie.

Marta tymczasem, chcąc ochłonać chwyciła filiżankę i uniosła do ust. Lekkie drżenie dłoni znamionowało skrajne wzburzenie. Wszystko to Kamil obserwował coraz bardziej rozluźniony. Tak się złożyło, że oboje tkwili na przeciwnych biegunach. Im bardziej Marta

się denerwowała, tym Kamil się mocniej odprężył. Już wiedział, że wizyta ta nie miała nic wspólnego z jego osobą, choć zdawał sobie sprawę z tego, że trzeba będzie to uświadomić Marcie. I to w miarę delikatnie, co przy nastawieniu dziś, a w konsekwencji charakteru Marty w ogóle mogło nie być wcale takie proste ani przyjemne.

Kamil starał się pozbierać pytania i argumenty w głowie, by móc poprzez zapytania wyłowić cokolwiek sensownego z tego bełkotu.

- Pozwól, że zapytam: o co tobie chodzi? Twierdzisz, że jesteś w ciąży i to ze mną, ale nie wyobrażasz sobie życia przy moim boku. Więc po co to spotkanie?

Marta drgnęła niczym ugodzona igłą.

- Odpowiedzialność! O to mi chodzi, ale tobie widocznie to pojęcie jest obce. Co zresztą, biorąc pod uwagę twoje dotychczasowe życie, mnie specjalnie nie dziwi.

Kamil słuchał z narastającym zniecierpliwieniem:

- Nic o mnie nie wiesz! Moja przeszłość nie ma tu nic do rzeczy.

- W sumie tak!

Znów zapadło dość kłopotliwe milczenie. Zgodnie sięgnęli po kawę i upijając kolejne łyki szukali w otchłaniach filiżanek wskazówek i podpowiedzi jak dalej poprowadzić tę rozmowę. Raz po raz tylko rzucali sobie spojrzenia zupełnie tak jakby prowokowali się w niemym pojedynku.

Kamil w zasadzie mógłby wstać i wyjść. Cokolwiek dręczy Martę nie dotyczy jego osoby, chociaż ona jest o tym święcie przekonana. Jeszcze gdzieś w zakamarkach duszy Kamil borykał się z wyrzutami sumienia, by uświadomić Marcie prawdę, by ukazać jak bardzo się myli. Ale jak dotychczas nie dała mu szansy, by mógł jej wytłumaczyć. Była tak arogancka w tej swojej zbroi wszystkowiedzącej i od nikogo niezależnej; że, choć to takie małostkowe, Kamil miał przemożną chęć dać jej się pogrążyć. To prawda, że resztki uczucia do niej powstrzymywało go od tego, ale z drugiej strony miał uczucie, że po raz kolejny kobieta za niego decyduje, do czegoś go przymusza. A przecież tak samo jak w przypadku Weroniki, tak i teraz był bez winy. Kochał Martę i może nawet mógłby jej pomóc, ale ona sama go odtrącała. „Mam dość bycia przedmiotem, który można wykorzystać!” - przemknęła mu myśl.

Wiele rzeczy mogłoby się potoczyć inaczej, gdyby był bardziej stanowczy w stosunkach z kobietami, do których cokolwiek czuł. Było ich wokół niego zawsze mnóstwo. Ale tak naprawdę to zależało mu na nielicznych, a tylko do dwóch coś w istocie poczuł. I obydwie go odtrąciły. A także, jak się okazuje, również oszukały.

Choć Marta zdaje się święcie wierzyć w to, co się teraz stało. Że to on jest ojcem jej dziecka, a to przecież wykluczone. Ponad wszelką wątpliwość. Związek z Weroniką, a właściwie wszystko to co było ich udziałem w końcowej fazie małżeństwa wykazał, że Kamil absolutnie nie może być ojcem. Niczym. Ponieważ był bezpłodny nie był w stanie mieć dziecka. Nigdy. W końcu wydało się, że ciąża Weroniki to nie jest sprawka Kamila. Oczywiście zanim się ożenił nie zdawał sobie z tego sprawy. A szkoda. Tyle zmarnowanych szans, decyzji jakie podjął dla dobra rodziny, a które nic nie znaczyły. Miały jednak kolosalny wpływ na jego los.

A mimo to jego poczucie odpowiedzialności wciąż było głównym motorem napędzającym życie Kamila. Wszystko co robił potem, robił dla Weroniki. No może dla siebie również. Ale głównie dla Weroniki. A ona to wzięła jak coś jej należnego i odeszła z podniesionym czołem; mimo, że go oszukała i okłamała.

Kiedy poznał Martę i zakochał się w niej jak podrostek, na moment uwierzył, że może jednak zasłużył na nagrodę. Wierzył, że potrafi ją zmienić. Że swą cierpliwą adoracją skruszy ten mur, który wokół siebie wzniosła. Zaślepiony uczuciem ignorował oczywiste fakty i nadal wierzył, że sen się spełni.

Teraz z tych rojeń nie pozostał nawet żal.

Marta okazała się zimną, nieczułą suką jaką się zdawała być w rzeczywistości. Zarozumiała kobietą wierzącą w swe posłannictwo wynaturzonego feminizmu.

Nawet teraz nie przeszło jej przez myśl, by go wysłuchać. Zaprosiła go na to spotkanie, ale od początku wyznaczyła mu rolę, z której nijak go nie chciała zwolnić. Była przekonana o swoich racjach i nic, ani nikt nie mógł tego zmienić.

W Kamilu począł narastać gniew na takie traktowanie. Nie jako skrzywdzony czy odtrącony kochanek, ale jako mężczyzna, który był traktowany tak przedmiotowo. Niczym sobie na to nie zasłużył, nawet jeśli był postrzegany jako typowy okaz swej płci. Gdyby tylko Marta zechciała wysłuchać tego co miał jej do powiedzenia. Ale nie! Ona wiedziała wszystko lepiej. Genialna, wszystkowiedząca Marta...

Mógł zaoszczędzić jej upokorzeń. Mógł sprawić, że miałyby jeszcze czas nie uczynić niczego co by mogło zmienić jej życie. Mógł... Ale najzwyczajniej w świecie Marta nie chciała. Więc dlaczego on miałby wbrew swej dumie ją ratować? Wciąż tylko to poczucie obowiązku i nic w zamian. Nic oprócz upokorzeń, łez i ciosów. Zawszad.

Marta, rozzuchwalona przez życie, zatraciła trzeźwy osąd i co najgorsze nie chciała do siebie dopuścić świadomości, iż nie zawsze ma rację. I że nie zawsze musi być tak jak ona chce. Widać od dawna musiała polegać tylko na sobie i już inaczej nie potrafiła. A może było jej tak wygodniej? Chować wszystkie marzenia za twarzą feminizmu. I uległa pokusie by wszystkie swoje postęпки, nawet te najbardziej kontrowersyjne, pokrywać maską ambicji i tłumaczyć to kobiecą zaradnością w świecie opanowanym przez mężczyzn.

Tak daleko zabrnęła, że teraz już nie potrafiła inaczej. I co gorsza, nie tylko nie chciała pozwolić by jakikolwiek facet uczestniczył w jej życiu, ale również zatraciła wszelką kontrolę nad swoim postępowaniem. Od tak dawna się w ten sposób zachowywała, że teraz już nie widziała różnicy. A każdą próbę sforsowania granicy traktowała jak zamach na wolność osobistą. W każdym razie Kamilowi nie udało się przełamać tych lodów, choć bardzo próbował. Starał się zrozumieć przyczyny zachowania Marty, wytłumaczyć sobie każdą jej podłość i grubiańskie zachowanie. I nawet nieźle mu to wychodziło. Pomimo, że Marta jednoznacznie odrzuciła jego awanse, on wciąż schowany w cieniu czekał cierpliwie wierząc naiwnie, że w końcu coś się musi zmienić. Aż doznał do chwili obecnej.

Marta odarła wszystkie jego rojenia z jakichkolwiek barw. Podarła w strzępy jego uczucia i rzuciła resztki w twarz, oskarżając go o ojcostwo jej dziecka. Beznamiętnie i na zimno. Tak jak tylko ona potrafiła zrobić. Postawiła go w sytuacji, nad którą postarała się zapanować całkowicie i traktując niezwykle przedmiotowo chciała użyć dla własnych potrzeb. Klasycznie jak na Martę. Zawsze tak robiła i dotychczas jej to nie tylko się udawało, ale także uchodziło na sucho. Patologicznie odczuwała potrzebę panowania nad wszystkim, nad każdym szczegółem. Planowała wszystko w najdrobniejszych niuansach i pilnowała by ani na milimetr nie odstąpić od tego, co sobie postanowiła. No chyba, że taka była potrzeba chwili... Umiała się przystosować, ale zawsze wywoływało to w niej złość, że nie może wszystkiego zaplanować. Ale wciąż próbowała. Uwierzyła w swoją szczęśliwą gwiazdę i upojona nieprzemijającymi sukcesami zaślepiła się na innych.

Kamil boleśnie przekonał się, że Marta myśli tylko o sobie i dąży do własnych celów za wszelką cenę. Po trupach innych i wbrew wszelkim zasadom. Bo jeśli zasady były przeciwko Marcie, tym gorzej dla zasad.

Dopiero teraz Kamil pojął, iż Marta nie jest w stanie się zmienić, ona inaczej już nie umiała. Zapewniając sobie środki do życia, jeśli tylko była taka potrzeba, to Marta wszystkich dookoła niszczyła i wokół siebie urządzała totalną destrukcję. I na zgliszczach jako ostatnia ocalała i wygrana zbierała cały łup - czymkolwiek to było.

I w tej jednej chwili Kamil pojął, że jest nie tylko narzędziem, ale także ofiarą. Nie miał na to ochoty, w najmniejszym stopniu nie zamierzał niczego Marcie ułatwiać, ani też biernie

oczekiwać na to, co mu miała do zaoferowania. Już przestało mu zależeć na niej. Jakikolwiek to był rodzaj zaślepienia, przeszło całkowicie.

Jeszcze raz spojrzął na Martę i przez moment zastanowił się o czym ona myśli, ale w tej samej chwili pojął, że jest mu to zupełnie obojętne. Odstawił filiżankę i delikatnie się uśmiechając pod nosem, dał wyraźny znak Marcie, że należy jakoś zakończyć tę rozmowę.

Przez cały ten czas, gdy Kamil rozmyślał nad zawilościami własnych losów, a także nad obrzydliwym charakterem Marty, ona starała się rozgryźć, o czym tak się zadumał. Dotychczas wszystko się układało po jej myśli, a jeśli tak nie było, to dokładała wszelkich starań, by tak się właśnie stało. Panowała niepodzielnie nad swoim życiem. Aż do teraz... Ta cięża to coś więcej niż tylko przykry wypadek. Więcej nawet niż nieplanowana i zgoła nieoczekiwana niedogodność. A także więcej niż gwałtowny zakręt w życiu, który miał mieć nieodwracalny wpływ na jej los.

To było coś nad czym nie panowała i zdawała sobie sprawę, że jest uzależniona od Kamila. Wiedziała, że zrobi wszystko, by odzyskać kontrolę, ale w skrytości miała nadzieję, że nie będzie musiała zmuszać go do niczego. Ale ten jego uśmieszek...

Kamil był uosobieniem jej negatywnej oceny mężczyzn. Nie widziała możliwości, by nawet spróbować związać się z kimś takim. To oznaczało zgodę na kompromisy, może nawet na pewną dozę uległości - czegoś takiego Marta nie była w stanie sobie nie tylko wyobrazić: nie mogła nawet pojąć, że takie coś jest w ogóle możliwe. Według Marty kompromisy to oznaka słabości, nie mówiąc już o podległości. W zasadzie małżeństwo było dla niej czymś na poły mitycznym; wszyscy o tym słyszeli i każdy chciałby tego doznać, ale jak sobie to wyobrazić? W każdym razie Kamil nijak nie przystawał do jej wyobrażeń o idealnym mężu i partnerze. Ta postać była tak doskonała i nieskazitelna, że tak naprawdę nie miała prawa istnieć. I chociaż tak jest przecież zawsze - to sztuką jest albo znaleźć kogoś choć trochę przypominającego ideał, albo pogodzić się, że tak naprawdę to mit i zaakceptować stan obecny. Ważne, by marzenia nie zastąpiły nam zdrowego rozsądku.

A Kamil nie był nawet cieniem ideału Marty.

I dziecko w niczym tu nie mogło pomóc. Ona już wiedziała czego będzie żądać od Kamila, wiedziała to od chwili, gdy go zaprosiła na tę rozmowę. I choć nie potoczyła się po jej myśli, to wciąż jej się wydawało, że ma nad nim przewagę, bo zna jego przyszłość; przyszłość, którą mu tak doskonale zaplanowała. Po dziś dzień wszystko, co sobie założyła, się spełniło. Nawet jeśli w trakcie realizacji trzeba było nanosić drobne korekty. A właśnie tego nienawidziła najbardziej - zmian, których nie dało się przewidzieć, a które życie w swojej nieskończonej nieprzewidywalnej różnorodności serwowało każdemu. Także Marcie. W końcu nauczyła się planować tak, by zawsze zostawiać margines na nieprzewidziane kłopoty. Lecz nie byłaby sobą, aby nie próbować panować nawet nad zmiennością losu, co jednak absolutnie się jej nie udawało. I co ją strasznie frustrowało. Jasne, że mogła próbować, ale było to skazane na niepowodzenie - nikt przecież nie jest w stanie panować nad nieznanym.

Lecz teraz jakiś niewytłumaczalny niepokój zagnieździł się gdzieś w krtani. Coś dziwnie dotąd nieznanego ścisnęło gardło. Nie знаła tego uczucia, ale tak właśnie można by było odczuwać strach.

Marta również odstawiła niepotrzebną filiżankę i wyszła naprzeciw przesywającemu spojrzeniu jakim ją obdarzał od pewnego czasu Kamil. Ciekawiło ją o czym myślał przez ten cały czas. Czy wpadł w panikę na myśl o ojcostwie? A może cieszył się, że oto pojawia się doskonała okazja na to by mieć Martę? Albo roił sobie jakieś plany na przyszłość typu „żyli długo i szczęśliwie”? Marta nie była aż taka ślepa, by nie dostrzegać zainteresowania ze strony Kamila swoją osobą. Przez te wszystkie lata nauczyła się dostrzegać zagrożenie ze strony facetów zanim jeszcze tak naprawdę się mogło pojawić. I wyrobiła w sobie pewnego rodzaju system obronny - kiedy tylko się ktoś pojawiał na horyzoncie, jej niezawodny instynkt robił błyskawiczną ocenę delikwenta i po natychmiastowym porównaniu do głęboko

zakorzenionego w umyśle wzorca mężczyzny, klasyfikowała i odrzucała na bok. W takim przypadku facet miał szczęście jeśli nie był traktowany jak robal. Tyle tylko, że oni nie mieli o tym pojęcia. Nie wiedzieli ile mają szczęścia, że Marta nie dopuściła ich do siebie.

Faceci to takie zabawne stworzenia. Wydaje im się, że są panami świata, a brak im za grosz poczucia obowiązku. Wiecznie by tylko się bawili. Owszem, czasem zabawnie było przygruchać sobie takiego na noc, ale mieć coś takiego na stałe dzień w dzień? Służyć gorącymi obiadkami, opierać gacie i być na każde skinienie w łóżku? I powoli, acz nieubłaganie uzależniać się od takiego indywiduum? W końcu prędzej czy później popadamy w rutynę dnia codziennego. Marta od dawna wiedziała, że nie chce takiego życia, a ponieważ miała bardzo kiepską opinię o większości mężczyzn, to w jej planach żaden taki delikwent nie istniał. Co nie znaczy, że nie miała cienia nadziei, że spotka kiedyś swego księcia, który będzie potrafił sprostać jej oczekiwaniom. Ale wiedziała jedno. Kamil, z całym tym swoim bagażem życiowym i opinią bawidamka absolutnie się do tego nie nadawał. Absolutnie i całkowicie.

I zamierzała mu właśnie to zakomunikować. Ale nie będzie to dla niego tylko prztyczek. Chciała go ukarać, by wreszcie zaczął brać odpowiedzialność za swe czyny. Postanowiła go ukarać za cały męski ród, za wszystkie bardziej lub mniej prawdziwe winy. I to niekoniecznie jej wyrządzone.

- No dobrze, Marta. Wezwałaś mnie tu w jakimś konkretnym celu. Dowiem się w jakim?

A już myślała, że niczym jej nie mógłby zaskoczyć.

- Słucham?

Kamil zaczerpnął powietrza i nadal się ironicznie uśmiechając spytał:

- To ja ciebie słucham?

Marta w zasadzie miała całą rozmowę przygotowaną, miała ustaloną odpowiedź na każdą ewentualność. Przecież nie byłaby sobą. Już wcześniej odbyła to spotkanie w myślach wielokrotnie i starała się przewidzieć każdy możliwy zwrot w rozmowie, a co za tym idzie każdy możliwy zestaw dialogów. Miała w zanadrzu cały podręczny zbiór argumentów i faktów, wszystko co tylko pozwoliłoby jej ani na chwilę nie stracić kontroli. Ale ten jego uśmiešek...

Marta nienawidziła być ignorowaną i traktowaną z góry, a tak się właśnie teraz czuła. Choć nie znosiła tracić zimnej krwi, to jednak postawa Kamila, tak beztroska i wyluzowana, dotknęła ją do żywego. Zupełnie jakby sobie nie zdawał sprawy z powagi sytuacji lub co gorsza miał to gdzieś. Z tego co wiedziała o Kamilu mogło to być wszystko.

- Jestem w ciąży - zaczęła z narastającą irytacją. - I właśnie ty jesteś ojcem. Nie chcę jednak byś się ze mną żenił. Będziesz tylko ojcem dziecka i będziesz łożyć na jego utrzymanie. Zapewnię ci widzenia dziecka i wiele innych rzeczy, byś zechciał czuć się jak prawdziwy ojciec. O ile, rzecz jasna jesteś tym zainteresowany...

Kamilowi odebrało dech na dźwięk słów, które do niego dotarły. Wiedział, że jest bezwzględna, ale żeby aż tak?! Nawet nie spytała go o zdanie, nawet nie pozwoliła wyjaśnić czegokolwiek. Wszystko już sobie poukładała, porozdzielała role i niczym wytrawny reżyser po haśle „akcja!” puściła w ruch swój plan. Ta jej pewność siebie jest tak irytująca.

Kamil nie miał nic przeciwko kobietom wyzwolonym; tym, które wiedzą czego chcą od życia i potrafią tego dokazać; ale do szału doprowadzało go to, iż jakaś przemądrzała, wojująca i bezkompromisowa feministka zmuszała go do zrobienia rzeczy, na które nie miał ochoty. Tym bardziej, że nie poczuwał się do żadnej winy.

Tyle tylko, że ona o tym nie wiedziała. I żeby było jeszcze bardziej absurdalnie nie dała mu szansy na wytłumaczenie całego tego nieporozumienia. Ona już miała winnego i nie zamierzała niczego zmieniać. Jak zwykle. Marta nie może się przecież mylić. Ani przez chwilę nie dopuszczała do siebie myśli, że to może być możliwe. Nie wiadomo czy to bardziej ignorancja czy przerośnięte ego. Feminizm Marty przejął wszystkie negatywne cechy

typowe dla męskiego macho. Oczywiście przy uwzględnieniu wszystkich odniesień i trawestacji dla kobiety.

- Czyli krótko mówiąc już mi przeznaczyłaś rolę? - Kamil rozsiadł się wygodniej.

To będzie całkiem nowe doświadczenie.

Być może Kamil będzie pierwszą osobą, która przytrze nosa Marcie.

- Jeśli tylko zechcesz. - Marta nadała swemu głosowi pewną dozę ciepła, żeby tylko Kamila usposobić przychylniej. Choć tak naprawdę to była z jej strony duża kurtuazja.

Z nieskrywanym zdumieniem Marta spostrzegła, że Kamil kręci z niedowierzaniem głową. Okazał się dokładnie taki jakim go osądzała. I nie ma znaczenia, że swą opinię opierała tylko na pogłoskach i swoich uprzedzeniach do wszystkich facetów.

- A nie przyszło ci do głowy, że to nie moje dziecko?

W Marcie zawrzało niczym w wulkanie.

- A niby czyje?

- Ty to powinnaś wiedzieć lepiej. - Kamil nawet nie ukrywał kpiącego tonu głosu.

Marta poczerwieniała na twarzy.

- Robisz ze mnie dziwkę?

Kamil uznał to za pytanie retoryczne, gdyż nie zaszczyił go nawet parsknięciem.

- Jestem pewna, iż to ty jesteś tym, który wpędził mnie w kłopoty - głos Marty oscylował niebezpiecznie blisko hysterii.

- To nie prawda...

- Co?! - Falset zawibrował w uszach niczym wystrzał z karabinu.

Kamil najpierw wyduł usta, by zyskać na czasie, a później uniósł dłonie w geście, który miał na chwilę przykuć uwagę Marty i pozwolić mu w miarę spokojnie wypowiedzieć swoją kwestię.

I przyniosło to spodziewany skutek.

- Oskarżasz mnie o rzecz, której nie zrobiłem. Ale mniejsza o to... Powiedz mi do czego ci potrzebny fikcyjny tatuś, co? I skąd pewność, że się na to potulnie zgodzę?

W Marcie szalał tajfun uczuć. A gniew, żal i wściekłość to niebezpieczna mieszanka.

Pytanie, które przed chwilą zadał jej Kamil była tą iskrą, która padła na beczkę prochu jaką obecnie była Marta.

- Ponieważ nie zamierzam sama ponosić odpowiedzialności! Ponieważ czas już, aby ktoś nauczył cię rozumu! I ponieważ nie pozwolę, by ktokolwiek mnie w ten sposób traktował!

Wybuch ten na ułamek sekundy pozwolił Kamilowi na wtrącenie zdania:

- Ale to jest prawda! Nie mogę być ojcem dziecka, ale ty nawet nie chcesz bym się wytłumaczył...

- Ty bydlaku! - Marta w geście bezsilnej złości uniosła pięści i przez chwilę Kamil był niemal pewien, że rzuci się na niego. Co prawda nic nie zaszło, ale dla niego ta rozmowa już była zakończona. Chciał dać jej szansę, ale Marta to zmarnowała. Była tylko sobą i musiała wreszcie ponieść konsekwencje swego postępowania. Nie można bezkarnie używać ludzi jak narzędzi, nie licząc się z ich uczuciami. Nie można się czuć jak Bóg, kazać wszystkim postępować wedle własnego widzi mi się i jeszcze oczekiwać, że uznają to za szczyt szczęścia. Albo chociaż potulnie pozwolą się ustawiać jak pionki na planszy.

- Marta! To koniec. Nie zamierzam znosić tego dłużej. Nie chcesz mnie wysłuchać, twoja sprawa. Ale mylisz się i to mocno.

- Wynos się! - jedyną odpowiedzią Marty był gest wyprostowanej ręki ku drzwiom.

Kamil powstał z godnością i powoli ruszył z ku wyjściu.

Odwrócił się jeszcze i rzekł:

- Przykro mi, Marta. Naprawdę...

- Zejdz mi z oczu! Natychmiast! Jeszcze mnie popamiętasz!

Za Kamilem zatrzasnęły się drzwi, a przez echo, które poniosło po klatce schodowej odgłos huku, usłyszał szloch Marty.

Poczuł się głupio, ale przecież próbował! Może za mało zdecydowanie, ale Marta nie pozwoliła mu spokojnie wyjaśnić. Do końca przekonana do własnych racji nie chciała słuchać żadnych argumentów. W końcu musiał nadejść taki dzień, kiedy przegra. Nawet przy uwzględnieniu, że da się ugniatać swój los jak ciasto, to i tak prędzej czy później wyjdzie zakalec. Wiedzą o tym wszyscy piekarze... Nie wiadomo czy Marta miała o tym pojęcie i czy taka metafora ma dla niej jakiś sens. Lecz gdyby tylko w ten sposób mogłaby spojrzeć na swe życie, to być może wiele spraw nabrałoby innego wydźwięku. Zmieniło jej postrzeganie rzeczywistości. Być może... Tak naprawdę, to Marta przecież akceptowała fakt istnienia zakalca - do pewnego stopnia zdawała sobie sprawę z nieprzewidywalności życia. Ale problem polegał na tym, że choć przyjmowała do wiadomości, to starała się za wszelką ceną zapanować nad tym. Zupełnie po swojemu, jak to ona.

Jak mógł być tak głupi, by się w niej kochać? I wierzyć, że potrafi ją zmienić? Jest w największym stopniu egoistką i nie cofnie się przed żadną podłością, byle tylko było jej na wierzchu. Wygrana była dla niej wartością nadrzędną. Celem samym w sobie. To coś więcej niż tylko nagroda od życia; nagroda po dobrze rozwiązanej niewiadomej; nagroda po prawidłowo zaplanowanej akcji - to był sens wszystkiego. Marta nie mogłaby zaakceptować tego, że choć przez chwilę trafiła do zespołu przegranych. Było to niczym katastrofa. Oznaczało to ni mniej ni więcej, że nie wszystko da się poprowadzić za rękę i choć człowiek stara się ze wszystkich sił i dokłada wszelkich starań, to jednak czasem wynik mógł być nie tylko niezadowolający - mógł być całkowicie żenującym efektem. Marta nigdy nie odniosła porażki w życiu i dlatego była absolutnie nieodporna na ciosy od losu.

Jakimże jest głupcem, że umieścił swe uczucia w kobietach tak nieodpowiednich. I to dwa razy! Żadna z nich nie okazała się tego godna. Zabawne: w obu przypadkach miał być ojcem! No, raz się to jednej udało, ale teraz nie zamierzał pozwolić się wodzić za nos. Tym bardziej, że wiedział doskonale iż nie było tu jego winy ani odrobinę. Gdyby tylko Marta pozwoliła mu to wyjaśnić...

Ale stało się inaczej. Rodzice go tak wychowali, że Kamil wiedział iż za swoje czyny trzeba płacić. Nie da się bez końca zbierać owoców, czasem trzeba znaleźć i jakieś zgniłki. Rzecz w tym, by to zaakceptować i starać się jeszcze bardziej. I co ważniejsze, nie szukać winy takiego stanu w innych, tylko uświadomić sobie, że to najprawdopodobniej nasze błędy są tym katalizatorem niepowodzeń. Choć czasem nie tylko nasze, ale jednak jedno jest bezsprzecznie ważne - by przejść do porządku dziennego nad tym i żyć dalej, tak aby nasze istnienie nie krzywdziło innych. Tak daleko jak to tylko możliwe. Ale Marta tego nie potrafiła.

Wszyscy, w większym czy mniejszym stopniu jesteśmy egoistami. Bo jakżeby inaczej. Przecież postrzegamy świat i życie z perspektywy własnej osoby. Subiektywnie w jak najczystszej postaci. Kwestia tkwi w tym, by nie budować ze swego egoizmu ideologii, która jest jedyną siłą napędową życia. Bo wtedy to naprawdę jest już niewielki krok do stania się złym człowiekiem. I jest niemal pewne, że prawie wszystkie nasze postęпки staną się krzywdą dla innych, a być może nawet dla nas samych.

Kamil nie uważał się za jakiś ideał, ale także nie sądził się szczególnie złym. Ot, taki zwykły, szary człowiek, który może odniósł jakiś tam sukces, ale nie tyle, by zatracić poczucie rzeczywistości. I przyzwoitości. Dla niego pieniądze były tylko środkami do spełniania zachcianek, a nie potrzebą samą w sobie.

Starał się żyć w taki sposób, by nikogo nie krzywdzić i choć zdawał sobie sprawę, że jest to zupełnie niemożliwe, by przez niego nikt nie ucierpiał to wiedział, iż nie czynił źle specjalnie. Bo nie da się przejść przez życie tak, by ludzie wokół nas nie doznali od nas lub za naszą sprawą większych czy mniejszych krzywd. Istota tkwi w tym, by nie robić tego świadomie.

I tak Kamil żył, a przynajmniej robił wszystko, by tej filozofii być wiernym. Zupełnie odwrotnie niż Marta. To znaczy, ona była wierna swym przekonaniom - tyle, że w dążeniu do celu była w stanie drogę usłać trupami.

Jakże się bardzo różnili! Było wielką naiwnością sądzić, że będą mogliby się porozumieć; do tego trzeba czegoś więcej niż chęci i to nawet z dwóch stron - potrzeba było także deklaracji kompromisu, a Marcie brakło choćby cienia spolegliwości. To po prostu nie było w jej stylu. Z każdym stopniem w dół, kiedy oddalał się od Marty, Kamil odczuwał coraz większą ulgę. Dopiero teraz zrozumiał, że ten związek mógłby być strasznie toksyczny i w końcu by go unieszczęśliwił.

I choć zdawał sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec, to usprawiedliwiał się, że chciał wyjaśnić Marcie całe to nieporozumienie, lecz ona nie chciała absolutnie go wysłuchać. Jej strata... I tylko gdzieś głęboko Kamil czuł, że mógł postarać się bardziej. Nawet wbrew Marcie. Ale nie starczyło mu determinacji.

4.

Gdy drzwi zamknęły się z hukiem za Kamilem, Marta przez moment stała z wyciągniętą prosto ręką i nie mogła uwierzyć, że wyszedł. Echo, które poniosło się po jej mieszkaniu obwieściło koniec czegoś ważnego i początek jeszcze ważniejszego. Oto po raz pierwszy tak wyraźnie ktoś ją zlekceważył i nie miało znaczenia, iż właśnie wszystko robiła żeby tak się stało. Marta miała narastające przeświadczenie, że od teraz już nic nie będzie takie jak dotychczas. Cały ten absurd, który się wokół niej obracał był tym kamieniem milowym pomiędzy dwoma okresami jej życia. I rzecz znamienna, przestała być panią sytuacji. Pomimo jej usilnych starań nie potrafiła już tak niepodzielnie sterować, karty już nie dawały się tak znaczyć jak kiedyś. To było całkowicie nowe doświadczenie. To, że Marta była zależna od innych, a co ważniejsze - nie mogła im już narzucić roli jaką pierwotnie przeznaczyła.

Przerazała ją to! I niewymownie irytowało. Ręka wreszcie opadła bezsilnie, a przez serce przemknęło całe spektrum odczuć. Gorące fale złości przeplatały się z mrozzącymi igielkami strachu. Amplituda humorów wyczyniała istne harce. Przez cały ten czas Marta wpadała z jednej skrajności w drugą. Poziom stresu wzrastał w lawinowym tempie.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i wypuściła je w głośnym oddechu. Pomogło tylko odrobinę. Wiedziała, że ból głowy czaił się na obrzeżu świadomości. Z gardła wyrwał się szloch. Od dawna tajone emocje nareszcie znalazły ujście. Dotychczas Marta pilnowała się bardzo wszelkich oznak słabości. Pochlipywanie w poduszkę to był wyraz skrajnej niemocy, coś takiego nie mogło funkcjonować w życiu Marty. Takie rzeczy są dla idiotek, które nie potrafią kierować swym losem tylko biernie przyjmują ciosy od życia i jedyną reakcją na jaką je stać jest właśnie płacz. W rozumieniu Marty łzy były wyrazem bezradności, a przecież ona bezradna nigdy nie była. Wydawało jej się, że wystarczy tylko raz pozwolić sobie na chwilę słabości, a już zawsze będzie miękka i bezsilna. I podatna na razy.

Napięcie powoli ustępowało, ale to tylko przyczyniło się do tego, że łydki podejrzenie zaczęły drgać i czuła, że za chwilę straci równowagę. Rozejrzała się po pokoju i z ulgą stwierdziła, że wciąż stoi przy kanapie - wystarczyło tylko z wdziękiem opaść w dół. A gdy to się stało, przekonała się, że jednak nie jest jej lżej.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że niepostrzeżenie wkrada się do niej panika. Nagle sobie uświadomiła, że nie widzi kolejnych kadrów, zawsze miała opracowane kilka ruchów do przodu, niczym wytrawny szachista, a tu tymczasem nie widziała żadnego sensownego wyjścia z sytuacji. Być może dlatego, że złość na Kamila przeradzała się we wściekłość na to jak ją potraktował.

Nie dość, że wpędził ją w kłopoty swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem, to jeszcze zostawił ją na pastwę i nie chciał zająć należnego mu miejsca, które z takim pietyzmem przeznaczyła dla niego. Mało kto odważył się dotychczas na taki krok, a jeszcze nikt nie wyszedł z tego bez szwanku. I Marta wiedziała jedno - Kamilowi też się to nie uda. To jeszcze nie jest koniec. Dziecko musi mieć ojca! I będzie miało ojca! Zmusi go - jeszcze nie wie jak, ale zmusi Kamila, by wreszcie wziął na siebie odpowiedzialność.

Co prawda nie wiedziała po co jej fikcyjny tatuś, ale Kamil musiał ponieść karę. Faceci muszą wiedzieć, że czyny są po to, by za nie brać odpowiedzialność.

Jak widać to jaką rolę ona odegrała w tej historii, nie miało dla niej żadnego znaczenia. Winny był tylko jeden aktor, Marta co najwyżej była ofiarą. Całkiem niezłe się czuła w tej roli, choć przecież było to zupełnym zaprzeczeniem dotychczasowej postawy Marty. Takie jawne okazywanie krzywdy nie przystawało dla feministki, takiej niezależnej, od nikogo nieoczekującej pomocy. A jednak nie dostrzegała niekonsekwencji w swoim postępowaniu. Koniecznie chciała mieć winnego - i go znalazła, a ponieważ pasował jej idealnie do profilu jaki sobie nakreśliła, to robiła wszystko, by go wpasować w te ramy. Przecież ona mylić się nie mogła! Wzięła sobie za punkt honoru, aby chociaż jednego samca nauczyć odpowiedzialności.

Właśnie - odpowiedzialność. Ostatnio to słowo stało się jej mantrą. Niczym słowo-klucz otwierało każdą jej myśl, było przewodnią siłą, argumentem nie do odrzucenia. Wartością samą w sobie. Początkiem i końcem. Brzmiało to jak religia. Wynaturzone i wykoślawione spojrzenie na świat - odpowiedzialność tak, ale tylko dla innych. Najlepiej dla wstrętnych facetów. Z każdą chwilą mężczyźni stawali się dla niej synonimem zła, wszelkich krzywd kobiet - wszystkiego co je spotyka od tych wstrętnych wieprzy, którzy myślą tylko o jednym.

Czy to był początek obłądzenia? Nie, oczywiście, że nie! To tylko reakcja na całą tę pokręconą historię. Musi się trzymać czegoś, nawet jeśli to jest jakieś słowo. Wiedziała, że za chwilę odzyska trzeźwy pogląd i znajdzie jakiś błyskotliwy pomysł na wybrnięcie z tego szamba. Zawsze tak było, wyzwania budziły w niej pokłady siły, które drzemały uśpione. Potrafiła wszystko to przekuć dla swego dobra, każdą przeszkodę obracała na swoją korzyść. Była niesłychanie dumna z tego, że posiada tę umiejętność. I nie miało znaczenia to, że był to raczej wynik długoletnich treningów i doskonalenia w sobie tej cechy do perfekcji. Wmawiania sobie, że tylko od siebie może oczekiwać czegokolwiek dobrego. Tylko ona może samej sobie pomóc. Święcie w to wierzyła i wcielala tę filozofię w życie z całą stanowczością. Kosztem innych także. Nieustanne pasmo sukcesów takiego postępowania rozzuchwalało ją ponad miarę. Pozwoliło wierzyć, że wszystko jest możliwe i może dokonać każdego czynu. Bezkarne i skutecznie. Jak dotąd różnie bywało, raz lepiej raz gorzej, nie zawsze wszystko szło gładko i bezkolizyjnie. Ale w końcu spadała na cztery łapy jak kot. Niemniej czasami wyniki nie były satysfakcjonujące, godziła się z wielkim trudem na niedostatki swych poczynań.

Ale prawda była taka, że nigdy nie było tak źle. A może tylko tak jej się wydaje? Musi po prostu chwilę pomyśleć, a na pewno znajdzie jakieś rozwiązanie. Musi się uspokoić, ukoić sterane nerwy, a gdy odzyska spokój to z pewnością coś wymyśli.

Starła się mieć wszystko pod kontrolą, całe swoje życie tak kształtowała, by ani przez chwilę nie stracić steru w ręce. I jak dotąd jej się to udawało.

Była samowystarczalna. Planowała, organizowała i z całą siłą realizowała założenia - aż do dziś. Nic i nikt nie był w stanie jej przeszkodzić. A próbowało wielu. Zwłaszcza mężczyźni byli tymi, którzy często starali się ją pokonać. Kobietom nie starczało inwencji, a jeszcze częściej siły i przekonania, że potrafią. Co innego faceci - ci podchodzili do tego najczęściej ambicjonalnie i chociaż nie zawsze mieli ku temu predyspozycje, to jednak ze ślepym uporem usiłowali czegoś dokonać. Byleby tylko jej przeszkodzić, byle zniweczyć jej plany. Nie zawsze po to aby coś zyskać, ale żeby udowodnić, że ona nie może być od nich lepsza. Lecz

nigdy żadnemu się to nie powiodło. I to napawało ją dumą. Że dokonała rzeczy na jakie stać niewiele kobiet - może konkurować z mężczyznami nie tylko jak równa z równymi; więcej - jest od nich niejednokrotnie skuteczniejsza. Bardziej sprytna, lepiej planująca i bardziej asertywna. To utwierdziło ją w przekonaniu, że wszystko dozwolone, byleby tylko być po stronie zwycięzców. A takimi wiecznymi triumfatorami dla Marty byli właśnie mężczyźni. Niezależnie czy było tak w istocie, czy nie.

Zabawna rzecz z tymi facetami. Na niewiele się mogli przydać, a szkód mogli wyrządzić co niemiara. Ciągłe uważali, że są panami świata i przynależy im się cokolwiek już chociażby z tego tytułu. Większość z nich myślała, że mogą się bawić bez ustanku. Kosztem wszystkich, a zwłaszcza kobiet. Taki osąd mężczyzn brał się u Marty ze stereotypów, choć co prawda nie do końca był to mit. Wielu facetów tak się właśnie zachowywało, a przynajmniej starało się egzekwować takie marzenia. Najpierw stroszy taki piórka dla swej pani, a potem gdy osiągnie to co chce, już przestaje mu zależeć. I powoli wszyscy toną w szarości dnia codziennego. Romantyzm umiera - a skrzecząca rzeczywistość zabija miłość. Chyba, że dwoje ludzi zechce pielęgnować ten kwiat. Tyle tylko, że większość pozwala by miłość umarła. I niestety, najczęściej pierwszymi są faceci. Co prawda nie wszyscy...

I dlatego Marcie żaden taki ktoś nie był potrzebny. Jak dotąd nie spotkała nikogo godnego uwagi; nikogo takiego, by się nim zainteresować. A tych paru nielicznych, którzy mogliby być niezłymi kandydatami było już najczęściej zajętych. Marta miała bardzo wysoką skalę wartości jeśli idzie o mężczyzn. Mało który mógł sprostać jej oczekiwaniom. Każdego od pierwszej chwili dopasowywała do wzorca utrwalonego w pamięci, który wyniosła z domu. I z niejakim smutkiem musiała skonstatować, że prawie żaden nie przystawał do wyobrażeń o idealnym kandydacie.

Już tak jest, że to czym nasiąknijemy w domu rodzinnym próbujemy w późniejszym życiu realizować, najczęściej z mizernym skutkiem. Choć czasem jest to zupełne zaprzeczenie domowych stosunków - tak dzieje się wtedy, gdy w młodości nie odpowiadał nam charakter zasad wzajemnego współżycia jaki prowadzili rodzice.

Ale w przypadku Marty było to pośrednie. Bo chociaż podziwiała ojca, to jednak nie mogła nie zauważać pewnych rys na jego charakterze. Startując w dorosłość, Marta, jeśli chodzi o facetów, stworzyła sobie na poły mitologiczny model wzorowany na ojcu - wszystkie jego cechy, które Marta akceptowała plus parę innych dodanych od siebie.

I nie w tym rzecz, że stworzyła mężczyznę idealnego mentalnie i charakterologicznie dla swoich oczekiwań, bo tak robiła przecież większość kobiet; ale najgorsze było to, iż nie chciała odpuścić ani na cal w życiu potocznym od tego, co w prostej drodze prowadziło do przeświadczenia, że nikt nie jest w stanie sprostać temu wyzwaniu. Nawet jeśli tylko odrobinę odbiegał od marzeń. Marta pod tym względem wyznawała zasadę: wszystko albo nic. I w konsekwencji wciąż była sama. A być może robiła tak, by usprawiedliwiać się przed samą sobą z tego, że to w niej tkwił tak naprawdę błąd?

Bo tak naprawdę to każdy z nas ma swoje poglądy i oczekiwania od partnera, dowcip w tym, by potrafić w życiu odpowiednio dopasować te marzenia do rzeczywistości. Trwanie twardo przy swoim mogło doprowadzić do samotności, czego Marta doświadczała boleśnie aż nadto. Co prawda za bardzo jej to nie przeszkadzało. Czasem tylko, gdzieś w głębinach duszy czuła, że coś idzie źle; że coś robi nie tak jak powinna, lecz niestety nie potrafiła odpowiednio zdiagnozować tego i wolała raczej winić innych za swoje życie. Nie zauważała, że tak jest jej wygodnie.

Z dzieciństwa wynosimy model rodziny, taki jaki chcielibyśmy tworzyć dla siebie i swoich bliskich. Zawsze tak jest, bo jeśli nawet mieliśmy pecha i nasi rodzice zachowywali się patologicznie to wiemy, że my tak się zachowywać nie będziemy i zrobimy wszystko, aby żyć inaczej. Inna sprawa, że nie zawsze nam się to udaje. Ale tak jest w istocie - nasz dom

rodzinny staje się kanwą tego jak byśmy chcieli żyć w dorosłości - albo powielamy je, albo odrzucamy w całości - tak czy siak to ten okres rzutuje na nasze decyzje w przyszłości.

Nie inaczej było w przypadku Marty.

Miała szczęście być pupilką tatusia. Od chwili narodzin traktował ją jak królową i chuchał-dmuchał na ten swój skarb niczym na cud. I dla niego była cudem. Bo choć mężczyźni do dziś dnia wyglądają synów, to córki zajmują u nich miejsca szczególne. Córeczki zawsze są tatusiów. Syn to syn - jasna sprawa, ale córka to oczko w głowie. Tak przynajmniej było z Martą. Wzrastała w przeświadczeniu, że jest lub będzie kimś szczególnym. Kimś wyjątkowym. Teraz była taka dla rodziców, później będzie dla siebie i całego świata. Tylko żeby tak było, będzie musiała już sama o to zadbać...

Niczego nie potrafił ojciec jej odmówić. Lecz mimo tego, że była jedynaczką nie była nadmiernie rozpieszczana - czuła tylko, że jest bezgranicznie kochana. To właśnie tata był tą osobą, z którą kojarzyły jej się wspomnienia z dzieciństwa. Matka istniała gdzieś w cieniu. Zawsze tak było. W ich rodzinie to ojciec był tym, który dominował. Nie żeby był tyranem, o nie! Ale jednak jak się tak głębiej zastanowić to w sumie przytłaczał matkę i ją samą; i chociaż robił to w przeświadczeniu, że czyni dobrze, to do końca wcale tak nie było. Marta już teraz wiedziała, że w swej miłości był zaborczy. Nie zawsze ta cecha bywa pożądaną. Czasami to było męczące. Ale i tak Marta każdego faceta porównywała z ojcem i to właśnie on był fundamentem jej wyobrażeń o przyszłym partnerze. Choć przyrzekała sobie, że ona nie będzie nigdy tak bierna jak matka. I nie była. Robiła wszystko, by ograniczać swobodę w związku każdemu facetowi z którym była. Posuwała się nawet dalej. Zaczęła dominować i w końcu dorobiła się etykiety żony, z którą trudno wytrzymać. Na dłuższą metę żaden facet nie zniesie czegoś takiego. Mądre kobiety zostawiają swym partnerom tę odrobinę złudzeń, że to oni rządzą. A mądrzy faceci nie próbują na siłę tego wykorzystywać. Jest jakaś głębsza myśl w starym powiedzeniu o głowie rodziny i szyi, która tą głową kręci... Związek kobiety i mężczyzny musi być oparty na partnerstwie, każda inna okoliczność prowadzi to zachwiania równowagi. Marta niestety tej lekcji nie pojęła. Życie zawodowe i prywatne pomieszało jej się dokumentnie, a właściwie stało się jednym - w obu rywalizacja była dla Marty najważniejsza. A co gorsza musiała zawsze wygrywać i to za wszelką cenę. I tu tkwił szkopuł. Nie umiała zaakceptować przegranej. I robiła wszystko, by unikać takich sytuacji.

Była na to zbyt niezależna. Nie potrafiłaby się tak bezgranicznie podporządkować komukolwiek, a mężczyźni w szczególności. Jednak niektóre kobiety inaczej nie mogą - potrzebują męskiego wsparcia, a nawet opieki do tego stopnia, że nie są partnerem w związku, a tylko jego elementem. I matka Marty zdawała się być taką właśnie kobietą - zależną od ojca i biernie wierną w małżeństwie. Nie brała tylko jednego pod uwagę: że być może mądrość matki była tym spoiwem, które trzymało w całości małżeństwo. Że może wcale taka nie była, tylko inaczej stałaby się taka jak Marta. No cóż, jakkolwiek było z jej matką - Marta nie pojęła tej lekcji, albo raczej pojęła ją na opak.

Pewnie podświadomie Marta nienawidziła ojca za to jak traktował matkę. Feminizm Marty był zdaje się pochodną tego, czego była świadkiem w młodości. Trochę jednak wypaczał jej życie, ale tego akurat Marta nie zauważała lub starała się ignorować ten fakt.

Przez wiele lat przyjmowała ojcowe dowody miłości bez skrupułów i w przeświadczeniu, że jej się słusznie należą. Ale i ona w końcu doświadczyła tego, co była udziałem jej matki. Kiedyś drogi jej i ojca się rozeszły, co tak naprawdę chyba nigdy nie zaakceptował. Ojciec wymarzył sobie, że będzie lekarzem, a ona wybrała architekturę. I wtedy właśnie ujrziała gniew ojca - po raz pierwszy tak naprawdę i nieodwołalnie Marta poczuła jak to jest być księżniczką, która spada z piedestału. To było coś więcej niż zawiedzione nadzieje. To było niczym zdrada - tak przynajmniej postrzegał jej ojciec. Właściwie architekt to równie nobilitujący zawód jak lekarz. Zresztą żadna profesja nie jest godna aż takiego ostracyzmu,

aczkolwiek w społeczeństwie pewne zawody są szanowane bardziej. Dla ojca Marty lekarz stał na samym szczycie.

Padł ofiarą własnych oczekiwań względem córki, a Marta zbyt była niezależna, by mu ulec. A przecież konsekwentnie tak ją wychowywał - na chwałę swego rodzicielstwa. No cóż, Marta nie była swoją matką, nie mogła biernie brać wszystkiego i słuchać potulnie ojca. Nie do końca się z tym pogodził, dla niego to była porażka, choć przecież porażką nie była.

To naturalne, że rodzice chcą dla swych dzieci jak najlepiej i nie zawsze podoba im się wybór życiowej drogi przez ich pociechy, ale najmądrzej jest pozwolić dzieciom decydować o sobie - rzecz w tym, aby nie zmarnować czasu od momentu narodzin aż do dorosłości i wychować dzieciaki tak, by podejmowały w pełni dojrzałe decyzje. I żeby brały za te decyzje odpowiedzialność i ponosiły wszelkie konsekwencje wynikające z tychże.

Nie każdemu to się udaje, a jeszcze mniej to potrafi.

Marta zdecydowała o sobie i by udowodnić ojcu, że dobrze wybrała, ze wszystkich sił starała się pokazać mu, że jest w stanie osiągnąć szczyt. Chciała, by mimo wszystko był z niej dumny.

Pochodziła z małego miasteczka, gdzie wszyscy o wszystkich wiedzieli wszystko. Gdzie status był rzeczą istotną. Pewnych spraw nie można było zaniedbywać i zostawiać samych sobie. W takich miejscowościach wyścig szczurów przybierał szczególną formę. Nic co człowiek mówił i czynił nie pozostawało w oderwaniu od tego jak go postrzegali inni. Tam czas biegł trochę wolniej od reszty świata. W dużych aglomeracjach tłum pozwalał na wtopienie się w tło i do pewnego stopnia do uniezależnienia od środowiska. Anonimowość powodowała to, że moglibyśmy być sobą. Do pewnych granic rzecz jasna, ale jednak zawsze. A w takich miejscach jak rodzinne miasteczko Marty każdy podlegał ścisłym regułom i zachowaniom, a indywidualizm, jeśli był nie poparty pozycją społeczną, postrzegano jako szkodliwą cechę. Niczym skazę genetyczną niedającą się usunąć.

Tylko osoby bardzo bogate albo ustosunkowane mogły sobie pozwolić na odstępstwo od tej zasady, a ich odmienność traktowano w kategoriach ekstrawagancji. Cała reszta wtłoczona w ramy małomiasteczkowej etykiety, sztywno trzymającej fason za wszelką cenę, starała się nie wychylać. Ta atmosfera mieszczańskiej, fałszywej moralności kładła się cieniem na wielu, ale nikt nie chciał być obiektem plotek. Chyba, że zamierzał wyjechać na zawsze. Było wiele takich spraw, które stawały się tabu. Między innymi niechciane ciąży i dzieci urodzone bez ojca.

A to właśnie stało się udziałem Marty. Jak tu się zjawić w domu i pokazać ojcu jak bardzo się go zawiodło? A przecież to skrajna głupota. Rodzice nie mogli odpowiadać za czyny swych dorosłych dzieci. Niemniej wiele mówiły o sposobie wychowania, o jego braku lub co gorsza zaniedbaniu. Tak przynajmniej twierdzono w tych środowiskach. Każdy chętnie czekał na sposobność by tylko drugiemu wytykać błędy i mienić się tym, który jest prawowitny, choć tak naprawdę to każdy podlegał tym samym prawom. Jakoś nie znajdowała tu zastosowania maksyma: „kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień...”

I jak tu pokazać się w domu? Ojciec jej tego nie daruje, może nawet wyrzeknie się takiej wyrodnej córki? Był do tego zdolny. Marta zdawała sobie doskonale sprawę, że mogłby tak zrobić. Bezgraniczna miłość dla swej księżniczki miała jednak granice, musiała być na jego warunkach, gdzie przebaczenie się uzyskiwało nie za każdy grzech. Gdzie klątwa rodzinna wciąż miała jeszcze moc, chociaż w sumie to już przebrzmiała pieśń dawnych czasów. Przecież majątek, który miała odziedziczyć, choć sama miała wszystko, był nie do pozazdroszczenia. Trudno było jej się pozbyć mentalności Melanii z dobrej rodziny...

Oczywiście, że mogła żyć dalej w wielkim mieście, i tak pewnie zostanie tutaj, ale rodzice żyli tam, a prędzej czy później wyjdzie na jaw co się stało. Miasteczko będzie miało igrzyska. Nie chciała narażać ani matki, ani tym bardziej ojca na coś takiego. Tam było to hańbą i wstydem okryłaby całą swoją rodzinę - jakkolwiek to staroświecko i głupio brzmi. Doskonale

zdawała sobie sprawę jak okrutni są to ludzie. Zawistni i fałszywi, gotowi na chwilę potknięcia, by rzucić się i rozszarpać. Plotkom, i to tym najbardziej plugawym, nie byłoby końca.

Marta, pomimo tego, że gardziła nimi to jednak w gruncie rzeczy była nieodrodną córką tego miejsca, konwenanse jednakże odgrywały w jej życiu rolę i to większą niż Marta była skłonna przyznać przed sobą. Nie była w stanie się od tego tak zupełnie odseparować, zbyt długo mieszkała tam, by tak całkowicie zapomnieć o wychowaniu, które jej rodzice zaszczyli. To było niczym odruch bezwarunkowy. Styl zachowania i skalę wartości, którą wyznawali jej współmieszkańcy przez cały okres dorastania. Taka dulszczyzna w wydaniu małomiasteczkowym.

Wiele razy była świadkiem jak bezlitośnie społeczność niszczyła jednostki przejawiające skłonności do zbyt dużego indywidualizmu. Jak chociażby ten malarz, co kupił dom pod miastem i próbował zaszczylić miłość do malarstwa abstrakcyjnego, albo profesor Konopacki, który po kilkudziesięciu latach przykładowego uczęszczania na msze nagle doznał apostazji i przystał do świadków Jehowy. Z dnia na dzień spotkali się z narastającą wrogością, aż do całkowitego wyłączenia ze społeczności. Wielu pomniejszych przykładów nie warto nawet wspominać...

Na jakikolwiek przejaw ekscentryzmu lub choćby tylko delikatnego odstępstwa, miasto reagowało natychmiast i bez litości. Aby być oryginałem - na to potrzeba było albo mnóstwa kasy, albo niezłych stosunków z elitą, co zresztą szło z reguły w parze.

Ostracyzm towarzyski był bronią straszliwą, a jeśli komuś nie zależało na opinii to jawna wrogość posunięta aż do aktów przemocy zmuszała delikwenta, albo do porzucenia swych przekonań, albo do sromotnej ucieczki. Ileż to dziewczyn emigrowało do innych miejscowości tylko dlatego, że nie potrafiły znaleźć mężów i ojców dla swych dzieci! Marta dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Już tak się żyło tam w jej rodzinnej miejscowości. Wolno, konserwatywnie i bez fajerwerków. I choć powolutku dochodziło do zmian, to jednak nie na tyle, by dało się tam żyć. I Marta, wzorem innych młodych ze swego pokolenia wyrwała się z tej dusznej atmosfery i zamieszkała w wielkim mieście. Ale choć to trudno przyznać, jej charakter na tyle nasiąknął tym wychowaniem, że w połączeniu ze współczesnym światem dawał mieszaninę dość przerażającą.

Łzy obeschły i Marta zaczęła szukać gorączkowo sposobów rozwiązania tej paskudnej sytuacji, w której się znalazła.

Słyszała z tego, że potrafiła tak pokierować sprawami, iż te przybierały pożądany obrót. Jak dotąd wychodziła zwycięsko z każdej opresji, a przynajmniej umiała minimalizować straty. Miała dar analitycznego myślenia i pozornie oderwane od siebie fakty i wydarzenia umiejętnie łączyła w całość i to z satysfakcjonującym efektem.

Inna rzecz, że w takim stanie jeszcze nie była. Tu w grę wchodziły jej uczucia i emocje - trzeba będzie nabrać odpowiedniego dystansu by należycie ocenić fakty. Na chłodno musi rozważyć wszystko to, czego teraz doświadczyła. Ale żeby to osiągnąć należy się uspokoić i, choć to trudne, beznamiętnie rozpracować problem.

Ból głowy ogarnął umysł niczym schodząca z gór mgła turnie. Marta wstała i udała się do kuchni, tam przygotowała sobie świeżą kawę. Połknęła podwójną dawkę środków przeciwbólowych i popiła wodą. Przymknęła oczy i czekała aż proszki zaczną działać. Ból pulsował pod czaszką nieprzemijająco, ale z coraz mniejszym natężeniem. Marta wzięła głęboki wdech i w nozdrza uderzył aromat świeżo parzonej kawy.

Wróciła na kanapę i przez chwilę ostro dmuchając w filiżankę popijała po małym łyżeczku szlachetnego napoju. Powoli zmora, która trzymała w okowach jej głowę połuźniła swój uchwyt, a wraz z tym myśli zaczęły krążyć trzeźwiej.

Teraz Marta mogła zacząć budować zręby działania, które miały ją wyciągnąć z tego bagna.

A więc Kamil okazał się nie tylko egoistą, ale także tchórzem. Co prawda Marta nie spodziewała się po nim niczego innego, ale jednak tak jawny opór ją zaskoczył i to niemiłe. Zmuszał do brnięcia dalej i szukania bardziej drastycznych sposobów na wyegzekwowanie swych praw. Ktoś przecież musi być prawnie odpowiedzialny za dziecko i to musiał być facet. Ona sama nie zamierza się poświęcać w imię rodzicielstwa i choć stać ją było na samodzielne wychowanie dziecka to nie zamierzała żadnemu samcowi ułatwić pozbycia się kłopotu. Chciała dać Kamilowi nauczkę i żaden opór z jego strony nie był w stanie złamać w niej tego postanowienia.

I nie tylko dlatego, że własny ojciec będzie dociekał tego, ona sama wbrew feministycznym hasłom, którym hołdowała, chciała to prawnie i obyczajowo zakończyć tak, aby nie musieć się wstydić przed mieszkańcami rodzinnego miasteczka. Nie dlatego, że ktoś będzie sobie nią wycierał gębę, ale by nazwisko ojca i matki nie szargał nikt ponad miarę. I bez tego gadania będzie co niemiara. Zbyt dobrze to знаła, by łudzić się, że może być inaczej. Tych kilka przypadków dziewcząt, które przed nią miały nieszczęście być w podobnych sytuacjach było aż nadto oczywiste co się stanie z jej opinią, gdy pojawi się z dzieckiem - a bez ojca tegoż.

Tu, w wielkim mieście, nie miało to większego znaczenia, ale tam, w rodzinnych stronach była to skaza, która mogłaby wyrzucić ją poza nawias społeczeństwa. I o ile jej to może niewiele zaszkodzić, to żyli tam rodzice przecież. Jakby to przeżyła matka? No i ojciec? Tacy czuli na punkcie konwenansów?

Musi znaleźć ojca dla swego dziecka. A właściwie nie znaleźć, bo on istnieje, ile zmusić do wzięcia odpowiedzialności, której jak się okazuje unika niczym diabeł święconej wody.

Skoro po dobroci nie chce, trzeba będzie go to tego zmusić. Marta usilnie rozmyślała nad możliwościami takiego rozwiązania. Niestety, jej wiedza na ten temat była żadna. Coś tam kołatało pod czaszką o badaniach krwi, testów DNA i takie tam, ale jak do tego doprowadzić? Gdzie się udać? Komu to zgłosić?

Może nawet uznać to za gwałt? O, niezła myśl! Była pijana, a on ją wykorzystał. Choć przecież zaprzecza temu... No pewnie; a co, ma się przyznać do przestępstwa? Mogłaby to zgłosić na policję, ale czy nie jest za późno? Czy nie minęło zbyt wiele czasu od tamtej nocy?

Marta znała już kierunek, lecz pytań było zbyt dużo i to takich, na które nie znała odpowiedzi. Nawet cienia. Ktoś musi jej pomóc. Tylko kto? Przydałby się jakiś prawnik, ktoś taki co ubierze jej pomysły w szaty paragrafów i na fundamencie kodeksu zbuduje gmach pułapki, w którą zapędzi i na zawsze zamknie Kamila.

Czy znała kogoś takiego? A może by tak poszukać w mieście? Przecież takich kobiet jak ona musiało być więcej. Świat jest pełen złych facetów i oszukanych kobiet. O tym Marta była święcie przekonana.

Ale dobrze by było, gdyby tego kogoś mimo wszystko znała. Byłoby jej łatwiej, choć zdawała sobie sprawę, że z obcym czasem lepiej by się czuła. Lecz wywlekać swój wstyd i upokorzenie przed całkiem obcą osobą?

A może tak pójść do szefa i poprzez niego zmusić Kamila do posłuszeństwa?

I wciągać pracę w życie osobiste? To już prawnik lepszy, bo zobowiązany do milczenia.

Marta czuła dyskomfort na myśl, że będzie musiała wtajemniczyć w swe prywatne sprawy obcych i to jeszcze tak intymnej natury. Dotychczas ograniczała dostęp postronnych do siebie. W miarę możliwości wykorzystywała innych do własnych potrzeb, ale uzależniać się do nich czy wręcz oddawać na łaskę - to już zupełnie co innego. Coś, co absolutnie jej nie odpowiadało. Co kłóciło się z jej postrzeganiem świata i tym, jak ona w nim funkcjonuje. Lecz niestety, docierał do niej fakt, że tym razem inaczej nie można. Przerazało ją to.

Już sama świadomość, że coś ją ogranicza, była porażająca. Frustrująca. Dołująca. Jak dotąd, kiedy docierała do krańca swych możliwości pchała ścianę dalej. Teraz pomysłów brak - po raz pierwszy była bezradna i uczucie to ją przygniatało. Nauczyła się uważać siebie za

samowystarczalną. Doprowadziła feminizm w sobie do szczytu perfekcji - teraz okazywało się, że jest coś co ją przerasta i z czym sobie nie poradzi. Bezsilna złość ją ogarniała na samą myśl, że nie jest aż tak doskonała jak sądziła. To oczywiście naturalne, ale dla niej było przeżyciem nieomal jak z najgorszych koszmarów.

Może byłoby lepiej, gdyby mogła z kimś to wszystko przedyskutować, by spojrzeć na to z innej perspektywy. Poznać zdanie osoby patrzącej z boku. Najlepiej, żeby było jak najbardziej obiektywne.

Tyle tylko, że nie było nikogo takiego. Marta boleśnie uświadomiła sobie fakt, iż brak takiej osoby wokół niej. Obywała się dotychczas bez znajomych, o przyjaciółach nie ma co wspominać. Jej charakter odstręczał potencjalnych kandydatów. Również ciągła praca nie sprzyjała zawieraniu i utrzymywaniu znajomości, tym bardziej, że Marta nic nie robiła w tym kierunku. Było jej samej dobrze, doskonale sobie radziła sama - jak dotąd. Teraz wsparcie by się bardzo przydało, lecz nie było nikogo, aby pocieszyć, żeby poradzić. Była sama - tak jak zawsze chciała, ale obecnie ta filozofia stała się jej przekleństwem. Nie da się przejść przez życie jak przez pustynię. Człowiek, czy tego chce czy nie, jest zależny od innych. Osoby pokroju Marty, z wyżyn swego wysokiego mniemania o sobie, stawały się wyalienowane, często na własne życzenie.

Przez te wszystkie lata Marcie było tak wygodniej, łatwiej, prościej; bez zbędnych uwikłań i niepotrzebnych bagaży, bez ciągłego zajmowania się cudzymi problemami i bez nachalnej pseudo przyjaźni.

Lecz teraz, gdy znalazła się w tym położeniu ujrzała, że nie tylko jest sama - ale samotna. Nikogo, by się wyżalić, wypłakać czy chociażby poradzić. Z nikim się nie знаła na tyle, by mogła szukać wsparcia.

Nie licząc tego incydentu z Julią. Ale aż tak zdesperowana nie była, choć jak się głębiej zastanowić, to chętnie by teraz spędziła czas nawet z Julką.

Cały jej świat walił się w gruzy, a ona nie potrafiła temu zapobiec. Zawsze spadała na cztery łapy jak kot w każdej opresji. Tak kształtowała otoczenie wokół siebie, że to ona decydowała o wszystkim, a przynajmniej wykorzystywała okoliczności na swoje potrzeby. Umiała minimalizować straty kiedy, pomimo wysiłków, coś jednak nie szło po jej myśli.

A teraz sytuacja ją przerastała. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Marta nie wiedziała co począć. I czuła, że najchętniej by pozwoliła, aby ktoś za nią rozwiązał ten problem. Albo przynajmniej wskazał sposób.

Była przekonana, że musi być samowystarczalna, by nie być nikomu nic dłużna i bez absolutnie żadnych zobowiązań. Ale egoiści są samotni i kiedyś płacą za swoje postęпки. Czyżby Marta spotkała swój los, który wystawił jej właśnie rachunek? Być może wariowała, ale tak się właśnie teraz czuła. Gdzieś bardzo głęboko w podświadomości tkwiło przeświadczenie, że kiedyś przyjdzie jej zapłacić za wszystkie podłości i krzywdy wyrządzone innym. Ono zawsze w niej było, choć usilnie spychała je jak najgłębiej i do końca była pewna, że potrafi nad tym panować. I że nigdy nie dopuści do tego.

Jak widać, myliła się.

A może wcale nie? Jak zwykle przez faceta ma kłopoty i facet okazał się świnią - też jak zwykle. To tylko potwierdzało jej teorię i umacniało w przekonaniu, że jednak poglądy są słuszne. A przecież dała mu szansę, mógł nie być takim palantem - gdyby zaakceptował tylko rolę jaką mu wyznaczyła, ale nie! Musiał wszystko skomplikować, musiał być potwierdzeniem opinii jaką miała o nich wszystkich. Musiał okazać się rasowym mężczyzną - nieodpowiedzialnym, samolubnym dupkiem, kombinującym tylko jakby tu przejść przez życie bez problemów. Tak ich Marta postrzegała i Kamil jak widać nie był wyjątkiem, a wręcz potwierdzał tę regułę.

Niemniej, czy wina była po stronie Marty czy Kamila, to właśnie ona ma za to zapłacić i znaleźć rozwiązanie. I znajdzie je! Jak zwykle; tyle, że tym razem zamierzała wreszcie kogoś

pociągnąć do odpowiedzialności. Kamilowi ta podłość nie może ująć na sucho! Zapłaci, w taki czy inny sposób; za to co zrobił i co ważniejsze - jak się zachował.

Marta już zdawała sobie sprawę, że nie podoła temu sama; że musi poprosić o pomoc. Wtajemniczyć w swe sprawy obcego, wpuścić w swój intymny świat. Gniewało ją to, ale równocześnie wiedziała, że inaczej nie można.

Szukała gorączkowo w myślach. Od samego początku przypominała sobie znajomych, zwłaszcza klientów. Byli bardzo ustosunkowani i jeśli nawet sami nie mogliby jej pomóc bezpośrednio, to może mieli innych znajomych. Marta wiedziała, że aby znaleźć kogoś rzeczywiście dobrego, musi powołać się na koneksje i znajomości. Tego rodzaju środowisko było raczej zamknięte na świat zewnętrzny, dotrzeć do środka można było poprzez protekcję. Tam funkcjonowali najlepsi i ci, co najwięcej mogli, a takich teraz Marta właśnie potrzebowała.

Kiedy poczuła jak się całkiem odprężyła, myśli zaczęły się układać w jasną całość i zaczął się krystalizować plan działania.

Za jednym okrażeniem pokoju pochwyciła swój terminarz, wizytownik i oczywiście telefon komórkowy. Przypominało to trochę gromadzenie przez komandosa swego wyposażenia bojowego. Kiedy już wszystko to rozłożyła w równym rzędzie na stole, postanowiła jeszcze raz zaparzyć świeżej kawy.

Czekając aż się zaparzy, układała w głowie kolejność osób, do których zadzwoni najpierw. Czuła, że znów myśli trzeźwo i ma cel. Przeczuwając, że może to być długi wieczór, nasypała kawy do kubka, a nie jak dotąd do filiżanki. Żeby wzmocnić ilość kofeiny, zaparzyła po turecku. Może te wszystkie odstępstwa od reguły powinny ją zaniepokoić, ale uznała, że po pierwsze - tego właśnie potrzebuje, a po wtóre ma większe problemy niż pogwałcenie swoich zwyczajów. O tym, że może to zaszkodzić dziecku nie pomyślała. Jeszcze nie funkcjonowała w ten sposób – że cokolwiek zrobi, będzie to miało wpływ na ciążę...

Z kubkiem w ręku popatrzyła na swój oręż i z wyraźnym zdecydowaniem usiadła na krześle. Otworzyła notatnik, terminarz i wizytownik. Tak uzbrojona sięgnęła po komórkę i wystukując pierwszy numer upiła gorącego naparu. Odrobinę sparzyła usta i język, ale nie było czasu na roztkliwianie się nad sobą, bo w słuchawce odezwał się głos.

Trochę czuła się skrępowana, że fatyguje w sumie obcych ludzi i zawraca im głowę kłopotami, które wcale ich nie obchodzą. Lecz musiała przełknąć tę kolejną gorzką pigułkę tego wieczoru. Duma więc powędrowała do kieszeni, a wstyd tylko nieznacznie ścisnął za gardło.

Po każdej rozmowie notowała coś w notatniku lub zapisywała w terminarzu. Wyłaniał się z tego obraz działania. Rzeczy, które trzeba będzie zrobić jutro lub pojutrze. Oto cała Marta! Metodyczna, dokładna i na zimno wyrachowana w swoim postępowaniu.

Już wiedziała, że weźmie te parę dni wolnego. Będą jej potrzebne, by odbyć wszystkie spotkania i posłuchać porad od prawników. Przyszły tydzień jawił się jako pasmo nieustannych ustaleń, zeznań i spotkań. Ale wiedziała jedno - że po tym Kamil wpadnie w matnię bez wyjścia.

W oczach załśniła stal.

Kiedy już obdzwoiła wszystkich, których zamierzała i tych do których musiała zadzwonić w drodze poręczeń i protekcji, mogła wreszcie odstawić telefon i głośno westchnąwszy, rozprostować ramiona.

Ostatni raz rzuciła okiem na zapisane kartki. Przemknął jej delikatny uśmiech, lecz nie było w nim cienia zyczliwości, tylko czysta mściwość.

Jako wytrawna pedantka, zebrała ze stołu swe zabawki i umywszy kubek, poszła się wykapać. Resztę planu doszlifowała leżąc w gorącej wodzie, tak jak lubiła. Choć zupełnie się tak nie zapowiadało po wizycie Kamila, wieczór stał się całkiem przyjemny. Odprężyła się i zanuciła swój ulubiony przebój.

W całkiem dobrym humorze kładła się spać.

5.

Niestety, noc już taka przyjemna nie była. Sen stał się pasmem koszmarów, a być może był to jeden koszmar, tylko w niezliczonej ilości odsłon? Dość, że rano obudziła się zmęczona i wymięta, zupełnie jakby spędziła noc na ciężkiej harówce. I na dodatek kompletnie nie pamiętała o czym śniła. Chociaż, przy uwzględnieniu, że były to koszmary, to nawet lepiej nie pamiętać. Gdzież podziały się noce, po których rankiem wstawała wypoczęta i pełna energii w oczekiwaniu na każdy kolejny dzień? Marta należała do tych stosunkowo nielicznych osób regenerujących się podczas snu, całkowicie i dogłębnie. Pochlebiała sobie, że jest to widomy znak, iż ma czyste sumienie... Raczej nie gnębiły jej żadne wyrzuty, co najwyżej, że nie zdążyła czegoś tam przeprowadzić lub jakaś sprawa nie została dokończona. Tyle. Taki stan jak obecnie był dla niej nowością graniczącą z szokiem! Kolejny dowód na to jak destrukcyjny wpływ ma na psychikę kobiety facet...

Wstała z dużym ociąganiem i poczłapała do łazienki. Zanim skierowała się do klozetu, rzuciła przelotne spojrzenie w kierunku tafla lustra. I natychmiast przekonała się dobitnie, że nie powinna była tego robić za nic w świecie. Ujrzała bardziej zjawę niż własne odbicie. Oczywiście, każdy tuż po przebudzeniu wygląda dość osobliwie, ale dla Marty było to przeżycie traumatyczne. Nigdy dotąd nie prezentowała się tak okropnie. Ale cóż, skoro się nie przespało nocy, albo raczej noc była tylko pasmem męczarni, to nie dziwota. Choć to była marna pociecha. Marta chwilę kontemplowała swój wizerunek i z niesmakiem odwróciła się w kierunku kabiny prysznicowej. To powinno pomóc jej doprowadzić się do stanu używalności. Przynajmniej dotąd tak bywało, aczkolwiek nigdy jeszcze nie musiała poddać się aż takiej reanimacji! Po drodze załatwiła inne czynności fizjologiczne, wliczając w to oczywiście tradycyjne hołdy składane muszli klozetowej. Zdawała sobie sprawę, że po tym wygląda jeszcze straszniej, chociaż, na bogów, było to prawie niemożliwe.

W strugach wody rozmyślała. Układała plan dnia. Znajome uczucie relaksu wywołane prysznicem pokazało, że ciało nadal reaguje na bodźce, to tylko umysł ostatnio szwankuje. Powinna sobie z tym poradzić. Wszystko przez to, że spadło na nią zbyt wiele na raz, i to spraw, z którymi nie wiedziała co począć.

Po prysznicu poczuła się lepiej. Skontrolowała ten fakt, ponownie spoglądając w lustro. Zmiana była zauważalna wyraźnie. Te obwódki wokół oczu i ziemistą cerę trzeba będzie rzecz jasna jakoś zaczarować, ale od czegoż kobiecy arsenał kosmetyków? Marta co prawda nie należała do kobiet nadmiernie się malujących, ale nie stroniła od makijażu. W jej pracy to było niezbędne. Dziś będzie musiała trochę dłużej posiedzieć przed zwierciadłem. Ale nic to, ma czas.

Powoli mijał ranek. Delikatne śniadanko i to całe hokus-pokus z makijażem, i mogła wreszcie ruszyć w miasto. Chwilę się wahała, czy najpierw udać się na policję, czy do prawnika? Uznała, że lepiej zasięgnąć porady prawnej. Szybko sprawdziła na którą jest umówiona i stwierdziła, że ma jeszcze mnóstwo czasu. Kolejna filiżanka kawy. I walka z pokusą sięgnięcia po papierosa. Ale ciąża nie pozwoliła jej na taką nieodpowiedzialność. Taka już była Marta: może to dziecko jest niechciane, ale skoro zamierza je urodzić, to nie może być samolubna. Perfekcjonistka! Aczkolwiek, nie do końca, jak się tak zastanowić... Pozbierała wszystkie drobiazgi do torebki i zarzuciwszy garsonkę wyszła z domu.

Jazda autem po mieście o tej porze nie należała do rozkosznych, lecz dziś nie przeszkadzały jej ani korki, ani wszędobylscy przechodnie beztróska galopujący na przełaj po jezdni. Nigdzie się nie spieszyła, więc skupiona na jeździe uważnie prowadziła. Miało to tę dobrą zaletę, że zmuszało ją to do nie myślenia o niczym innym. W końcu po nieprzyzwyczajeniu

długim czasie dotarła na miejsce. Zaparkowała na płatnym parkingu pod biurowcem w którym mieściła się kancelaria prawnicza.

Gdy znalazła się w holu, hoża, ale skromna asystentka pospieszyła jej z pomocą.

- Czym mogę pani służyć? - Nawet uśmiech, chociaż wyraźnie firmowy, miała ujmujący.

Taki, jaki powinien być w tym miejscu i w tych okolicznościach. Nic nie mogła Marta poradzić, że od razu jej się skojarzyła książeczka czekowa. Jej książeczka czekowa...

- Jestem umówiona z mecenas Kozłowską.

- Proszę chwilę poczekać - asystentka wskazała Marcie wygodną kanapę. - Zaraz sprawdzę, czy pani mecenas może panią przyjąć.

I nie czekając na reakcję, odwróciła się na zgrabnych szpileczkach, kierując się do jednego z wielu gabinetów jakie widniały w holu. Zapukała i nie czekając na zaproszenie weszła do środka jednego z nich. Marta z uznaniem pokiwała głową na tak sprawne działanie. Ceniła kompetentny personel. Sama była wszak szefem. Co prawda, nie wiadomo jak długo jeszcze. Odrobinę zwarzyło jej to humor.

By odegnać złe myśli, rozejrzała się po pomieszczeniu. W końcu była projektantem wnętrz, takie oglądanie cudzego pomysłu było, jakby to rzec, zboczeniem zawodowym. Urządzono je ze smakiem, ale chyba dość bezosobowo, tak by nie nadawać tu żadnego wyraźnego stylu.

Widać, że namęczył się kreator wnętrz, aby za bardzo nie przesadzić z żadnym trendem.

Wnętrze dla każdego i dla nikogo, uświadomiła sobie Marta. Na tyle miłe, by chcieć tu czekać i dość oględne, by zbyt nie się rozglądać. Ot, skromnie, ale schludnie. Wszystko po to, by klienci nie byli za bardzo zaabsorbowani, albo broń Boże, czymkolwiek urażeni.

Nie czekała zbyt długo. Tutaj nie zwykło się marnować czasu. Aż nadto widać było renomę tego miejsca, a to zwykle oznaczało dużą kasę. Marta nie należała do biednych, ale doskonale sobie zdawała sprawę, że wyjdzie stąd nieźle odchudzona na portfelu. Miała tylko nadzieję, że nie będą to pieniądze wyrzucone w błoto. Dostała się tutaj poprzez protekcję. Inaczej pewnie w życiu by się tu nie dopchała tak prosto z ulicy.

Zjawiskowe dziewczę pełniące tutaj funkcję aplikanta, ponownie stanęło przed nią i promiennie się uśmiechając, zapraszała do gabinetu pani mecenas. Marta nagle straciła cały spokój. Jak zwykle w takich chwilach stała się odrobinę złośliwa. „Ciekawe, czy nie boli ją twarz po całym dniu takiego uśmiechania się?” - pomyślała. I obrzuciła aplikantkę krytycznym wzrokiem. W jednej sekundzie dotarła do jej świadomości młodość dziewczyny. Świeżości jaka jej już minęła. Marta była już kobietą dojrzałą, a wkrótce za sprawą ciąży miała zatracić i tę figurę jaką posiadała. Wprawilo ją to w jeszcze większą złość. „Cholerny Kamil!” - przekląła w duchu. - „Ale się z tego nie wywinie!”

Przekroczyła próg, a za nią bezszelestnie zamknęły się drzwi. Stanęła przed obliczem mecenas Kozłowskiej.

Prawniczka powstała na jej widok i wyciągnęła delikatną dłoń na powitanie:

- Witam, szanowną panią. - Głos budził zaufanie. - W czym mogę pomóc?

Marta uściśnęła rękę i zajęła wskazany sobie fotel.

- Potrzebuję porady prawnej w dość... - tutaj nerwowo odchrząknęła. - ...w dość delikatnej sprawie.

- Mianowicie? - mecenas Kozłowska od razu przystąpiła do sedna.

Marta wybrała kobietę prawnika myśląc, że mniej się będzie krępowała mówić o takich sprawach niż z mężczyzną. Może nawet spodziewała się jakieś formy współczucia, a przynajmniej zrozumienia. Nie miała jak dotąd zbyt wiele do czynienia z prawnikami, chyba, że projektowała im domy letniskowe albo mieszkania. Ale to były całkiem inne relacje. Teraz miała odsłonić całą swoją intymność. Kiedy wczoraj kalkulowała na zimno, spodziewała się, że nie sprawi jej to żadnego kłopotu, lecz teraz ta pewność minęła bezpowrotnie. Oj nie będzie łatwo, nie będzie... Marta jako osoba skryta, nie zwykła mówić o sobie, więc ta rozmowa była dla niej niczym tortura. A przecież jeszcze się właściwie nie zaczęła!

- Chcę pozwać mężczyznę! - wyrzuciła z siebie pocisk naładowany takimi emocjami, że chyba zawibrowało powietrze w gabinecie.

- W sprawie? - Prawniczka beznamiętnie zadała pytanie całkowicie nieświadoma tych namiętności, jakimi była targana Marta. Cóż, zawodowa rutyna...

Marta z przerażeniem odkryła, że nie może wykrztusić słowa. Tylko coraz szybciej oddycha. Przez moment czuła jak się jej robi słabo. Ale chyba bardziej ze złości niż wstydu.

- Proszę pani? - Kozłowska delikatnie przywołała ją do porządku, ale chyba spostrzegła, co się z nią dzieje, gdyż zaraz dodała. - Może odrobinę wody?

- Nie, dziękuję. - Ta reprimenda, choć doskonale zakamuflowana, pozwoliła Marcie się pozbierać. - Przepraszam...

- Nic się nie stało - głos prawniczki tylko odrobinę nabrał nieco cieplejszych tonów. - A więc w jakiej to sprawie zamierza pani pozwać mężczyznę?

- O ustalenie ojcostwa! - wypaliła kolejny nabój, ale ten także nie uczynił na pani mecenas żadnego wrażenia.

- I gwałt!

Dopiero w tej chwili prawniczka pozwoliła sobie na delikatne uniesienie brwi.

- Była pani w tej sprawie na policji? - zadała pytanie, jednocześnie coś notując w notesie rozpostartym przed jej nosem na biurku.

- Jeszcze nie. - Marta z każdym zdaniem nabierała coraz większej pewności siebie. -

Chciałam najpierw się poradzić prawnika... - Tutaj nastąpiło skinięcie głowy w pełnej akceptacji. - Polecano mi panią... - Zdobyła się na kolejny pochlebny gest. To także zostało powitane ze zrozumieniem, choć efekt był mniejszy niż się Marta spodziewała. Albo Kozłowska była odporna na komplementy, albo zbyt zadufana w sobie, by się nad nimi rozczulać. Marta miała nadzieję, że to pierwsze.

- Kiedy nastąpił ten przykry incydent?

- Trzy miesiące temu.

Nagle ręka prawniczki pisząca uwagi w notesie znieruchomiła:

- Słucham?

- Trzy miesiące temu - wybełkotała speszona Marta. Przeczynała w tym pytaniu komplikacje.

Przez dobrych kilka sekund prawniczka wpatrywała się w Martę wzrokiem myśliwego.

„Albo nic z tego nie będzie, albo ocenia moje możliwości finansowe” - pomyślała nawet dość trzeźwo jak na te okoliczności. W końcu Kozłowska raczyła zabrać głos:

- Szanowna pani Raczek. - cedziła powoli słowa, zupełnie jakby chciała, żeby Marta doskonale wszystko zrozumiała. - Obawiam się, że w tej kwestii nie mogę pani pomóc.

- Nie bardzo rozumiem? - zatrzepotała rękami Marta.

- To powiem inaczej. Sprawa gwałtu jest sprawą przegraną. Mogę oczywiście zacząć całą procedurę, ale z doświadczenia wiem, że po takim czasie są raczej nikłe szanse na pozytywny wynik. Zrobię, jak pani postanowi, ale proszę mi uwierzyć, szkoda czasu i pieniędzy.

Zanim Marta pojęła, co usłyszała, mecenas dodała:

- Zwłaszcza pieniędzy!

- Więc co mam zrobić?! - Marta niemal krzyknęła.

Ogarniać zaczęła ją panika. Nic nie szło tak jak sobie wczoraj obmyśliła. Nie tego spodziewała się usłyszeć od prawniczki. Liczyła się z jakimiś trudnościami, ale żeby tak zaraz na początku, kiedy nawet nie zaczęły na dobre? Wprawdzie doceniała to, że mecenas nie wmanewrowała jej w z góry straconą sprawę i do tego jeszcze sownie kazała sobie za to płacić. Ale nie tak sobie to wszystko zaplanowała. Zgoda, miała raczej mgliste pojęcie o tych wszystkich operacjach prawniczych, ale miała nadzieję na nieco inny początek. Przede wszystkim chciała efektów - najlepiej od zaraz. Naiwność takiego myślenia była widoczna nawet dla niej, lecz mimo tego wciąż z uporem maniaka spodziewała się jakichś spektakularnych posunięć, błyskotliwych działań - słowem miała nadzieję, że Kozłowska nie

wychodząc z gabinetu wszystko załatwi. Przyzwyczajona była działać i co ważniejsze, zależeć tylko od siebie. Tutaj była zdana na łaskę kogoś innego. I do tego całkiem obcego! Frustracja o mało jej nie zadusiła.

- Najlepiej będzie jeśli wszystko mi pani opowie. - Kozłowska wygodnie się rozsiadła i bliżej przysunęła notatnik do siebie by bez problemu zapisywać uwagi. - Kiedy poznam tło sprawy, będzie mi łatwiej znaleźć jakieś sensowne posunięcia.

- To konieczne?

- Raczej tak.

Marta westchnęła. Teraz będzie musiała ponownie przez to wszystko przejść, krok po kroku odsłonić swe najskrytsze, najbardziej intymne przeżycia. Dla niej to był istny koszmar! Nienawidziła się odsłaniać, a tu nie ma wyjścia. Chyba, że uzna całe to zamieszanie za zwykłą pomyłkę, przeprosi grzecznie i zapłaciwszy za fatygę opuści kancelarię jak niepyszna. Ale nie potrafi zrezygnować z ukarania Kamila. Musi go nauczyć pokory, musi mu pokazać, że to właśnie ona jest górą! I choć cena naprawdę wysoka, jest gotowa ją zapłacić.

Zaczęła swą opowieść zupełnie od początku, od chwili kiedy poznała Kamila i dotarła aż do dnia dzisiejszego. Kiedy już zaczęła, to mówiła nieprzerwanie, jakby chciała w tej swoistej spowiedzi oczyścić się i nabrać sił do dalszej walki. Prawniczka z rzadka przerywała pytaniami i skrupulatnie notowała swe spostrzeżenia. Ani na moment Marta nie zobaczyła na jej twarzy żadnych emocji. Ani zaskoczenia, ani odrazy, ani sympatii. Całkiem jakby gadała do automatu. W sumie tak powinno być, chociaż Marta odrobinę spodziewała się bardziej otwartych reakcji. Kiedy skończyła, zapadła na kilka sekund cisza.

- Czyli, jeśli dobrze zrozumiałam, nie chce pani zmusić pozwanego do związku, tylko po to, aby uznał ojcostwo?

- Tak.

- Chce go pani ukarać?

- W pewnym sensie...

Prawniczka spojrzała uważnie na Martę:

- Jest pani tego absolutnie pewna?

- Całkowicie - Marta twardo stała na swoim stanowisku.

- Muszę panią ostrzec, że nie będzie to przyjemne. Może pani spotkać się z niechęcią w pracy. Może nawet tę pracę stracić.

- Jestem w ciąży. Jak pani myśli, długo tam popracuję?

Tylko nieznaczne uniesie brwi znamionowało to, co Kozłowska sobie pomyślała. Ale nawet teraz Marta nie potrafiła odczytać tego gestu. Był całkowicie bezosobowy.

- A poza tym niesłuszne zwolnienie z pracy też podpada pod paragrafy, prawda?

- Istotnie. Ale nie zalecam aż takiego rozmachu. To musi potrwać, a w pani stanie każde emocje nie są mile widziane.

- Więc najpierw zacznijmy jedno!

- Dobrze. Zrobimy tak, szanowna pani. Dziś przedstawię pani plan działania i kroki jakie podejmiemy w pani imieniu, pokażę spodziewane konsekwencje tych działań. A pani da sobie do namysłu kilka dni, a później podejmie ostateczną decyzję, zgoda?

- Po co? - Marta nie do końca zrozumiała co do niej mówi prawniczka.

- Proszę wszystko bardzo dobrze rozważyć, pani Raczek.

- Ale ja już...

- Taki jest mój warunek. W przeciwnym razie nie podejmuję się tej sprawy.

Marta aż otworzyła usta ze zdziwienia, ale natychmiast się opanowała.

- Myślałam, że mi pani współczuje?

Po niewczasie zdała sobie sprawę jak żałośnie brzmią jej słowa. To już była jawna zebrania o sympatię.

- Pani wybaczy, - prawniczka cedziła powoli i zimno - ale tu jest kancelaria prawnicza, nie grupy wsparcia.

Marta uczuła jakby ktoś wymierzył jej siarczysty policzek. Jeśli liczyła na to, że wzbudzi swoją opowieścią jakieś łązawe zapewnienia, to się rozczarowała. Nawet jakby zdawało jej się, że raczej ta kobieta nią pogardza, i to nie dlatego, że spotkało ją to, co spotkało, ale za całokształt dokonań. Co prawda, tak tylko się jej wydało, ale było to uczucie na granicy pewności, coś takiego, co nazywa się intuicją. Kobięcą intuicją. Ale Kozłowska była zbyt doświadczoną prawniczką, by pokazywać po sobie przy kliencie swe emocje, takie coś było w zasadzie niedopuszczalne. Miała działać dla dobra klienta, a nie być jego przyjacielem lub sędzią.

- Przepraszam... - wybąkała zupełnie speszona Marta.

- Nic nie szkodzi. Chcę tylko, by dobrze pani zrozumiała swoją sytuację. I by moja rola także nie pozostawała niedopowiedziana. Czy wyrażam się jasno?

- Najzupełniej.

- Więc proszę mnie teraz bardzo uważnie wysłuchać.

Przez kolejnych kilkanaście minut trwał nieprzerwany monolog prawniczki, a przed oczami Marty jawić się zaczął plan działania w ogólnym zarysie. Może i Kozłowska nie jest jej przyjaciółką, ale na swojej robocie znała się doskonale. Kiedy skończyła, Marcie zdawało się, że dostrzega rozpostartą sieć pajęczą i Kamila tkwiącego w samym środku tej matni. A tego właśnie chciała! To był jej cel.

- Na dziś to będzie wszystko. Proszę należność uregulować u asystentki i przyjść do mnie za kilka dni, jak pani to wszystko jeszcze raz przemyśli. Wtedy ustalimy koszty, a nie będą małe, i ewentualnie rozpoczniemy procedurę pozwu.

Marta chciała zapytać o te koszty, bo co prawda nie była biedna, ale milionerką także nie, lecz zanim otworzyła usta, Kozłowska dodała:

- Żegnam.

Te słowo i wyciągnięta ręka w geście pożegnania pokazały jej dobitnie, że na dziś jej czas minął. Ucisnęła tylko bez słowa dłoń prawniczki i ruszyła do wyjścia.

W holu, zgodnie z poleceniem, zapłaciła wiecznie uśmiechniętej stażystce i ustaliwszy kolejny termin porady, wyszła na ulicę.

Kiedy wietrzyk owionął jej rozpaloną twarz, nabrała przekonania, że to wszystko było jakieś takie nierealne. Jakby wcale nie odbyła tej rozmowy przed chwilą. Jakby nadal śniła ciąg dalszy koszmaru z nocy. Ale nie! Powoli docierał do niej cały sens tego spotkania. Wszystkie implikacje jakie z tego mogą wyniknąć, a które w tak obrazowy sposób przedstawiła jej pani mecenas. I poczuła na odwrót, jak się jej robi słabo. Po raz pierwszy uczuła lęk, obawę - nie czy robi słusznie, bo akurat tego była całkowicie pewna - ale czy będzie miała w sobie tyle zaparcia, aby to doprowadzić do końca. Zdawała sobie sprawę, że potrzebne jest jej wsparcie, ale nie ma znikąd pomocy. Prawniczka, jak sama to powiedziała, będzie pilotować ten statek, ale nic więcej. Paliwa emocjonalnego musi sama sobie dostarczyć. Czy pokłady nienawiści do Kamila są w niej aż tak niewyczerpane, czy tylko jej się tak zdaje? I czy może liczyć na kogoś jeszcze w swoim otoczeniu? Ma co prawda wokół siebie ogrom ludzi, ale kogoś kto by ją wspierał? Dotychczas nie zabiegała o żadną przyjaźń i nie otrzymywała jej - była samowystarczalna. Tak jak sobie to nakreśliła i wytyczyła szlak w życiu. Wszelkie rafy omijała na tyle umiejętnie, że prawie bez szwanku dotarła aż do dzisiaj. Nawet jeśli gdzieś po drodze przytrafiła się jakaś kolizja, sama potrafiła załatać dziury. Aż do dziś... Teraz się to zmienia. Teraz także przekona się, czy pomimo całego swego postępowania jest ktoś obok niej, kto będzie potrafił wesprzeć ją. Teraz pozna o sobie prawdę. Tylko jak bardzo jest ona gorzka?

Marta przytłoczona tymi wszystkimi myślami skierowała swe kroki do kawiarni. Tam przemyśli to i owo. Zajęła stolik, zamówiła kawę i deser. Całkowicie impulsywnie. Nigdy

dotąd tak nie czyniła, nie miała czasu na kawiarniane pogaduszki, a po prawdzie nie miała z kim ich odbywać. Wciąż każdy jej gest, każde posunięcie, nawet jeśli było zupełnym zaprzeczeniem jej charakteru, ukazywał w całej rozciągłości, jak bardzo jest samotna. Z wyboru co prawda, ale jednak. Nigdy nie potrzebowała nikogo bliskiego, by dzielić się troskami i radościami, teraz być może było już na to za późno. A może wcale nie? Może jednak ktoś jest gdzieś tam, kto wyciągnie pomocną dłoń i wesprze w potrzebie? Jednego była pewna - już niedługo się o tym przekona. Przecież cenią ją w pracy. Miała tego dowody. Cenili ją współpracownicy, choć nie była wcieleniem dobroci, to jednak wykonywała swoją pracę solidnie. Budziła w otoczeniu szacunek. Zazdrość także, pewnie, ale nie mogli jej tylko nienawidzić. No i byli jeszcze szefowie. Oni też ciągle ją hołubili, świadczyły o tym te wszystkie premie i nagrody jakie zgarniała nieustannie. I rzecz jasna, awans! Nie dostała go na piękne oczy. Więc chyba może liczyć na odrobinę wsparcia od nich? Przecież padła ofiarą podłego faceta, który wykorzystał ją w najbardziej okrutny sposób. Takie coś zawsze budzi w innych odruchy dobroci, nawet jeśli kilka osób będzie z tego zadowolonych. Wiadomo, nie każdy ma samych życzliwych, a tacy jak ona, mają ich bardzo mało lub wcale. Piąć się na szczyt nie da bez ofiar pośród ludzi z otoczenia - nawet gdybyśmy nie chcieli nikomu wyrządzić żadnej krzywdy, to nie unikniemy łez. A Marta zdawała sobie sprawę, że ona nie unikała konfrontacji w całym swoim życiu. Dzięki temu dotarła tam gdzie dotarła, ale cena była wkalkulowana w ryzyko. Zresztą, z całym martusiowym podejściem do życia, nie umiała inaczej postępować.

Tak rozmyślała jednocześnie delektując się aromatem kawy i smakiem doskonale przyrządzonego deseru. Z każdą zjedzoną łyżeczką doświadczała czegoś niesamowitego, czegoś, co dotąd ją omijało łukiem szerokim jak tęcza na niebie. Tyle przyjemności sobie odmawiała! A teraz, kiedy już prawie osiągnęła swój szczyt, los przewrotnie podkłada jej nogę. To takie niesprawiedliwe! Nie zwykła była się nad sobą użalać, ale w tej właśnie chwili poczuła łzy pod powiekami. Lecz musi być twarda i konsekwentna, a nagroda będzie jak zawsze godna niej samej. To było niczym zaklęcie, powtarzała je sobie wciąż i wciąż, siedząc w kawiarnianej sali. Karmiła nie tylko ciało; karmiła także swoją nienawiść do Kamila. Im dłużej o nim myślała, tym bardziej dochodziła do przekonania, że jednak to zbyt mało. Powinien odpowiedzieć także za gwałt! Takie coś nie może facetowi uchodzić na sucho! Nawet jeśli prawnicy twierdzą inaczej!

Zanim skończyła deser już wiedziała, że następny krok jaki uczyni, to będzie wizyta na komisariacie. Żadna siła jej od tego nie odwiedzie! I właściwie dziwiła się Kozłowskiej, że tak nią pokierowała. Ona, kobieta, zupełnie zbagatelizowała sprawę gwałtu. A przecież może ten fakt mieć kapitalne znaczenie dla tej sprawy; więcej - może nawet zaprowadzić Kamila do więzienia! Gwałt jest karalny. Ależ to byłoby coś! Sprawić, że raz na zawsze złamała by mu karierę, dała taką nauczkę, jakiej żadna inna kobieta nie potrafiła mu dać! A na jaką z całą pewnością zasłużył. I to nie tylko w jej przypadku, ale także w odniesieniu do tych wszystkich kobiet, które skrzywdził. Kto wie, ile takich gwałtów się dopuścił? Może, kiedy świat zobaczy jaki z niego potwór, to zgłoszą się inne poszkodowane przez niego kobiety? Marta uśmiechnęła się do tego pomysłu. Wystarczy kiedy jedna się odważy - i tą jedną będzie właśnie ona! Odpłaci mu za nie wszystkie. Odpłaci z nawiązką. Za jego żonę, zdradzoną i porzuconą, za wszystkie uwiedzione i także porzucone na pastwę losu. W końcu za nią samą.

Jeśli czegoś się podejmowała, to dokonywała tego. Bez żadnych warunków! Bez uników! Bez półśrodków! I tym razem też tak będzie. Skoro chciała go oskarżyć o gwałt - to uczyni to. Bez względu na to co sądzi o tym jakaś zimna, wyrachowana prawniczka. Widać nie za bardzo chciało jej się komplikować spraw, być może popadła w taką rutynę, że nie chce jej się zaczynać jakichś ryzykownych postępowań. Bo po prawdzie, Marta miała świadomość tego, że jednak sprawa tego gwałtu jest cokolwiek, delikatnie mówiąc, naciągana. Bardziej brzmi jak jej chciejstwo by tak było, niż fakt, który miał rzeczywiście miejsce. To trochę

pogmatwane, że kobieta pragnie być uznaną za zgwałconą, raczej wszystkie negocjowały takie zdarzenia. Lub starały się za wszelką cenę o tym zapomnieć. A Marta właśnie na odwrót. I tylko gdzieś głęboko tkwił cień, że to chyba jednak nie tak; że to nie w ten sposób się odbyło. Być może Kozłowska też doszła do takiego wniosku? I przez grzeczność zignorowała to. Bo gdyby tak było w istocie, to Marta powinna zaraz iść na policję, a nie dopiero teraz po trzech miesiącach, tym bardziej, że nie ukrywała chęci zemsty na kochanku. Więc może faktycznie dać sobie spokój? Ale nie! Nigdy! Może nie jest w stanie mu udowodnić winy, w końcu nie pamiętała niczego z tamtej nocy i nie było nikogo by poświadczyć, ale zawsze może mu krwi napsuć oskarżeniami. Takie rzeczy są paskudne i błoto potrafi na wiele lat przywrzeć do człowieka, nawet jeśli było niesłusznie rzucone. Zdawała sobie sprawę, że zaczyna być małostkowa, ocierając się o śmieszność, starała się za wszelką cenę i na każdy możliwy sposób dopieć jak najbardziej Kamilowi. Jakkolwiek jest - jemu nie odpuści. Nie po tym jak ją potraktował. A poza tym nie ma co tak myśleć, tylko działać.

Dopiła resztkę kawy i zostawiwszy należność na stoliku, nie zapominając o sowitym napiwku dla kelnerki, wyszła na powrót na ulicę. Pomimo rozmyślań o Kamilu humor jej się poprawił wyraźnie. Ruszyła w kierunku parkingu wolnym spacerkiem. Zaczynała pomału doceniać te drobne przyjemności dnia codziennego, które dotąd jej umykały. Kawiarnia, spacer, czas który nigdzie nie goni. W sumie życie ma swoje uroki, których nie da się zmierzyć, ale których nie sposób przecenić. I wszystko to przechodziło obok niej. Zdawała sobie sprawę z istnienia tego wszystkiego, ale jakoś nie potrafiła wykrzesać z siebie potrzeby zapoznania się z tym. A teraz już wiedziała, że zbyt wiele ją ominęło żeby dalej to lekceważyć. Gonienie za mirażami, choćby nie wiem jak pięknymi może i jest fascynujące, ale nagroda zawsze była gorzka. Bo wciąż gdzieś tam majaczyło w oddali kolejne wyzwanie. Kolejny cel do realizacji. Marta już wiedziała lub przeczuwała, że musi od dziś zmienić swe nastawienie do życia. I to jest słuszny kierunek. Kiedy tylko zakończy całą tę aferę z Kamilem, przewartościuje swoje życie i od nowa nauczy się egzystować. „Nauczę się sama siebie od początku, do szpiku kości, do dna!”* - zanuciła w myślach stary hit.

Dotarła wreszcie do auta.

I skierowała się do najbliższego komisariatu policji.

Na posterunku zameldowała funkcjonariuszowi, że chce się widzieć z oficerem dyżurnym. Głosem stanowczym i w zasadzie nieznoszącym sprzeciwu. Widać, że młody policjant był bardzo znudzony, bo indagował ją w jakim celu chce tej wizyty i czy aby na pewno on nie może być pomocny już teraz? Przez chwilę nawet Martę bawiło to przekomarzanie się z młokosem, ale później już wyraźnie zniecierpliwiona, ugodziła go wieścią, że chce zgłosić popełnienie przestępstwa. Mianowicie gwałtu. W jednej chwili policjanta wymiotło z kanciapki jaką zajmował i pogalopował w głąb komisariatu. Wrócił niemal natychmiast w asyście jakiegoś starszego stopniem policjanta, Marta za cholerę nie potrafiła rozróżnić tych ich nowych pagonów, ale znać było, że to ktoś o wiele bardziej doświadczony, choćby ze sposobu w jaki odnosił się dyżurny do niego. Po prawdzie, nic trudnego być starszym stopniem od posterunkowego.

Ten budził przynajmniej zaufanie. W sile wieku, znający swój fach i niejedno już widzący - nie tak jak ten kadet przy wejściu, choć pewnie swego czasu tak samo terminował. Wzrok znamionował siłę charakteru i niezłomność, a wyraz twarzy sprawiał wrażenie pewności. Marta to wszystko uświadomiła sobie w mgnieniu oka.

- Witam panią - do tego głos ciepły i pewny uścisk ręki.

Marta zakłopotana nic nie odpowiedziała, tylko delikatnie odwzajemniła powitanie i przytrzymała podaną jej rękę odrobinę za długo.

- Proszę dalej - wskazał jej drogę w głąb komisariatu. - A ty, poszukaj komisarz Nadolną!

Wydane polecenie głosem nieznoszącym sprzeciwu. Dyżurny wyprężył się słuźbiście i pognął w poszukiwaniu pani komisarz.

Marta została wprowadzona do pokoju, gdzie mieściły się tylko stół i parę krzeseł. Pokój przesłuchań jak się domyśliła. Usiadła na wskazanym krześle i czekała w milczeniu na rozwój wypadków. Policjant przyglądał jej się uważnie, bez natarczywości, lecz przenikliwie. Marta przez chwilę poczuła się nieswojo, nie jak ofiara, tylko jak sprawca. To miejsce dziwnie na nią działało. Wszystkie grzeszki, duże i mniejsze, stały jej przed oczami jak żywe. Głupie uczucie. Ale jednak całkiem prawdziwe. Ojciec wpoił jej szacunek do stróżów prawa. Robił to tak długo, aż czuła dziwny lęk przed funkcjonariuszami, niczym nieuzasadnioną obawę. Sama nie potrafiła zrozumieć tego faktu, a co gorsza, nie umiała nad nim zapanować. Każda kontrola drogowa wywoływała w niej dreszcz strachu, że jest czemuś winna i spotka ją za to kara. A teraz siedzi tutaj, nerwowo zaciska wargi i zaczyna dochodzić do wniosku, że chyba to nie był najlepszy pomysł z tym przyjściem na policję. I jeszcze ten wzrok, który na niej spoczął i powodował niesamowity dyskomfort. Chciała mu powiedzieć, by przestał się na nią gapić, ale zdawała sobie sprawę, że nie tak powinna zachowywać się osoba pokrzywdzona. Miała tylko nadzieję, że ta Nadolna zaraz się pojawi. Milczenie, zdecydowanie się przedłużające, zaczynało być męczące. I coraz bardziej niezręczne. Na szczęście niemal w tej samej chwili drzwi się otworzyły i do sali wkroczyła rzeczona pani komisarz. Marta cichym westchnięciem powitała to przybycie. Źle znosiła narastające napięcie, to wydarzenie powinno zmienić wszystko. Z dużym zadowoleniem przywitała to wejście, mogła swobodnie zwrócić wzrok ku pani komisarz, a jednocześnie wyjść spoza spojrzenia policjanta, który cały czas jej się uważnie przypatrywał.

- Dzień dobry - Nadolna przywitała się i zajęła miejsce po drugiej stronie stołu, dokładnie naprzeciwko Marty. - W czym tkwi problem?

Pytanie było skierowane raczej do partnera niż do niej.

- Pani chce zgłosić popełnienie przestępstwa. - policjant odparł tonem zupełnie pozbawionym wszelkich ukrytych znaczeń.

Nadolna lekko uniosła brwi ze zdziwienia.

- Chodzi o gwałt - sprecyzował swą wypowiedź.

- Gwałt... - potwierdziła Nadolna jakby się upewniając.

Marta wciąż nie czuła się najlepiej, to ciągle obnażanie jej prywatności działało na nią deprymująco. A teraz pewnie znowu przyjdzie jej opowiadać o tym co ją spotkało. Lub raczej to, co jej się wydawało, że się wydarzyło.

- Pani...? - zawiesiła głos w oczekiwaniu na nazwisko Marty.

- Raczek - pospieszyła z odpowiedzią Marta. - Marta Raczek.

- Pani Raczek! Zanim złoży pani zeznania, muszę zapytać o jedną rzecz...

- Słucham? - Marta skupiła się na rozmowie, zapominając niemal gdzie się znajduje. Niemal, bo mundury policyjne dość wyraźnie wskazywały na miejsce pobytu.

- Gwałt to zdecydowanie delikatna sprawa, nie każda kobieta chce, by jakikolwiek mężczyzna uczestniczył przy opowiadaniu. Chce pani, aby podkomisarz Widuch był obecny przy tych zeznaniach?

Marta spojrzała na policjanta jakby chciała się z nim w niemy sposób zmierzyć. Przez chwilę zdało jej się, że bierze odwet za ten cały czas, kiedy była skazana na jego wzrok. Ale policjant nie ugiął się, patrzył na nią wciąż intensywnie, ale bez widocznych oznak zmieszania. Pojedynek pozostał nierozstrzygnięty. Marta poczuła, że ten policjant, choć facet, budzi w niej uczucie spokoju.

- Może zostać.

- Na pewno?

- Oczywiście.

Nadolna obrzuciła ponownie uważnie Martę spojrzeniem mającym odszyfrować wszystko, co tylko dało by się odgadnąć.

- Dobrze. To zaczynamy. Najpierw pogadamy sobie, a później wszystko to jeszcze raz spisujemy.

Marta wygodniej się rozsiadła. Już teraz cały ten niepokój minął, wszystkie rozterki pierzchły i pozostała tylko pewność swego postępowania. Skoro podjęła się tego zadania, to doprowadzi je do końca.

- Proszę wszystko opowiedzieć nam od początku. - Nadolna także zajęła wygodniejszą pozycję na krześle. Widuch nadal się nie ruszał, przypominał skałę, nieporuszony i stały.

Marta ponownie rozpoczęła swą opowieść, dobierając słowa praktycznie te same, kiedy relacjonowała tamte wydarzenia u prawniczki. Jeszcze raz opowie tę historię, a będzie znała ją na pamięć... Ale jednak za każdym razem niepewność, którą ją dręczyła, znikąca coraz szybciej, jakby nieustanne powtarzanie miało tę zbawienną cechę, że upewniała się w swojej misji. Że jest słuszna. I prawdziwa.

Gdy dotarła do momentu, kiedy dowiedziała się o ciąży, jakby na chwilę zacięła się w swej opowieści. Ale szybko się opanowała i nie pomijając żadnych aspektów swego postępowania, doprowadziła opowiadanie do końca. Nie ukrywała, że zamierza w ten swoisty sposób się odegrać na Kamilu.

Kiedy zamilkła, cisza wypełniła pokój. Żaden funkcjonariusz nie rzekł nic, przetwarzając zebrane informacje, zupełnie jakby szukali słów w jakie ubiorą swoje wnioski.

Wreszcie pierwsza odezwała się Nadolna:

- Kiedy miał miejsce ten gwałt?

Jeszcze zanim Marta odpowiedziała, poczuła, że w tym pytaniu kryje się pułapka jak wtedy, gdy tak samo zapytała Kozłowska. Nie było jednak możliwości nie odpowiadać na nie. Ale jakoś tak miała świadomość, graniczącą z pewnością, że teraz w ich relacjach zajdą zmiany.

- Trzy miesiące temu.

Wiadomość spowodowała reakcję. Policjanci spojrzeli po sobie i choć nie miała absolutnie pojęcia co może to oznaczać, to jednak intuicyjnie czuła, że nie był to dobry znak.

- A była pani u lekarza? - padło kolejne pytanie, ale brzmiało tak jakoś bez przekonania. - Jakież wyniki obdukcji lekarskiej?

Marta pokiwała głową w geście zaprzeczenia. Widuch wyraźnie się rozluźnił. Nie wiedziała czemu... Jakby dla niego sprawa się skończyła. Nie wiadomo dlaczego odniosła takie wrażenie. Ale tak czuła.

- Wstydziałam się... - kłamstwo zrodziło się spontanicznie.

- A teraz przestała pani się... wstydzić? - Nadolna, pomimo swej płci, kompletnie nie sprawiała wrażenia wstrząśniętej jej historią. Nie tego się spodziewała Marta. Ponownie odczuła, że w tym wszystkim jest fałsz, i co gorsza, inni także go dostrzegają. Najpierw prawniczka, teraz ci policjanci... Lecz brnęła dalej. Marta nigdy nie przegrywa!

- Jest pani niesprawiedliwa... - płacząco zajęła pozycję obronną. - Zostałam skrzywdzona. Szukam sprawiedliwości!

- Na pewno sprawiedliwości? A nie zemsty? - Tym razem odezwał się mężczyzna, pierwszy raz od początku tej rozmowy włączył się w konwersację.

- Sprawiedliwości! - Sama się prawie przekonała tym okrzykiem.

Podniósł ręce w geście obronnym, skinął głową na znak potwierdzenia i już nic więcej nie powiedział. Marta żałowała, że się zgodziła na obecność policjanta, teraz jednakże było już za późno na strojenie fochów. Pomimo tego pozostała w przekonaniu, że faceci zostaną facetami, niezależnie od pozycji jaką zajmowali. Ostatni lump, czy umundurowany policjant - nieważne, wciąż to te same dupki.

- Pani Raczek! - Nadolna wtrąciła się. - Nie ma pani świadków, nie zgłosiła się pani do lekarza. Nie była pani nawet u nas, zaraz po zdarzeniu. I nagle po trzech miesiącach się pani zdecydowała na zgłoszenie tego wszystkiego. Dziwne to trochę, przyzna pani...

- Mam rozumieć, że odmawiacie mi pomocy?!

- Nie! Ale czy dobrze pani to wszystko przemyślała? - Zabawne, już drugi raz dzisiaj słyszy tę frazę. A przecież czego jak czego, ale myślenia ostatnio jej nie brakowało. Całe dni i noce spędzała na obmyślaniu spraw, wszystkie działania jakie podejmowała dzisiaj były wynikami tych przemyśleń, a teraz oni poddają w wątpliwość jej zdrowy rozsądek. Mogłoby to nawet być zabawne, gdyby nie miało tak wyraźnego wpływu na jej życie.

- Bardzo dobrze! Nie ma pani pojęcia jak wiele myślałam o tym wszystkim. - Marta uspokoiła się. Wiedziała, że tylko na spokojnie może przeprowadzić to co sobie obmyśliła. Jeśli da się ponieść emocjom, choćby nie wiem jak słusznym, to nic z tego nie będzie. - A jakie tu ma znaczenie czas? Gwałt to gwałt! Policja ma jakiś problem?

Zagrała zupełnie na całego.

Trafiła.

Niezależnie od ich osobistych odczuć, w tej chwili byli funkcjonariuszami Policji i do ich obowiązków należało pomóc jej. W każdy dostępny sposób. Marta o tym wiedziała i zamierzała to wykorzystać. Tak jak zawsze!

- Dobrze, pani Raczek. Spiszemy zeznania i podejmiemy kroki - Nadolna postanowiła nadal prowadzić dialog z Martą, być może uznając, że Widuch jako mężczyzna lepiej niech się nie odzywa. - Ale nie obiecuję żadnych pozytywnych efektów. W obecnej sytuacji ciężko będzie cokolwiek udowodnić pozwanemu.

Marta uważnie słuchała policjantki.

- Ale skoro się pani upiera, nie mamy wyjścia.

Marta się upierała, więc dokonali całego tego zamieszania ze składaniem zeznań, a kiedy już to zrobiła, opuściła posterunek z uczuciem spełnienia. Pomimo początkowych problemów, w końcu doprowadziła swój plan. Nawet przez chwilę podejrzewała, że pierwszy raz w życiu przegra. Ale teraz wszystko wróciło na swoje miejsce, znów panowała nad swoimi sprawami. A kiedy Marta miała pod kontrolą otoczenie, odzyskiwała spokój. Tak jak obecnie.

Wyszła na chodnik i odnalazszy samochód, pojechała wprost do swego domu.

6.

Przez kilka kolejnych dni Marta oddawała się słodkiemu lenistwu. Powoli uczyła się nic nie robienia, spędzania czasu na rzeczach błahych. Oczywiście, patrząc na to z perspektywy tej dawnej Marty. Wczorajszej. Tej Marty sprzed afery z Kamilem. Dotychczas gnała naprzód bez chwili wytchnienia, nie oglądała się wstecz. Nie zwracała uwagi na nic innego poza pracą i celami do realizacji - im bardziej się spełniała w życiu, tym więcej było do osiągnięcia. Wpadła w koło bez wyjścia, w samo nakręcające się perpetuum mobile własnych ambicji i pragnień. Na bok poszły wszelkie przyjemności, nawet te drobne, nieistotne sprawy.

I teraz, nagle, ujrzała świat wokół siebie zupełnie inny. Może nawet bardziej prawdziwszy, bo nie wykreowany przez nią, ale świat realny, na który miała wpływ niewielki, żeby nie powiedzieć żaden. I nawet jej się to podobało. Odkrywała na nowo teatr, muzea, książki. Poszła na kilka filmów do kina - na seanse wyłącznie dla kobiet. Nie przypuszczała jak bardzo brakło jej dotąd tych wszystkich wzruszeń jakie są udziałem przeciętnych kobiet. Cudzych marzeń. Tych tak bardzo przez nią pogardzanych miłości. Rozkoszowała się każdą chwilą spędzoną w parku. Zwolniła. Można nawet powiedzieć, że w porównaniu z całym jej dotychczasowym życiem, to całkiem stanęła. Wszystkie problemy firmy odpłynęły gdzieś daleko, skąd ich nie sposób było dostrzec. Nawet Kamil zbladł w jej świadomości, zupełnie jakby go wcale nie było. Przez moment zapomniała o swej sytuacji, o wizycie u prawniczki i na policji. Wszystko to stało się tylko wspomnieniem. Wiedziała, że będzie musiała już wkrótce wrócić do tego wszystkiego, do całego bałaganu jaki stał się jej udziałem, a którego za swoją przyczyną skomplikowała jeszcze bardziej. Ale jeszcze nie dziś... Marta nie mogła się sobie nadziwić, że potrafiła się tak diametralnie zmienić. I że zmiana ta absolutnie nie

dziwiła jej samej. Tak jakby właśnie miało być. Odkrywała siebie na nowo. Poznawała swoje drugie ja, które dotąd skrywało się w niej tak głęboko, że nawet nie zdawała sobie sprawy z jego istnienia. Ale ono było. Widać to właśnie teraz! Pomału całe tamto dawne życie bladło, traciło sens. Bo w końcu co? I tak odejście z firmy, dziecko potrzebuje matki. Wszystko na co tak ciężko harowała, miało przepaść... W jednej chwili cały jej zawodowy dorobek życia pójdzie w najlepszym razie do archiwum. Co najwyżej ładnie będzie wyglądać w CV, kiedy ponownie postanowi wrócić do życia zawodowego.

O dziwo, nie obchodziło jej to. Przynajmniej nie tak, jak jeszcze niedawno, by ta sprawa nie dawała jej spać. Wpadła w taką swoistą niemoc. Zawiesiła się i nie bardzo chciała, aby cokolwiek ją zresetowało. Odkryła dla siebie całkiem nieznaną świat i na bogów!, podobał jej się ten widok. I to jeszcze jak bardzo! Każda najmniejsza cząstka cieszyła jak nic dotąd. Każda najbardziej trywialna czynność stawała się synonimem wolności. Prawdziwości życia. Urokiem samym w sobie. Marta starała się odrobić wszystkie te lata, które straciła. Te chwile wytchnienia były niczym antrakt pomiędzy dwoma aktami sztuki, którą tworzyła i odgrywała jednocześnie. Wiedziała aż za dobrze, że za moment przyjdzie zmierzyć jej się z problemami. Kłopotami, których sama była autorką - w taki czy inny sposób. Więc te parę dni były niczym wakacje. Urlop wzięty z życia. Piękne wydarzenia, które już za parę dni staną się tylko wspomnieniami.

Wiedziała dobrze, że powinna większą uwagę poświęcić na przemyślenie tego i owego, podjęcie istotnych decyzji, może nawet był to czas, aby zrezygnować z niektórych posunięć, wycofać się z co bardziej niepewnych spraw. Ale Marta ciągle odsuwała to na jutro. Zupełnie jak nie ona. Nigdy tak nie postępowała, zawsze brała się za bary z problemami; nawet, a może w szczególności, kiedy były na wyrost. Pierwszy raz zostawiła sprawy swemu tokowi, całkiem beztrzęsowo się nie przejmując, co będzie dalej. I podobało jej się to! Popchnęła pierwszy mały kamyczek i lawina zaczęła się toczyć; lawina, której już nie sposób zatrzymać, ani nad nią zapanować. Należało mieć tylko nadzieję, że nie zasypie ją...

Telefon milczał, tak jakby cały świat o niej zapomniał. Rozumiała jeszcze brak sygnałów od znajomych - nie miała ich po prostu - ale cisza z firmy? Niegdyś zawsze ktoś do niej dzwonił z pracy, nawet ona sama kontaktowała się ze swojej strony, nie potrafiła zostawić wszystkich spraw zawodowych samych sobie, jakby w obawie, że gdy tylko odwróci wzrok choćby na moment, to nic nie pójdzie tak jak powinno. Wciąż kontrolowała wszystkich swoich współpracowników, nie mogąc się oderwać tak naprawdę od życia zawodowego. Ale do dziś telefon leżał spokojnie na półce w pokoju, milczał jak zaklęty, a ona nawet się tym nie przejmowała. Zabawne, kiedyś już by pojechała do firmy w obawie, że pozostały z niej zgliszczka, teraz nie brakło jej kontaktu - więcej nawet: ogarniał ją spokój jakiego nigdy nie doświadczała. Widać, że nie ma ludzi niezastąpionych. Słyszała takie opinie, ale nie zgadzała się z nimi, zawsze twierdziła, że pewnych ludzi nie da się nikim zastąpić. Nieskromnie się sama zaliczała do grona takich osób, nawet jeśli nie do końca to była prawda, to i tak nadzorowała wszystkich i wszystko dookoła siebie, jakby kreując się na kogoś takiego właśnie. Słusznie czy nie, ona postrzegала samą siebie jako kogoś, bez kogo nie da się żyć - zawodowo oczywiście.

Dopiero teraz spostrzegła, że być może tak robiła, aby przekonać innych i siebie o słuszności tej tezy. Jakby sama swoim zachowaniem wymuszała takie o sobie mniemanie. Może wcale tak nie było? Może tylko tak jej się wydawało? Może chciała tylko, aby tak było? Jak widać chyba tak, bo przecież teraz nikt się z nią nie kontaktował, choć minęło tak wiele dni jej wolnego; nawet ona sama pozostała na boku. I nie tylko nie było jej z tym źle, wręcz przeciwnie: czuła się po raz pierwszy wolna. Wolna od obowiązków, wolna od swych demonów, wolna od chorego pragnienia kontrolowania wszystkiego wokół siebie.

Już sam fakt, że dostrzegła te swoje poczynania z przeszłości, te wady swego charakteru i małostkowości własnej osobowości sprawiał w niej samej przemianę jaka zachodziła obecnie.

Trochę na wyrost Marta czuła jakby się odradzała na nowo. Albo tylko budziła się z długiego, koszmarnego snu. Stawała się innym człowiekiem. Innym, ale czy lepszym? Czy tym razem przechylili się na drugą stronę i uczyni z tej nowej Marty kolejny wykrzywiony obraz? Wpadnie z jednej skrajności w drugą?

Cieszyła ją ta zmiana, ale jednocześnie przerażała. Nawet bardziej niż to wszystko, czym stało się jej życie dzisiaj, te wszystkie problemy z ciążą, Kamilem, policją i prawnikami. Bo ta swoista „carte blanche” jej nowej osobowości budziło w niej lęk, jak strach przed nieznanym. By tym razem zapisać karty swojego życia tak jak należy.

Ale jak należy? Co jest słuszne? Jak postępować nie tyle zgodnie ze swym charakterem, bo tak przecież robiła dotychczas, ale w zgodzie z resztą świata. Bo dziś już Marta wie, że nie żyjemy sami; cokolwiek czynimy ma to wpływ na innych - obojętnie, chcemy tego czy nie, ale tak jest. Nie zawsze ma to wpływ pozytywny. Prawie zawsze bywa tak właśnie, że zmiany rzadko kiedy mają dobre skutki dla nas, a już z pewnością wprowadzają do życia zamieszanie i pewną dozę chaosu. Czyli dokładnie to, czego Marta nienawidziła najbardziej. Radziła sobie w takich przypadkach, jak zwykle ze sobą tylko wrodzoną energią, lecz tak naprawdę to nie znosiła jakichkolwiek zmian. Kochała życie uporządkowane. Niegdyś. Teraz wokół niej wszystko się waliło, nic nie szło zgodnie z oczekiwaniami - a katalizatorem tego wszystkiego była ona sama, Marta.

Milczenie telefonu zaczynało ją niepokoić. Było znamienne, budziło w Marcie lęk i dziwną pewność nadciągającej burzy.

„A może by tak samej zadzwonić?” - myśl taka kołatała Marcie pod czaszką od dłuższego czasu. Dawniej nie zastanawiała się nad takimi rzeczami, brała komórkę i wydzwaniała do każdego, kogo tylko uznała za stosowne niepokoić. Dziś Marta czuła dziwną niemoc, niewytłumaczony strach, niepokój rodzący się w głębi. Już samo to świadczyło o przemianie jaka zachodziła w niej obecnie. Wahająca się Marta? Wystraszona? Bez przygotowanego planu awaryjnego? Bez zwykłej dla niej wytrwałości w dążeniu do celu?

Niemal w tej samej chwili telefon ożywił się. Zupełnie jakby ona sama spowodowała swoim chęcią taki właśnie stan rzeczy. Marta patrzy przez kilka sekund na komórkę, na wyświetlaczu ukazał się napis „Karol Dzwoni”, a ona stoi przed dylematem: odebrać czy nie? Całkowicie wytrącona z równowagi Marta waha się.

W końcu poczucie obowiązku zwycięża.

- Słucham? - pyta.

- Cześć, Marta. - Karol wita się jak zwykle układnie. - Wybacz, że dzwonię i zakłócam wypoczynek, ale...

Zawiesił głos. Już samo to było znamienne, świadczyło o zakłopotaniu szefa. Karol raczej nie należał do osób, które dzwonią i płaczą się w rozmowie - były to kontakty szybkie, rzeczowe i na temat.

- Coś w pracy? - Marta poczuła ukłucie niepokoju. Widać nie za bardzo radził sobie Mariusz z prowadzeniem działu pod jej nieobecność, skoro Karol dzwoni do niej. Być może popełniła błąd zawierając podwładnemu, ale chciała dać mu szansę, by wykazał się i nauczył jak prowadzić dział - w końcu kiedyś będzie to robił samodzielnie, o tym Marta była przekonana. Tylko dlaczego sam nie skontaktował się z nią? Jeśli miał jakieś problemy, powinien powiadomić ją o tym, a nie brnąć dalej samemu aż do interwencji szefa.

- W pewnym sensie... - Karol dziwnie brzmiał w komórce, ale potwierdził jej obawy.

- Mariusz nawala?

- Mariusz? - pytanie Karola jeszcze bardziej zakłopotowało Martę. - Nie! Mariusz jest świetny! Niezłych masz współpracowników...

Pochwała tylko na moment ją polectała, bo zdała sobie sprawę, że Karol dąży do jakiegoś celu, tyle że okrężną drogą, a znany był raczej z prostoty i bezkompromisowości. Nie owijał niczego w bawełnę, walił prosto w oczy co miał na myśli - Karol wydający się być

zakłopotany, zdający się nie wiedzieć co powiedzieć, kluczący jakby miał przystąpić do konsumpcji jeża - to dopiero nowość i niespodzianka. I sądząc po głosie, niespodzianka niekoniecznie pożądana.

- Więc? - Marta stara się dociec przyczyn tego telefonu.

- Najlepiej będzie jak sama do mnie wpadniesz - Karol nareszcie doznał do puenty tej wymiany zdań. Chociaż tak naprawdę to niczego jej nie wyjaśnił, co najwyżej zaniepokoił ją jeszcze bardziej. I sprawiał wrażenie szczęśliwego, że może zakończyć tę rozmowę. Niczym zakłopotany szczeniak przed swym nauczycielem.

- Dobrze. Wpadnę jutro do biura - Marta pełna niepokoju potwierdza swą wizytę.

- Świetnie! - szef oddycha z wyraźną ulgą. - To do jutra, cześć!

I rozłączył się.

Marta spogląda niebotycznie zdumiona na aparat, ale stamtąd trudno oczekiwać pomocy.

Setki pytań rodzących się w jej umyśle pozostaje bez odpowiedzi. Ale sprawa musi być poważna, skoro szef wzywa ją „na dywanik”! I nie chce podać powodu tego wezwania. Zdenerwowanie Marty sięga kulminacji. Przez moment miota się po pokoju, skrajnie zdenerwowana. W końcu zaparza sobie ziółek uspokajających i sącząc gorący napar, czeka aż adrenalina opadnie do poziomu jaki spowoduje, że na powrót się uspokoi. Z początku usiłuje dociec, co też takiego mogło się wydarzyć w pracy, nawet sięga po telefon, by zadzwonić do Mariusza, ale po chwili odstawia go na miejsce - nie będzie przed podwładnym pokazywać swej słabości. Skoro telefon od szefa nie miał niczego wspólnego z jej działem, Mariusz może nie wiedzieć, co takiego chce od niej Karol - jej niepokój mógłby tylko wywołać niepotrzebne plotki w pracy.

W końcu jutro się wszystko wyjaśni.

Z tą konkluzją Marta ułożyła się do drzemki. Zauważyła, że teraz często musiała odpoczywać, znać ciąża wpływała bardzo destruktywnie na jej zdrowie. A może to tylko reakcja jej organizmu na zbytne przepracowanie? Być może w ten sposób się regenerowały jej siły? W końcu jest coraz starsza. Możliwe, że już nie starczą jej krótkie godziny snu w nocy? A może po prostu stres wyzwała w niej mechanizm obronny - słyszała czy czytała może gdzieś, że czasem niektórzy tak mają, iż w silnym stresie uciekają w sen - zupełnie jakby chcieli przespać całe to zamieszanie i obudzić się kiedy już będzie po wszystkim. Taka metoda strusia - schować głowę w piasek. W tym przypadku przespać cały problem. Marta co prawda dotychczas nie odnajdywała w sobie takich skłonności, ale ludzie się zmieniają, a jej życie w kilku ostatnich dniach odmieniło się diametralnie. Łącznie z jej postrzeganiem świata i stosunkiem do otoczenia, do życia, do ludzi - słowem do wszystkiego wokół niej i jej samej na dokładkę. Już niczego nie była pewna. A siebie - najmniej.

Zabawne uczucie. Poznawać siebie od nowa. Dotychczas miała obraz swego ja - pewnej, dążącej do celu kobiety, która wie czego chce i co ważniejsze - wie jak tego dokonać. Aż do teraz. Cięża, kłopoty w relacjach z Kamilem i jej reakcje na to wszystko, sprawiły że narodziła się jakby od nowa - a może tylko skrywane i negowane przez nią samą cechy charakteru, ukryte i zepchnięte głęboko, teraz wylazły i wywróciły cały jej świat do góry nogami? Już wydawało się, że okres kształtowania osobowości ma za sobą. Tak naprawdę, w zasadzie nigdy nie czuła buntu, tak charakterystycznego dla młodzieży - ona odkąd tylko pamięta, była już osobą dojrzałą, wiedzącą czego chce i jak tego dokonać. Ojciec nauczył ją wszystkiego, co mogło być w tej drodze użyteczne - wpoił zasady, przekazał swe doświadczenie i pomógł finansowo, by zdobyła zawód. Niestety razem z tym, dostała także jego rozterki, obawy i gorzkie przeświadczenie, że może liczyć tylko na siebie - co w kontekście charakteru Marty miało tę właściwość, że stała się zimna, bezwzględna i dążyła do celu za wszelką cenę - po trupach i bez oglądania się na innych. Cel osiągnęła, przynajmniej tak jej się zdawało do dziś, ale kosztem osamotnienia i pustki wokół siebie. A do tego Marta sprawiała wrażenie osoby, która nikogo nie potrzebuje dla siebie. Świątce w to wierzyła -

choć w tej chwili czuła, że jest coś więcej w życiu; coś ważniejszego niż kariera; coś ważniejszego niż doczesne dobra tego świata. Te kilka dni jakie spędziła sama ze sobą, ukazały jej inne warianty, inne wartości - zaczynała powoli, nieubłaganie przewartościowywać swe poglądy. Górnolotnie można by rzec, że Marta narodziła się na nowo, zupełnie jakby zbudziła się ze snu.

Powoli Martę ogarniała błogość. Sen otulał ją niczym koc. Czuła jak odpływa w ten stan wiecznego bezpieczeństwa, rojeń i marzeń, gdzie wszystko się udaje i wszystko jest możliwe - no chyba, że śnią się człowiekowi koszmary... Ale Marcie nigdy się nie śniły złe sny. Jeśli nie liczyć tych paru nocy od kiedy wie, że jest w ciąży i Kamil wiecznie sprawia jej kłopoty. Jeśli już ma sny niezbyt przyjemne - to zawsze w związku z tym facetem! W zasadzie wszystkie jej kłopoty są z nim związane. W taki czy inny sposób - ale u źródła tkwił Kamil. Był dla niej niczym wrzód na tyłku.

Powoli, lecz nieubłaganie Marta zasypiała. Odpływa w niebyt, niby zdawało się, że jeszcze odbiera bodźce z zewnątrz, a jednak już spała. Niemal natychmiast zaczęła śnić. Dlatego zdawało się, że wciąż widzi i słyszy - w rzeczywistości marzenia senne były tak realne jak świat wokół niej. Całe otoczenie dookoła Marty zlało się w jedno, jawa i sen stały się majaczeniem - na poły realne uczucia. Każdy zna ten stan - śniesz, a jednak zdaje ci się, że ani na moment nie straciłeś kontaktu z rzeczywistością. Natychmiast po zamknięciu powiek, Marta zapadła w drzemkę. Zupełnie jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z prądu...

...Stoi w sieni. Czeką na sygnał. Jaki sygnał? Marta nie wie, czuje jedynie, że jest w miejscu, gdzie nie powinno jej być, a jednak z drugiej strony zdaje się, że właśnie jest tam, gdzie być musi. Gdzie chce być. Gdzie być pragnęła od zawsze - niczym ukoronowanie całego jej życia, ukrytych pragnień i dążeń jej jestestwa. Negowane dotąd i odrzucane przez nią samą, stało się urzeczywistnieniem marzeń.

W tle słychać dźwięki organów, echo niosło muzykę zwielowrotniając brzmienie, budząc w Marcie dreszcze podniecenia. Czuła, że oto spełniają się jej sny. Jest w niej oczekiwanie i radość, obawa i uczucie bezgranicznego szczęścia. Była pełna sprzeczności, pełna wewnętrznych wahań - niby tego oczekiwała, a jednak wszystko to było całkiem inne niż jej dotychczasowe życie, wszystkie jej uczynki stały w przeciwieństwie do tej chwili.

Patrzy na siebie. Widzi piękną, białą suknię; na głowie ma welon, a w dłoniach ścisną bukiet z białych róż. Sztampowy ubiór panny młodej - za każdym razem przewidywalny i za każdym razem na swój sposób piękny i wyjątkowy. Co prawda suknia opina się delikatnie na brzuchu, cała jej sylwetka jest zaprzeczeniem wiotkiej, zjawiskowej panny młodej - ale w końcu jest w ciąży, pewne niedoskonałości są w takich okolicznościach dopuszczalne. Zresztą Marta już wie, że nie można zawsze i wszędzie być idealnym, można się starać takim być, ale jeśli efekty nie do końca bywają zadowalające - tragedii przecież nie ma. Grunt aby samemu czuć się ze sobą dobrze - inni, jeśli tylko tego zechcą i tak znajdą jakieś niedoskonałości.

A Marta czuła się bardzo dobrze. Czeką na ojca, aby dać się poprowadzić do ołtarza. Piękny moment w życiu każdej kobiety. Kres młodzieńczych marzeń, spełnienie całego nastoletniego istnienia dziewczyny, nawet jeśli ta dziewczynka ma już lat z okładem trzydzieści i już dawno zapomniała o swych zachciankach - przynajmniej w kwestii zamążpójścia.

Oto pojawia się ojciec. Cały promienieje dumą. Oczy mu lśnią zachwytem i przejęciem swej roli. Jest taki wspaniały! Kochający, może czasem zbyt troskliwy, zbyt natarczywy w tej swojej trosce, ale szczerzy w tym uczuciu. Chce dla swej księżniczki jak najlepiej - czasami za cenę zaufania tego swego cudu. Marta dziś wie, że dzięki niemu jest tym kim jest. I jest mu za to bezgranicznie wdzięczna. Nic to, że powiadomiła rodziców o ślubie niemal w ostatniej

chwili. Pełna obaw na ich reakcje - co prawda mieli pretensje, lecz fakt ślubu ich przekonał. Nie przynosił ujmy ich córce, w końcu dzisiaj niejedna panna szła do ołtarza z brzuchem, ale koniec końców finał zadowoliliby każdego rodzica.

Pomimo całego małomiasteczkowego zachowania - Marta kochała swego ojca.

Śmieją się do siebie, Marta na moment tonie w serdecznym, ojcowskim uścisku, chce przytulić policzek do twarzy ojca, ale kunsztownie wykonany makijaż powstrzymuje ją od tego gestu. Ojciec jednakże doskonale wie, co czuje w tej chwili jego córeczka, mówią o tym jego radosne oczy, promienny uśmiech - takiego go Marta pamięta z tych dni, kiedy bywały chwile szczęścia w rodzinnym domu. Może nie było ich zbyt wiele - ale za to jak się pamięta takie rzeczy!

Wsuwając rękę pod ramię ojca i ruszając dostojnym krokiem do przodu. Wchodzą do głównej nawy i na oczach wszystkich gości i znajomych przybyłych dziś do kościoła, kroczą ku ołtarzowi niczym główni aktorzy przedstawienia jednego spektaklu. U podnóża ołtarza czeka na nią ukochany - dziś wygląda równie wspaniale, co ona: nie aż tak, aby ją przyćmić, lecz tak, jak powinien wyglądać pan młody. Oblubieniec jak z bajki - wspaniały, przystojny i pełen miłości do niej.

Podchodzą bliżej, ścigani wzrokiem zgromadzonych w świątyni, ciekawych i nienawistnych miejscami. Faceci wzdychają po cichu, że oto tracą ją dla siebie. Kobiety zazdroszczą pięknej sukni, wspaniałej ceremonii i cudownego męża. Marta nie rozgląda się na boki, dobrze wie co się wokół dzieje, jej wzrok skupia się na ukochanym. Lecz co to?! Twarz mężczyzny jest dziwnie rozmyta. Nigdy w jej snach fizjonomia przyszłego jej męża nie objawiała się w pełni, ulegała zmianom w trakcie jak zmieniały się jej fascynacje, od amantów filmowych we wczesnych latach nastoletnich wariacji, aż do twarzy poważnych ludzi sukcesu jakich spotykała w swej pracy obecnie. Czasem stapały się w jedno, czasem ulegały modyfikacjom tak zwariowanym, że śmiała się z nich - jeśli pamiętała swe sny, co doprawdy zdarzało się nader rzadko.

Dziś jednak spodziewała się ujrzeć połączenie George'a Clooneya z dyrektorem Anielewiczem, w którym się podkochiwała skrycie. A cóż widzi?! Z każdym krokiem jaki ją przybliżał do zwieńczenia marzeń, widziała twarz jej nienawistną, twarz jaką nie chciałyby ujrzeć nigdy obok siebie. Twarz jej największego wroga. Najbardziej znienawidzonej osoby. Kogoś, kto towarzyszył jej jako dyżurny czarny charakter.

Kamil! Ironia losu, przewrotność życia czy niesmaczny żart? Cóż z tego, że jest ojcem jej dziecka? To tylko szczegół. Zjadliwy jak zadra, ale w sumie nieistotny. Nie za niego chce wyjść. Nie powinna. Nic ich nie łączy - jeśli nie liczyć tej ciąży! Ale przecież to akurat załatwiła, a przynajmniej stara się załatwić. Nie po tym co jej zrobił! Co robił przez cały czas ich znajomości. Aż do tej upokarzającej rozmowy, kiedy mu wyjawiała, że spodziewa się jego dziecka! A on odrzucił jej wielkoduszną propozycję zachowania się jak przyzwoity człowiek choć raz w jego życiu i sugerował, palant jeden, że istnieje możliwość iż nie jest sprawcą całego tego zamieszania. Mało tego! Śmiał twierdzić, że jest najzwyczajszą w świecie dziwką! Niewiarygodne. I dlatego musiała dać mu nauczkę. A teraz? Cóż znaczy ta scena?

Gwałtownie staje pośrodku nawy, spogląda na ojca pełna przerażenia. To jakaś pomyłka! To nie może być prawda! Każdy, tylko nie on! Tylko nie Kamil.

Ojciec patrzy zaskoczony na córkę, nie wie, co może być przyczyną tej nagłej zmiany w jej zachowaniu. Ale uśmiecha się przyjaźnie, chce dodać Marcie otuchy. Myśli, że opadły ją nagłe wątpliwości, lęki tak bardzo naturalne komuś, kto za chwilę przestanie być tylko dla siebie. Branie odpowiedzialności za drugą osobę to poważne zobowiązanie! Czasem ogarnia w takich chwilach zwątpienie, strach i sprzeciw - wie to każdy, kto choć raz stanął w takiej sytuacji.

Ojciec delikatnie ściska Martę za ramię w geście wsparcia i po to aby ją uspokoić. Przymyka oczy w niemej zachęce, by pokazać, że jest przy niej i cokolwiek zrobi - on zawsze będzie ją wspierał. Tak jak to robią ojcowie od wieków.

Po kościele przeleciał szmer. Gapiom nie uszła uwagi ta chwila zawahania. Było to odstępstwo od przewidywalnego scenariusza wydarzeń, powiew skandalu; dreszczyk emocji owionął zgromadzonych i rozbudził zainteresowanie tych znudzonych i żądnych taniej sensacji. Zwłaszcza części ubranej w sukienki i garsonki...

Pojawiła się rysa na nieskazitelnym obrazie dnia ślubu Marty Raczek. A Marta, jako perfekcjonistka, dążyła do doskonałości - wszystkiego czego się tknęła. Jakże więc mogła dopuścić, aby ten dzień mógłby się pokryć choćby najdrobniejszym cieniem?

Musi brnąć dalej. Zaskoczenie czy nie, nie spowoduje tutaj skandalu. Nie rozczaruje rodziców. Nie da satysfakcji tej sforze zazdrosnych i zawistnych, którzy przyszli tu, aby obgadywać ją za każdy gest i każdy krok. Więc idzie, przywołując na usta uśmiech, wymuszony co prawda, ale bez skrzywienia, tak charakterystycznego dla osób zmanierowanych. Podchodzi do ukochanego. Staje obok, lecz nie patrzy na niego. Jeszcze nie potrafi do końca się przełamać. Nie wierzy, że to wszystko może być jednak prawda! Jest w szoku. Znacznie głębszym niż normalna panna młoda. Ale to całkiem zrozumiałe w takich okolicznościach. Idziesz stać się najszczęśliwszą pod słońcem kobietą, a na finiszu okazuje się, że obiecany cukierek jest obłany gorzką czekoladą. Ta metafora odrobinę ją rozbarwiła, tym bardziej, że w jej przypadku czekoladka była nawet delikatnie spleśniała.

Trochę ją dziwi ten Kami, w końcu od zawsze walczyli ze sobą, nie łączyło ich nic, jeśli nie liczyć nienawiści. A może tylko złości i niechęci z jej strony? Ale dopiął swego, a ona czuje, że się piekielnie myliła. Teraz, za parę chwil zostanie najpierw żoną, a później także matką. Ma wspaniałą pracę, cudownego narzeczonego (tak myślała do chwili obecnej) i perspektywę na spokojne, dostatnie życie otoczona wartościami jakie wyznawała od lat.

Ostatecznie, może być Kamil. Jest całkiem przystojny, jest ojcem jej nienarodzonego dziecka. Radzi sobie w życiu, potrafi zadbać o rodzinę i może stać się odpowiedzialny - jeśli tylko ona pokieruje nim; a wie, że to możliwe. Porzuci dotychczasowe życie bawidamka i zmieni się - dla niej i za jej przyczyną. Już ona potrafi go sobie podporządkować!

Wreszcie Marta odważa się spojrzeć na Kamila.

Ma taki niesamowity wyraz twarzy. Jakby nie dowierzał swemu szczęściu, jednakowo zaskoczony i radosny, niczym psiak, który nie tylko bawi się z dziećmi, ale do tego także wykopał smaczną kość! Przez ułamek sekundy jego wzrok zboczył ku wybrzuszeniu pod suknią i jego wzrok stał się jeszcze bardziej cikliwy i ciepły, a zawarta w tym spojrzeniu miłość potrafiłaby stopić cały lód świata! Marta poczuła, że jest bezgranicznie szczęśliwa - tak szczęśliwa jak powinna być kobieta w takiej chwili.

Podali sobie dłonie. Marta uczuła jak ciepło płynące od Kamila rozgrzewa jej serce. Uśmiecha się do niego. Jeszcze nie tak dawno myślała, że takie coś jest zupełnie niemożliwe, a tu proszę! Nie tylko się uśmiecha, trzyma ufnie jego dłoń w swojej, lecz także wypowie za moment słowa przysięgi i na zawsze złączy swój los z losem Kamila - ostatniej osoby na świecie, z którą sobie wyobrażała być. Kamil odwzajemnia jej uśmiech. Marta dopiero teraz dostrzega, że ma uroczy uśmiech, teraz wie skąd te tabuny kobiet wokół niego - takim czarem potrafił przyciągać płeć piękną niczym nektar owady. Sama ulegała mu z prędkością światła, jakby chciała nadrobić wszystkie te lata, które straciła na bezsensownych utarczkach. Chciała w jednym spojrzeniu zawrzeć całą obietnicę przyszłości - wszystkich tych pragnień i oczekiwań, jakie kołaczą w głowach świeżo upieczonych mężów. A Kamil dodatkowo potrzebował wsparcia - ze względu na ich przeszłość właśnie.

Pojawił się ksiądz. Rozpoczął rytuał.

Wszystko to przebiegało obok Marty, niby świadoma, a jednak czuła jakby oglądała jakiś film, bez swego udziału. Trwała wciąż na miejscu, drżąc coraz bardziej w oczekiwaniu finału.

Wreszcie dotarli do słów przysięgi. Padło pytanie o obrączki. Kamil odwraca się do świadka. W tej samej chwili Marcie przypomniały się te wszystkie na poły tylko śmieszne historie o roztargnionych świadkach pana młodego, którzy zapomnieli lub gdzieś zapodziali obrączki. Marta odwraca się dyskretnie ku mężczyźnie stojącym tuż za jej mężem i widzi podkomisarza Widucha, w galowym mundurze. Obok Widucha stoi w parze Nadolna! Oczywiście! Jakżeby inaczej. Marta czuje ciarki na plecach. Dotychczas wszystko dookoła niej było dziwne, teraz zrobiło się strasznie.

Kamil z uśmiechem i pytaniem w oczach patrzy na Widucha, a ten kiwa potwierdzająco głową. Sięga do kieszeni. W tej samej chwili Marta czuje jak dzwoni jej telefon. Zaskoczenie połączone z delikatnym niesmakiem - to było jej uczucie w tym momencie. Jak można było nie wyłączyć telefonu?! Jak można było w ogóle go ze sobą zabierać?! Na ułamek sekundy cały kościół zamął ze zgrozy. Ksiądz aż zachnął się i niemal nie wyraził werbalnie swojego zgorznięcia. W ławkach za nowożeńcami szmer szeptów przeszedł w otwarty gwar rozmów. Rodzice spoglądają zaskoczeni, matka prawie zemdląca. Martę ogarnia panika, a telefon ciągle dzwonił jakby przypominając o swym istnieniu. Całkiem zrozpaczona sięga po komórkę i odrzuca połączenie. Ale nie zdążyła jej wyłączyć. Aparat ponownie się ożywił. Tym razem Marta w bezwarunkowym odruchu odebrała:

- Halo?! - rzuca wściekła do natręta po drugiej stronie sygnału.

- Marta! Tutaj Karol! Natychmiast musisz stawić się w biurze!

- Oszalałeś?! - Marta aż czerwienieje z oburzenia. Szef nie szef, to jakiś palant, żeby dzwonić w takiej chwili. - Teraz?! Biorę ślub!

- No to co?

Nawet nie raczyła odpowiedzieć. Wyłączyła telefon z uczuciem triumfu. I niewiarygodnie zakłopotana spogląda przepraszająco na każdego, kto tylko znajduje się w zasięgu jej wzroku. Nie mówi nic, uważa, że każde słowa przeprosin i usprawiedliwień nie mają sensu - takie niedopatrzenie z jej strony było niedopuszczalne - jakakolwiek próba załagodzenia byłaby żalotna, najlepiej jak najszybciej przejść nad tym do porządku i zapomnieć o tym całym zdarzeniu. Liczyła, że jako pannie młodej ujdzie jej to na sucho.

Lecz w tej samej chwili zadzwonił telefon Kamila! Sytuacja zaczęła być absurdalna!

Zupełnie zaskoczony Kamil sięga po komórkę i odbiera połączenie, ale jego aparat ma włączony tryb głośnomówiący. Słysząc wszystko, może nie w całym kościele, ale celebranci mieli doskonały odbiór.

- Słucham? - To Kamil.

- Kamil? Tu Karol.

- Karol?! Oszalałeś?! - Pytania czysto retoryczne. - Wiesz, że biorę ślub?

- Wiem. Kamil, więcej stamtąd!

- Co takiego?!

- Uciekaj chłopie!... - niesie się po świątyni. - To dziecko nie jest twoje! Słyszysz?! Nie musisz się żenić. W każdym razie nie z nią!

Kamil wyłącza komórkę.

Niesamowitość sytuacji aż boli. Marta myślała, że umrze ze wstydu i upokorzenia! Ich wspólny szef chyba oszalał. Ten piękny dzień! Miał być idealny, najwspanialszy - a nic nie szło zgodnie z oczekiwaniami! Nic. Na każdym kroku same niespodzianki, przykre niespodzianki, a teraz jeszcze to! Marta czuje jak łzy upokorzenia zbierają się pod powiekami, za chwilę zacznie ryczeć ze złości i wstydu. Co za obciach! Ależ te wszystkie złośliwe żółty zgromadzone za nią będą miały o czym plotkować. Zebrały materiału na cały kwartał! Albo nawet na dłużej. Aż strach pomyśleć, ile dodadzą od siebie do tych relacji...

Kamil jakby wyczuł jej uczucia, bo ponaglającym gestem wyciągnął dłonie ku swemu świadkowi, w oczekiwaniu, że ten w końcu położy na nich obrączki. Widuch gmera nieporadnie w kieszeni, nareszcie na jego ustach pojawia się uśmiech triumfu i szerokim gestem wyciąga obiekt pożądania.

Szczęk zamykanych kajdanek rozległ się szczególnie głośnym echem.

Kamil, niebotycznie zdziwiony, patrzy na swe przeguby, to znów na Widucha.

Wszyscy, bez wyjątku, milkną. Cisza w kościele jest tak nieskazitelna, że słysząc syk palących się świec.

Marta czuje, że za chwilę zemdleje!

- Jest pan aresztowany! - Widuch deklamuje formułkę, a Nadolna staje tuż za nim, jakby obawiała się, że im ucieknie.

- Pani Raczek! Zgodnie z pani zeznaniami, aresztujemy pani męża!

W pierwszym rzędzie ławek zamieszanie - to jej matka straciła przytomność. Marta widzi to doskonale, ale nie potrafi zareagować, stoi niczym skamieniała i czuje, że zaraz sama zemdleje. Świat zaczyna wirować, coraz szybciej i szybciej, zlewa jej się w jedną rozmazaną plamę, a głosy zamieniają się w uciążliwy szum. Koszmar! Wszystko runęło! Skończyło się! I to z jej winy.

Marta czuje jak ziemia osuwa się spod stóp. Zaczyna krzyczeć. Długo, histerycznie krzyczeć - ale nikt nie pospieszył jej z pomocą. Zamiast tego słysząc śmiech. Złośliwy, kąśliwy śmiech tych, którzy jej źle życzyli: a takich wokół Marty nigdy nie brakło. Marta czuła, że spada w głęboką przepaść. Jej krzyk stawał się coraz bardziej głośny, a płacz był jedynym towarzyszem...

...Marta zrywa się z krzykiem, niemal spada z kanapy. Wie, że krzyczała przez sen. Wie, że śniła koszmar, nawet pamiętała o czym! Ogarnęło ją przerażenie.

Siedziała przez chwilę, czekając aż uspokoi się jej oddech i puls.

„Stres, ten przeklęty stres!” - myśli usiłując znaleźć racjonalne wytłumaczenie tego wydarzenia. I tylko to jedno przychodzi jej do głowy. Ale już niedługo wszystko to się skończy, a ona znów wróci do utartych szlaków swego życia. Będzie musiała je zmodyfikować, to jasne, ale Marta była znana z błyskawicznej umiejętności przystosowywania się do trudności. Tym razem także sobie poradzi. Nie może być inaczej!

7.

Jak zwykle o poranku Marta zbudziła się pełna nadziei, ale dziś jakby brakło jej zapału. Przeczuwała, że stanie się w końcu rzecz dotąd niespotykana. Coś, co tkwiło obok niej. Od czasu kiedy rozpętała tę awanturę z Kamilem, krok w krok za nią podążała obawa, że nie tylko kierunek jest nie do końca słuszny, lecz także sama idea z gruntu technicznie fałszem. Mogła z początku się łudzić, że ma wszystko pod kontrolą, że panuje nad sytuacją; ale z każdym upływającym dniem, z każdą odbytą rozmową zaczynała dostrzegać rysy na swoim doskonałym planie zemsty. I zaczynała wątpić. Doznała uczucia, które dotychczas знаła tylko z opowiadań. A wątpliwości to początek końca złudzenia o słuszności swego postępowania.

Kolejno wypite filiżanki kawy tylko nieznacznie poprawiły nastrój. Nawet brak tradycyjnych mdłości nie był w stanie sprawić jej radości. Wezwanie przed oblicze szefa nie wróżyło niczego przyjemnego. Marta zdawała sobie sprawę, że nie mogło być przyczyną źle funkcjonujące zastępstwo - Karol wyraźnie wykluczył taki stan rzeczy, więc raczej w grę mogło wchodzić coś, co tyczy się samej Marty. Takie nagłe wezwanie z urlopu to zawsze kłopoty. Ale jak duże - o tym Marta miała się dopiero przekonać. I ta niepewność właśnie ją dobijała najbardziej. Ujrzała nagle, że można nie panować nad wydarzeniami. Można nawet nie mieć pojęcia co się zdarzy za moment! Rzecz niesłychana w dotychczasowym życiu Marty. A przecież tak wiele już zmieniła. W swoim życiu. W swoim postępowaniu. W swoim postrzeganiu świata. Nawet zaczęła zmieniać wartości. A nadal każdy dzień zaskakiwał ją swą nieprzewidywalnością. Marta wiedziała, że wszystko to wokół niej dzieje się za jej przyczyną, tylko że już teraz nie potrafiła zapanować nad scenariuszem: ktoś inny kreślił losy, a ona nie miała na to wpływu. Nareszcie poczuła jak to jest być niemal bezwolną zabawką w rękach losu, jak to jest być zdaną na łaskę innych ludzi; ludzi nie zawsze jej przyjaznych, żeby nie powiedzieć - nienawistnych. A najgorsza z tego wszystkiego była świadomość, że nie ma się na to wpływu. I to tak naprawdę najbardziej dołowało Martę. Do pokonywania przeciwności, stawiania na swoim, osiągnięciu trudnych celów jakie sobie wyznaczała - do tego wszystkiego Marta była przyzwyczajona. Można by rzec - zaprawiona w bojach. Ale teraz?

Teraz przydałoby się jakieś wsparcie. Może nie przyjaciół, takich przecież nie miała, ale chociażby kogoś jej życzliwego. A w końcu kogoś, kto po prostu najzwyczajniej by jej wysłuchał, może nawet dał jakąś radę. Lub tylko słowo pociechy. Ale Marta nie miała nikogo takiego. Taki był jej wybór. Parła naprzód odrzucając wszelki balast, a za taki uważała zbędne znajomości. Bez przyjaciół. Bez partnera. Bez znajomych. Sama. Taki sobie świat zbudowała, taki pielęgnowała od lat. Lecz człowiek nie żyje na pustyni. Nie żyje w oderwaniu od innych. Żeby nie wiem jak chciał się wyalienować - nie miało to żadnego sensu, bo taka postawa nie mogła zdać egzaminu. Za coś takiego zawsze, prędzej czy później, przychodziło płacić cenę. Nie tylko wysoką. Ale z całą pewnością gorzką. I Marta właśnie płacić zaczynała. Jeszcze się broniła, resztką desperacji próbowała zachować swoje ideały, ale z każdą upływającą godziną, z każdym palącym doświadczeniem nabierała przekonania, że nadszedł czas zapłaty. Cokolwiek to miało oznaczać.

Była taka chwila, w której chciała zadzwonić do rodziców. Skierować się tam, gdzie zwracają się inni - ale dała sobie spokój. Zbyt długo ich trzymała z dala od siebie. Powiadają, że rodzice zawsze pospieszą z pomocą swym dzieciom, niezależnie od wieku - ale Marta najzwyczajniej się wstydziła tego, że tak bardzo się od nich oddaliła. Wrzuciła ich do

wspólnego worka balastu jaki za nic nie chciała ciągnąć za sobą. Nie można teraz, po latach ignorowania rodziców, traktowania ich z góry i z chłodną obojętnością, zjawić się i udawać córeczkę. Była w potrzebie, i to jakiej jeszcze! Ale nie mogła tak po prostu znów wkroczyć w ich życie, jeśli sama ich wykreśliła ze swojego lata temu. Być może był to wstyd, że się jej nie powiodło, że zawiodła siebie i ich w najważniejszej chwili swego życia? A może obawa, że spotka ją kolejne rozczarowanie? Niechęć, nienawiść ludzką mogła zrozumieć. Nawet zaakceptować. Ale stanąć twarzą w twarz z rodzicami i poddać się ich ocenie - to ją po prostu przerastało. Gdyby się miało okazać, że tu także może ją spotkać coś złego - tego by nie zniosła. Nie dlatego, żeby ich zdanie cokolwiek dla Marty znaczyło; już dawno temu postanowiła ich separować od siebie; ale świadomość, że mogła ich zawieść - była dla Marty nie do zniesienia. Tak bardzo chciała im się jawić jako doskonała istota, na wskroś radząca sobie w życiu - że jakakolwiek rysa na tym wizerunku była nie do zaakceptowania. To jest sprawa, którą jeszcze musiała zmienić. Było jednakże jeszcze za wcześnie na to. Może po prostu czuła się nadal pewna, że jakoś się wywinie z tego, co sama nawarzyła?

Takie właśnie myśli krążyły po głowie Marty w ten poranek, kiedy wypijała kolejne kawy. Nadszedł jednak czas pomyśleć o rzeczach bardziej przyziemnych. Na przykład jak się ubrać dziś na tę wizytę? Dotąd nie miewała takich rozterek: było jasne, że z racji pełnionych obowiązków i zawodu jaki wykonywała, nieodzowny był strój tzw. biznesowy, czyli w przypadku kobiety garsonka. Miała ich niezliczone komplety w szafach. Dopiero od niedawna odkryła całkiem dla niej nieznanym i jakże fascynującym świat butików i sklepów z babskimi fatalaszkami. Te kilka dni sprawiły, że robiła rzeczy, jakie dotychczas знаła tylko z opowieści, a jakimi pogardzała całym swoim jestestwem. Zakupy. Kawiarnie. Spacer. Wizyty w salonach piękności. No, może te ostatnie akurat nie - w końcu ona musiała jakoś się prezentować, więc fryzjer czy kosmetyczka mieściły się w jej ramówce dziennej, lecz nigdy nie znajdowała w tym przyjemności samej w sobie, tak dla siebie. Nie stroiła się - bo nie miała dla kogo. Nie miała dla kogo - bo taki był jej wybór. Dziś to postępowanie wydawało jej się płytkie, pozbawione barwy i sensu. Nie będzie znów jawić się jako drapieżna bizneswoman - w końcu ma jakieś sukienki, które kupiła w chwilach impulsywnego szczęścia przez te kilka dni urlopu. Czyniła to czasem z uczuciem jakby robiła coś zakazanego, coś co nie jest do końca dozwolone - i przez to właśnie sprawiało jej jeszcze większą frajdę - niczym małej dziewczynce. Na wspomnienie tamtych chwil uśmiech przemknął Marcie po twarzy.

A kiedy już postanowiła jak się ubierze, zabrała się do tego z całą energią jaka mogła charakteryzować tylko ją. W sumie takie dylematy były z gruntu idiotyczne, ale jakże kobiece w swej głębi! I nawet ta myśl ją rozbawiła. Czuła, że staje się inną osobą. Może jeszcze czeka ją wiele pracy nad sobą, nad tym aby zmienić swój wizerunek, a przez to zmienić swoje postrzeganie rzeczywistości ją otaczającej, lecz w gruncie rzeczy wiedziała, że jest na dobrej drodze, by to osiągnąć. Niezależnie od tego jak długa czekała ją droga.

Kiedy już była gotowa nie mogło zabraknąć spojrzenia w lustro, które wisiało w przedpokoju. Marta samokrytycznie stwierdziła, że to był świetny pomysł z tą zmianą swego wyglądu. I to nie tylko w kontekście zachodzących zmian w niej samej, ale także z praktycznych względów - była wszak w trzecim miesiącu ciąży i chociaż figurę miała smukłą, to jednak wyraźnie przytyła i sukienka na tym etapie jeszcze potrafiła to ukryć. Nadal nie chciała by ktokolwiek się domyślił, a szefowie najmniej. Oczywiście taka maskarada miała sens tylko wtedy, jeśli Julia zachowała dyskrecję. Marta miała taką nadzieję - w przeciwnym razie nie chciałaby być w jej skórze!

Spokojnym, miarowym krokiem przeszła do windy i zjechała do garażu, który mieścił się pod apartamentowcem, w którym mieszkała. Czuła się naprawdę doskonale. Wszelkie złe myśli i przecucia jakie ją trapiły tuż po obudzeniu, teraz znikły i jawiły jej się jak koszmary, które dawno przeminęły. Do tego stopnia, że nawet pozwoliła sobie z tych obaw zachichotać

pod nosem. Była pełna dobrych myśli. Jak zwykle. Pozytywne nastawienie ćwiczyła przez lata samodyscypliny jaką sobie narzuciła. Teraz to doświadczenie przynosiło owoce.

Droga do dzielnicy biurowców, pomimo koszmarnych korków, wydała jej się nawet przyjemna. Wszystko było takie nierealne. Takie nierzeczywiste. A przecież tak naprawdę to było samo życie, ale takie jakiego dotąd Marta nie знаła. Jakie od siebie odsuwała i jakiego unikała za wszelką cenę. Teraz była w samym środku. Los dał jej karty i chociaż były cokolwiek znaczone - należało nimi grać. Była przecież znana z tego, że potrafiła błyskawicznie się dostosowywać do zmieniających się warunków. Nic to, że jedynym planem jaki miała, był brak planu. No może nie całkiem, ale nic nie szło zgodnie z założeniami. Więc można było uważać, że nie ma planu. A może jest, tylko nie ma na to żadnego wpływu. Kompletna improwizacja! Zwariowana, ale nawet bawił ją ten dreszczyk emocji - nie wiedzieć, co przyniesie następna godzina, a co więcej - nie mieć żadnego wyjścia awaryjnego. Ekscytujące!

Tylko gdzieś w zakamarkach umysłu Marta podejrzewała, że ten jej optymizm bierze się z nadmiaru wypitej kawy. Kofeina pobudziła ją chyba bardziej niż zamierzała...

Kiedy znalazła się w holu biurowca, znajome widoki przyprawiły ją o napad nostalgii. Przez te wszystkie dni nieobecności nic tu się nie zmieniło. Wizualnie. A ona przekonała się, że co prawda dotąd jej nie brakło pracy, co nawet zdumiewało ją niezmiernie, przynajmniej na początku, lecz teraz dziwne ściskanie w żołądku przekonało o pewnych sentymentach. A może to było ostrzeżenie przed tym nieznanym jakie ją czekało kilka pięter wyżej? Czyżby przecucie, że może to wszystko utracić? Takie swoiste memento. Niczym Nemezis. Szósty zmysł. Kobięca intuicja. Cokolwiek to było... A może tylko nerwy.

Napotkała wzrok rezydenta.

- Witaj, Henryku! - Zawsze się witała w ten sposób. Grzecznie, a jednocześnie bezosobowo. Dla niej tacy ludzie byli tylko tłem, czasem użytecznym, a najczęściej niezauważalnym niczym wyposażenie. Tak ich postrzegała - jak wyposażenie. Takie samo jak biurko, szafa na akta czy komputer. Nie więcej. Może nawet mniej.

Dziś jednakże nadała swemu głosowi nieco cieplejszy ton. Może to była chęć odmiany, a może sprawił to wzrok Henryka. Przyglądał się jej z niezwykłym dla niego zainteresowaniem.

- Dzień dobry, pani.

Jak zwykle układny. Jak zwykle grzeczny, ale za to mu w końcu płacą. Pewnie dotychczas odpowiadał jej tak samo na pozdrowienie, tyle że ona nigdy nie zadała sobie trudu, by czekać na odpowiedź.

- Co tam sływać? - Poszła zupełnie na żywioł.

Przez chwilę bezgraniczne zdumienie malowało się nie obliczu ochroniarza. Marta omal nie parsknęła śmiechem. Pytanie, jakie zadała nie miało w sobie niczego niezwykłego, ale ona nigdy się tak nie zachowywała. I dlatego wprawiła w osłupienie biednego Henryka.

Nie tylko zadała niestandardowe dla siebie pytanie, ale nawet przystanęła, aby usłyszeć odpowiedź.

- Nic szczególnego, proszę pani - odparł dość niepewnym głosem, jakby nie do końca wiedział jak ma się zachować w tej sytuacji.

Marta jednak dostrzegła coś, co kazało jej zwięzić oczy w szparki, tak charakterystyczne dla tamtej dawnej Marty, kiedy wyczuwała tlące się niebezpieczeństwo.

- Wszystko w porządku? - ugodziła kolejnym pytaniem, pilnie się przypatrując recepcjoniście. Wokół przemykali ludzie, goniąc za sobą tylko znanymi sprawami.

- U mnie w jak najlepszym...

Niby zwykła pogadanka. Wymiana zdań, grzecznościowych zwrotów, bez znaczenia i bez historii. A jednak... Marta nie wiedziała czy sprawił to dobór słów, czy ton w jaki zostały wypowiedziane. Spojrzała Henrykowi głęboko w oczy. Nie uląkł się. Zobaczyła tam sympatię dla siebie. Taką zwyczajną. Dla ludzi, którzy się mijają codziennie. Całkiem sobie obcych,

nieznanych. Wstrząsnęło to Martą. Nic nie znaczyła dla niego tak jak on nie znaczył nic dla niej - a mimo to Marta odniosła wrażenie, że po raz pierwszy w życiu spotkała człowieka jej życzliwego dla niej samej. Nie dla pozycji jaką miała. Nie dla wizerunku jaki wokół roztaczała. Po prostu - dla niej samej. Niczym mijający się nieznajomi w tramwaju lub na ulicy, kiedy na moment spotykają się ich spojrzenia. Choć to przecież nie do końca była prawda, oni się znali od lat. Z widzenia, z przelotu, ze zwykłych „dzień dobry” rzucanych w pośpiechu. A mimo to Marta to odebrała nie tylko jako gest sympatii, lecz także jak formę ostrzeżenia. Być może do takich wniosków doprowadził ją ten poranek; to, jak jej percepcja ocenia świat dookoła, a może po prostu coś sobie najzwyczajniej ubzdurzyła.

Lecz to jedno zdanie jakie do niej wypowiedział, sugerowało, że u niej może nie za bardzo wszystko gra. I to tak, jakby sobie z tego nie zdawała sprawy. Tak bardzo, że zupełnie nie na miejscu jest jej dobry humor. Co spowodowało ją do punktu, że zbliża się coś groźnego, coś nieznanego; coś co odmieni jej życie jeszcze bardziej i może nie tak jakby sobie tego życzyła ona sama. A może to tylko paranoja.

- To dobrze, Henryku. - Cokolwiek jej się zdawało, trzeba trzymać fason do końca. - Bardzo dobrze...

I znikła za drzwiami windy. Zanim zasunęły się jej przed nosem, ujrzała w oczach rezydenta współczucie pomieszane z podziwem. Ale już nie zaprzętała sobie głowy inklinacjami tego faktu, zbyt wiele było niewiadomych, a przecież rozwiązanie i tak czekało na nią na górze - w biurze, gdzie pracowała. Przynajmniej, gdzie pracowała do dziś.

Kiedy wysiadła na piętrze, gdzie mieściła się firma w której pracowała, na chwilę coś ścisnęło ją w dołku. Wzięła głęboki oddech. Pomogło tylko niewiele.

Pchnęła przeszklone drzwi i znalazła się w holu. Nieodmiennie pierwszą osobą jaką się spotykało po wejściu była Kasia, ich firmowa sekretarka, choć ona sama wolała określenie asystentka. Marta nie miała z nią bliższego kontaktu, jak zresztą nie miała kontaktu bliższego z nikim z biura, co wynikało po części z charakteru Marty, a po części z tego, że Katarzyna nie była zbyt miłą osobą. Równie zamknięta w sobie jak Marta, a pewnie tak samo dumna. Z racji bliskości przebywania u boku szefa miała o sobie wygórowane mniemanie, co nawet Marta ceniła, jako że sama wysoko się ceniła i szanowała osoby, które nie tylko znają swoją wartość, ale także potrafią ją okazywać na zewnątrz. Pewnie w gruncie rzeczy obie miały ten sam charakter. Dziś jednakże Kasia spojrzała na nią inaczej. I chociaż było to spojrzenie przelotne, Marta jako bardzo wyczulona na nastroje wokół siebie, spostrzegła to od razu. We wzroku asystentki widać było hardość kiedy ujrzała Martę. W jednej przelotnej chwili zawodowe ciepło emanujące z oczu Katarzyny stwardniało, gdy tylko Marta znalazła się w zasięgu wzroku. Nigdy aż tak nie patrzyła na Martę, i choć nie darzyły się nadmierną sympatią, to jednak dotąd ich relacje były grzecznie poprawne, dziś to się zmieniło. Gdzieś w głębi oczu Marta wyczytała agresję i to niczym nietajoną. Coś się zmieniło.

- Cześć! - rzuciła Marta w geście sondażu do kobiety w recepcji.

- Dzień dobry - usłyszała w odpowiedzi i już to utwierdziło ją w przekonaniu, że jej osoba jest na cenzurowanym. Grzecznie, ale chłodno i z dystansem. A przecież zawsze, nieodmiennie mówiły sobie zwyczajowe „cześć” na powitanie. Niby takie nic, ale Marta czuła coraz bardziej, że dookoła niej zmieniła się atmosfera. To nagłe wezwanie do biura, a teraz to zimne powitanie.

- Jest Karol?

- Jest. - Kasia odpowiada krótko. - Czekają na ciebie.

Martę oblał lodowaty chłód.

- Kto czeka?

- Obaj szefowie - Katarzyna wycodziła to niemal z satysfakcją.

Wszyscy nie pamiętali na co dzień, że ich biuro jest z prawnego punktu spółką dwóch kumpli ze studiów. I chociaż ten drugi był w zasadzie nieobecny we firmie, to jednak Karol nie miał

prawa decydować samodzielnie o niczym. I dlatego obecność drugiego współwłaściciela nie wróżyła niczego dobrego. Chyba, że Martę czeka inna niespodzianka. Na przykład jakiś awans. Słyszało się plotki o otwarciu oddziału na drugim krańcu miasta; w dzielnicy, gdzie deweloperzy na gwałt stawiali ekskluzywne apartamentowce. Przez chwilę Marta zaśmiała się ze swoich obaw. Wezwanie, choć nieoczekiwane i niespodziewane, wcale nie musiało być jakąś katastrofą, przeciwnie - mogło ją pchnąć na kolejną ścieżkę w karierze. Może jeszcze nie jako współnik, ale już blisko. I dlatego Kasia tak ją wita - bo najzwyczajniej zazdrości. Może jeszcze nie wie po co ją wezwano, domyśla się najdzikszych przyczyn lub tylko ma nadzieję, że Marcie się noga powinęła.

„Nic z tego moja pani.” - Marta pomyślała i odplaciła się jej najśłodszy z swych fałszywych uśmiechów.

- To świetnie. - To zdanie ma ją utwierdzić w tym przekonaniu, że o czymś nie wie.

Kolejna złuda. Żeby tylko nie okazywać słabości. Za wszelką cenę.

- Zaraz ich zawiadomię - rzuca w kierunku Marty i sięga po słuchawkę. Lecz Marta nadal widzi iż na niewiele to przedstawienie pomogło. Cokolwiek się wydarzyło we firmie, to nie miała o tym zielonego pojęcia.

- Poczekaj chwilę. - usłyszała. - Za dziesięć minut cię wezwą.

Marta, choć pełna jak najgorszych przeczuc ponownie ją ogarniających, wzruszyła ramionami i odwróciła się w kierunku drzwi, za którymi pracowała jej ekipa. Za żadne skarby nie będzie tutaj sterceć jak jakiś petent!

- Będę u siebie - mówi wyniośle i nie czekając na odpowiedź rusza w kierunku swej klitki. Nie doczekała się odzewu.

Idzie korytarzem a zewsząd ścigają ją oczy ciekawskich. Czuje się nieswojo, tym bardziej, że te spojrzenia są pełne złości, nienawiści i diabli wiedzą czego jeszcze. Nie było w nich tylko sympatii. Zrozumiała, że nie mogła budzić w nich ciepła, skoro jej zazdrościli wszystkiego czego dotychczas osiągnęła, a do tego nigdy nie starała się z nimi zintegrować, zawsze stała z boku, zawsze sama, bez kumpli i przyjaciół - samowystarczalna w pełni. Przynajmniej tak o sobie myślała. Jedna rzecz ją tylko zastanawiała - nawet wtedy wokół niej nie było tak cicho. Szła w absolutnej ciszy. Nie słyszała nawet szeptów. Więcej! Zdawało jej się, że niektórzy z nich sprawiają wrażenie wstrząśniętych tą wizytą, tak jakby nie spodziewali się jej nigdy ujrzeć. Przez głowę Marcie przemknęła myśl, że nadal śni ten koszmar ze ślubu. Tylko, że tym razem nie była w kościele, lecz w biurze. Ale absurdalność była taka sama.

Dociera w końcu do drzwi i wchodzi do środka.

Pierwszym widokiem jaki zauważyła, był Mariusz siedzący przy jej biurku. I do tego sprawiał wrażenie zasiedziałego tu od wielu godzin. W zasadzie wyglądało jakby tu był od zawsze!

- A ty co?!

Mariusz ani na jotę nie sprawiał zakłopotanego:

- Witaj - dał jej delikatnego prztyczka w nos. - Ja tutaj pracuję...

- Miałeś mnie zastępować! - Marta zaczynała wpadać w panikę połączoną z wściekłością. - Zastępować, a nie być następcą! Chyba za wcześnie na swój własny dział.

- Ty decydujesz? - hardo się odszczekuje.

To już nie był ten uległy, potulny, miły Mariusz, jej ulubieniec. To był rywal, który wykorzystał jej nieobecność i wbił nóż w plecy!

- Rozmawiałś z Karolem?

- A co on ma tutaj do rzeczy?! - Nie miała zamiaru darować mu tej zdrady.

Mariusz spogląda na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy:

- Może więcej niż ci się zdaje...

- A ty mi niczego nie wytłumaczysz?

- Nie mam niczego do tłumaczenia. Karol wezwał mnie do siebie i oznajmił krótko, że od teraz obejmuję twój dział. I tyle...

- A ja?! - pyta kompletnie przybita.

- Też o to pytałem. - Mariusz po pierwszym wrażeniu, nieco się uspokoił i zaczął odpowiadać jakby z sensem. A może to tylko przez pamięć ich dawnych stosunków? - Ale odparł, że firma ma dla ciebie inną propozycję...

Znajome uczucie strachu pojawia się ponownie.

„Inną propozycję?” - myśli Marta. - „A może plotki o drugim oddziale to nie tylko plotki?” Czyżby czekał na nią awans o jakim nie marzyła? Ale jak to wygląda w kontekście jej obecnej sytuacji! Cięża! I brak możliwości poświęcenia się dostatecznie w pracy... Szansa przeogromna - cóż z tego, skoro ją ominie.

Jeśli to prawda i jeśli przez Kamila straci tę okazję, to na bogów!, zapłaci jej za to! I to solennie.

Przez cały ten czas Mariusz mierzył Martę wzrokiem bazyliuszka, jakby wiedział o czymś, czego jej nie mówi lub jakby odgadywał rozterki Marty.

- Jeśli to wszystko nieprawda, to... - nie dokończyła, bo złość niebezpiecznie załamała jej głos.

- Skoro mi nie wierzysz, pogadaj z Karolem - obojętnie odzywa się Mariusz.

I zaczyna stukać po klawiszach komputera dając jej do zrozumienia, że dla niego to jest nieistotna kwestia.

Marta omiata szybkim spojrzeniem biurko. Jej drobiazgi są zsunięte na jedną stronę, ale nikt ich nie wyrzucił, więc możliwe, że jej obawy o utratę pracy są zwykłym panikarstwem. Że faktycznie za chwilę stanie przed niebywałą szansą w życiu zawodowym! „Jasne, że takich kwestii Karol by nie ustalał na poziomie takiego, proszę ja ciebie, Mariusza” - Marta zaczynała być coraz bardziej sprawniejsza w uspokajaniu samej siebie. - „Ale z drugiej strony, zachowanie mojego dawnego podwładnego zastanawia. Czyżby aż tak szybko woda sodowa mu uderzyła do głowy? Myśli, że jest teraz mi równy?! Chyba, że jest inne wytłumaczenie...”

Marta patrzy na Mariusza, a oczy zwięzają się w szparki, nie zwiastując dla niego niczego dobrego:

- Pogadam z Karolem. Już za chwilę! I ręczę ci, że cienko zaśpiewasz po tej rozmowie, jeśli jest inaczej niż mówisz!

- Skoro tak mówisz...

Mariusz mówił spokojnie, jakby świadomy spraw, o których Marta nie miała żadnego pojęcia. Zajął nie tylko jej miejsce, ale także przejął jej styl. Jakby widziała samą siebie w krzywym zwierciadle - zimna, niedostępna i bezwzględna. I taki teraz wydał jej się Mariusz.

Cokolwiek tu się wydarzyło pod jej nieobecność, musi otrzymać wyjaśnienie. I to u samego źródła!

Widząc, że niczego więcej nie osiągnie, obróciła się na pięcie i skierowała swe kroki do gabinetu, gdzie tkwiły wszystkie odpowiedzi. Minęła otwarte drzwi pokoju, gdzie pracowali jej podwładni. Rzuciła jedno spojrzenie i napotkała kilka par oczu wpatrzone w nią z ciekawością. I to, o ile mogła się w tak krótkim czasie zorientować, niezdrową ciekawością. Oj, robi tutaj porządek! Jak tylko wyjaśni tę gmatwaninę. Chyba, że ta wataha nie jest już jej watahą i nie ma to dla niej żadnego znaczenia...

- Cześć wszystkim! - rzuca pozdrowienie, lecz otrzymuje tylko jakieś niewyraźne odpowiedzi, jakby dopiero teraz uzmysłowili sobie, że gapią się na nią nieprzyzwoicie i zostali na tym przyłapani. W sumie - kiepsko to wyszło. Zresztą gapili się na nią wszyscy w biurze.

Dobrze, że nie widziała nigdzie Kamila! Dopiero miałyby satysfakcję. A do tego nie życzyła sobie jego widoku ani teraz, ani w przyszłości. Z nim rozmawiać może już tylko przez

prawników! Chociaż... Gdyby teraz awansowała? Fajnie by było zobaczyć wyraz jego twarzy na wieść, że przekracza kolejną barierę! Ale cóż z tego! Ma świadomość swego położenia. O tym wszystkim Marta myślała w drodze przez korytarz, mijając kolejnych, bardziej lub mniej zdziwionych kolegów. Jakieś spojrzenia, dziwne półuśmiechy, tajemnicze gesty rzucające dyskretnie przez długość i szerokość westybuli. Marta ma świadomość tego wszystkiego, ale stara się nie okazywać strachu, nawet jeśli go odczuwa. Wie że wszyscy tutaj by ją najchętniej zadziobali - każdy pretekst do tego byłby idealny. I choć ta dawna Marta dostrzega te wszystkie niuanse, to ta nowa Marta, która narodziła się w niej parę dni temu, stara się ich wszystkich tłumaczyć - że to jednak prawie wszystko jej wina, a właściwie wina jej charakteru. Nie mówi jednak nic, bo wytłumaczyć się nie da niczego. Nie tutaj, nie teraz i nie w tej sytuacji. Jakże żałowała, że nie ma w firmie nikogo sobie przychylnego, choć trochę darzącego ją sympatią! Wystarczyłyby mały gest wsparcia, jakikolwiek. Ale nic takiego nie nastąpiło. Chciała iść przez życie sama - i szła. Aż do dziś, aż do chwili, kiedy sprawy przybierać zaczęły zły obrót. Dziś przydałby się ktoś, kto wsparłby ją. Jakaś życzliwa dusza. Nie było nikogo takiego w jej życiu. Zadbala o to z całą starannością. Ta nowa Marta żałowała, ale odmienić się tego już chyba nie dałoby. Te kilkanaście metrów korytarza było niczym najdalsza droga ku niewiadomemu. Niczym koszmarny spacer „ścieżką zdrowia”, tylko bez przemocy fizycznej.

Coś się kroi wokół niej - ale co? Wyrobiła sobie przez lata taką markę, że każda możliwość mogła spowodować taką reakcję pracowników firmy. Jeśli awans - to zazdrość ponad miarę. Jeśli wylatuje - to radość z cudzego nieszczęścia. Może nawet podwójny, że to właśnie jej się przytrafia!

Nie miała zamiaru robić z siebie widowiska, załatwi to krótko i po swojemu - jak tylko wreszcie porozmawia z szefem, ale na pewno nie omieszka mu tego wytknąć. Wiedziała, że Mariusz nigdy samowolnie by tak nie postąpił. Musiał mieć, jeśli nie błogosławieństwo, to przynajmniej przyzwolenie Karola.

„Ależ wyhodowałam sobie żmiję!” - myślała idąc w kierunku gabinetu Karola; niepomna, że on sam, Mariusz terminował u najlepszej w ten dziedzinie mistrzyni. Pobierał lekcje i w zasadzie dobrze świadczyło to o jego inteligencji - idealnie wprost odrobił zadanie domowe. Przy jej boku nauczył się każdej podłości. Może to awans tak mu przewrócił w głowie, a może było to w nim od zawsze, tylko skrywał swe namiętności głęboko. Tak głęboko, że nawet ona tego nie spostrzegła, a sobie pochlebiała iż dobrze potrafi rozszyfrować innych. Może jednak nie aż tak dobrze...

Dociera w końcu do recepcji i rzuca wymowne spojrzenie na Kasię.

- Już czekają na ciebie - oznajmia, niczym spiker tuż przed ogłoszeniem wyników.

Ona jedna bez skrępowania obdarza Martę wzrokiem wypełnionym zawiścią po brzegi.

„Przynajmniej jest w tym szczerą.” - Marta byłaby gotowa ją za to szanować. Ale nie ma czasu na rozważania na temat sekretarki.

Otwiera drzwi gabinetu Karola i wchodzi do środka.

8.

Tak wiele razy tutaj wchodziła. Można by powiedzieć, że znała tu każdy mebel. Tylko że dziś nie o meble chodziło. Dziś chodziło o osoby zgromadzone w pokoju. Karol był jej znany od lat, nie żeby byli ze sobą jakoś szczególnie blisko; w końcu to szef, a Marta od siebie także nie była zbyt towarzyska, lecz zawsze jej się zdawało, że nadają na tych samych falach. Tak samo ambitni, tak samo samotni i tak samo zdecydowani coś w życiu osiągnąć - co prawda nieco ją wyprzedził w tym wyścigu, ale przecież wcześniej zaczął.

Co innego drugi z mężczyzn. Wspólnik Karola praktycznie nie uczestniczył w życiu biura, gdzie tam istniał, to jasne, ale skoro nie przebywał we firmie na stałe - to jakby nigdy go nie było.

Dziś razem siedzieli przy stole i spoglądali na Martę wzrokiem sędziów Inkwizycji. Marta była świadoma tego faktu, zbyt wyczulona na wszelkie gesty pozawerbalnej komunikacji międzyludzkiej, aby nie dostrzegać ich postawy, z której wprost emanowała władza i... niechęć. W tej jednej chwili Marta zdała sobie sprawę, że chyba spełnia się jej koszmarny sen! Nie wita się z grobowymi minami kogoś kto ma awansować.

Marta jednak wciąż jeszcze trawiła w sobie wściekłość po spotkaniu z Mariuszem. Może powinna milczeć, ale ona nigdy nie bała się konfrontacji z nikim i z nikim, wierna wyznawanej zasadzie łapania byka za rogi.

- Cześć, Karol! - Świadomie zignorowała drugiego mężczyznę, w końcu to Karol był jej bezpośrednim przełożonym. - Nie ma mnie kilka dni, wzywasz z urlopu bez słowa wyjaśnienia a kiedy pojawia się w biurze, to co widzę? Mój własny asystent panoszy się w moim biurze! Jest na to jakieś konstruktywne wytłumaczenie?!

Agresja zawsze i nieodmiennie była najlepszą bronią Marty.

- Proszę usiąść, pani Raczek - głos towarzysza Karola, spokojny i stonowany, niemal zmiotł ją z podłogi. Ton nie znosił sprzeciwu. Znać było, że mężczyzna nawykły był do wydawania poleceń i oczekiwał, że go słuchano. Marta zareagowała instynktownie i usiadła. Opamiętanie przyszło niemal natychmiast i nabrała głębiej powietrza w płuca, aby kontynuować swoją tyradę. Ale nie zdążyła wyrzec ani słowa.

- Jeśli pani mnie nie zna, nazywam się Arnold Kwiatkowski i jestem współdziałowcem w firmie „Projekty Marzeń”.

Wszystko to Marta doskonale wiedziała, pracowała przecież w niej od kilku lat. Może z wyjątkiem tego, jak ma na imię wspólnik Karola. Ale tego akurat nie musiała wiedzieć.

- Jak mniemam, wszystkie pani wątpliwości zostaną dziś rozwiane. - mówił dalej, nie zmieniając głosu nawet na jotę.

Marta cicho wypuściła powietrze z piersi, co miało ten skutek, że się uspokoiła. Na ile można być spokojnym na takim spotkaniu i w takiej chwili.

- Słucham - wtrąca swoją kwestię.

- Zdecydowaliśmy się panią wezwać, pani Raczek, z bardzo ważnych przyczyn. - kontynuował Kwiatkowski próby nakreślenia sytuacji. - Myślę, że jest pani tego świadoma...

- Nie bardzo - Marta jest autentycznie zdziwiona i dezorientowana.

Karol przez cały czas siedział niespokojnie na swym krześle i widać było, że najchętniej znalazłby się gdzieś indziej, najlepiej jak najdalej stąd. Już samo to świadczyło, że ta rozmowa nie wróży niczego dobrego.

Kwiatkowski otworzył leżącą przed nim teczkę i zaczął studiować zawarte w niej papiery. Tylko z oddali Marta zobaczyła, że jest to jej teczka osobowa. Kolejny sygnał, że nieuchronnie zmierza ku zwolnieniu, tylko nie wiedziała dlaczego i jak się zamierzają z tego jej wytłumaczyć.

- Jeśli chodzi o Mariusza - Karol skorzystał z chwili ciszy - to sam mu kazałem zająć twoje miejsce.

- Ale dlaczego?! - Marta stanęła na skraju przepaści.

Karol pokiwał tylko głową w milczeniu, zaskoczony jej pytaniem, jakby spodziewał się, że powinna znać wszystkie przyczyny. Albo nie chciało mu się ich tłumaczyć. Pewnie i tak zaraz się dowie.

Na kolejne wyjaśnienia nie było czasu, bo wspólnik ponownie zabrał głos:

- Wizerunek firmy jest rzeczą trudną do przecenienia, zgodzi się pani?

Marta skinęła głową na potwierdzenie tej tezy.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że pani postępowanie szkodzi temu wizerunkowi, chociaż jak czytam, pracuje pani naprawdę wyśmienicie!

- Co ja takiego zrobiłam?! - Marta patrzy to na Karola, to na Kwiatkowskiego, niczym ktoś komu zabierają ulubioną zabawkę na Gwiazdkę i to bez słowa wyjaśnień.

- Doszliśmy do wniosku, że będzie lepiej dla nas, jeśli się rozstaniemy - Kwiatkowski zdawał się nie słyszeć jej pytania.

Marta poczuła, że za moment starci panowanie nad sobą.

- Wyrzucacie mnie?! Za te wszystkie lata ciężkiej pracy i wyrzeczeń, teraz mnie wykopujecie bez przyczyny?

- Przyznaję, że pani dossier robi wrażenie. Zrobiła pani naprawdę wiele dla firmy. Doceniamy to.

- Jasne... - Marta pozwala, aby cała żalność wylała się nieprzerwaną strugą na zewnątrz. - I w ramach tego docenienia wywalacie mnie na bruk?

- Niemniej... - Kwiatkowski wciąż gapi się w papiery. - Nie możemy tolerować pewnych zachowań, które mają wpływ nie tylko na innych pracowników, ale także na samą firmę.

Podnosi oczy na Martę, w oczekiwaniu potwierdzenia czy chociażby zaprzeczenia, lecz ona milczy przytłoczona zarzutami, których nijak nie może pojąć. Nie doczekawszy się odzewu, ciągnął dalej:

- Pani konflikt z jednym z naszych pracowników ma zbyt duże reperkusje dla wszystkich...

- Konflikt?! - Marta zapomniała gdzie jest i przed kim. - Ja bym tego nie nazwała konfliktem! Już raczej zwykłym przestępstwem...

- Pani Raczek! - przerwał jej, jakby w obawie, że powie lub uczyni coś, czego będą wszyscy żałować. - Nie czuję się w kompetencji oceniać pracy policji. Ale nie zamierzam także tolerować wizyt stróżów prawa i wprowadzania nadmiernego zamieszania we firmie...

- Jeszcze go pan broni?! - Aż nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

- Nikogo nie bronię. - Nadal mówił spokojnie, ale z coraz wyraźniejszą irytacją. - Kamil Socha już nie jest pracownikiem tej firmy.

- Jego też wywaliliście?! - Akurat ta nowina nie była jej niemiła. W końcu dochrapał się kary. Nie takiej na jaką zasługiwał, ale jednak. Zresztą inne reperkusje go nie ominą, już ona się o to postara!

- Pan Socha sam złożył wypowiedzenie.

Trochę to stonowało jej entuzjazm.

- Ja mam także sama się zwolnić? - Tylko odrobinę złośliwości pojawiło się w jej słowach.

- Gdyby była pani taka uprzejma.

Jakoś ta kurtuazja nie pasowała do sytuacji.

- A jeśli nie?

Chyba jednak spodziewali się takiego obrotu sprawy. W każdym razie mieli przygotowane wszystko w najdrobniejszych szczegółach, o czym Marta miała się wkrótce przekonać.

- Mamy oświadczenia pracowników firmy o rażącym łamaniu dyscypliny pracy - Kwiatkowski czytał coś z kolejnej wyciągniętej kartki. - Jakieś spotkanie w biurze z udziałem osób trzecich...

- Nie rozumiem - Marta sprawiała wrażenie kompletnie skołowanej.

- Ze względu na pani zasługi dla nas, nie robimy z tego sprawy. Ale nie możemy dalej współpracować...

- Przecież byli tam wszyscy! - Marta nareszcie pojęła o czym mówi. - Karol! Ty też tam byłeś. Przecież to wyście mi zorganizowali to pieprzone przyjęcie!

- Pani Raczek! - upomniał ją Kwiatkowski.

- No co?! - zaperzyła się na dobre. - To prawda!

- A do tego wciągnęła pani firmę w jakieś podejrzone sprawy karne. Te wizyty policji, przesłuchiwanie pracowników... Żle to wygląda wśród klientów.

- A co to ma do rzeczy?!

- Ma. - Tym razem odezwał się Karol. - Proponujemy tobie polubowne załatwienie sprawy. Porozumienie stron, godną odprawę i referencje, z którymi nie powinnaś mieć problemów przy szukaniu innego zajęcia.

- W dupę sobie wsadź... - nie dokończyła, bo głos się jej niebezpiecznie załamał.

Kwiatkowski aż poczerwieniał na twarzy, ale Karol go uprzedził:

- Marta! Proszę cię. Nie utrudniaj. Dla mnie to też paskudna sytuacja.

- Niby jak?! To przecież nie ty zostajesz bez środków do życia! I to w takiej chwili... - Nagle przerwała, jakby w obawie, że powie za dużo. - Nigdy nie zgodzę się na taką podłość! - dodaje znacznie spokojniej.

- Jak chcesz - jej dotychczasowy szef sprawia wrażenie jakby było mu to obojętne. - Ale powiem ci jedno. Nie najlepiej będzie to wyglądało w aktach: ekscesy, woda, brak pozytywnych opinii.

- Szantaż?

- Nazywaj to jak chcesz. My zaraz z Arnoldem wyjdziemy a na nasze miejsce przyjdzie firmowy prawnik. Później odwrotu już nie będzie.

- Też mam prawnika. - odgryza się Marta.

- To dobrze - Kwiatkowski już doszedł do siebie. - Z całą pewnością przyda się pani.

W tym stwierdzeniu czaiła się wyraźna groźba. I jednoznaczne ostrzeżenie. Cokolwiek sobie myślała Marta, to oni mieli wszystkie atuty. Mieli nad nią przewagę w każdym aspekcie - może nie mieli racji, ale z całą pewnością mieli przewagę...

- To jak będzie?

Pytanie ugodziło ją boleśnie. Oznaczało kres wszystkiego, nad czym tak ciężko pracowała przez tak wiele lat. Było niczym epilog jej własnej historii. I całkiem wyraźnie sprecyzowaną barierą, za którą czaiło się jej nowe życie - jakiegokolwiek ono będzie. Cóż ma począć? Iść w zaparte? Do końca stać na mostku jak kapitan tonącego statku? Bo ta krypa o nazwie „Życie Marty” szła na dno. Coraz szybciej i pewniej. Próbować utrzymać godność nad powierzchnią fal i za wszelką cenę chronić ten skarb? Czy schować dumę do kieszeni i wziąć co dają, w poczuciu krzywdy, lecz także świadoma, że nie pali za sobą mostów i nie podcina gałęzi, na której siedzi? Ta dawna Marta z pewnością by urządziła tutaj cyrk jakiego nigdy ta firma nie widziała. Ale ta nowa Marta wiedziała, że nie jest już sama. Musi myśleć o tej istocie, która rosła w niej nie tylko pod względem fizycznym; ale także, a może zwłaszcza, stapiała się z nią w jedno w sferze duchowej. Czy tego chciała, czy nie - stawała się matką. Samicą walczącą o przetrwanie dla potomstwa.

- Zaraz napiszę wypowiedzenie za porozumieniem stron...

Słyszała swój głos jak przez mgłę.

- Świetnie - Arnold niemal zatarł ręce w odruchu zadowolenia. - Zostawimy panią samą.

To był ukłon w stronę jej prywatności. Marta doceniała ten gest. Niby nic, a jednak.

- Przygotujemy wszystkie papiery i wszelkie formalności, a pani... - tu zawiesił głos. - Pani niech się nie spieszy. Mamy czas.

Marta ironicznie skrzywiła wargi. Nie zamierzała za długo celebrować tej katuszy.

Wyszli, zostawiając ją samą. Ma stole leżał firmowy laptop. Marta przyciągnęła do siebie komputer i otworzyła go bez skrępowań. Bez zbędnych zabiegów otworzyła ikonę Worda i napisała tekst, szybko i sprawnie, jakby w obawie, że się rozmyśli i wpędzi w jeszcze większe kłopoty. A może po prostu chciała mieć to już za sobą? Przecież laptop na stole został dla niej - miała tego świadomość - im szybciej się z tym upora, tym lepiej dla wszystkich. Zgrabnie przesłała tekst do drukarki (wszystkie komputery w firmie były sprzężone z drukarkami) i nacisnąwszy „print”, podpisała cyrograf. Nawet się nie pofatygowała, aby wyjąć papier z drukarki. Siedziała nieruchomo, niepewna czy wstać i wyjść, czy czekać aż sami do niej wrócą. Z jednej strony chciała już mieć to wszystko za sobą, z drugiej nie bardzo wiedziała

jak znieś te wszystkie spojrzenia pracowników! Ale w końcu będzie musiała stąd wyjść. Wyjść i poddać się katordze. Nic dla niej nie znaczyli! Teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Co mogło ją obchodzić ich zdanie? I tak zawsze jej zazdrościli wszystkiego - w końcu doczekali się jakiejś satysfakcji, chorej radości z cudzego nieszczęścia. Potraktuje to jako katharsis, oczyszczający marsz ku innej stronie swego życia; ku lepszej Marcie; ku lekcji pokory od życia.

Czuła się taka oszukana! Balowali wtedy wszyscy, a tylko ona płaciła za to! I do tego obarczyli ją winą z wszystko. Przecież wyraźnie widziała dokumenty w ręku Arnolda, jak odczytywał zeznania pracowników. Wymuszone czy nie - ale były! Jak знаła ludzi większość z radością podpisywała deklaracje ją obciążające! I miała by się teraz nimi przejmować?! Za żadne skarby! Musi dać im poczuć, że to ona jest mimo wszystko zwyciężczynią. Choćby tylko moralnym. Pewnie to dla nich nic nie znaczy, ale dla Marty ma to sens. Czuła, że tylko takie zachowanie z jej strony pozwoli ocalić godność. Cokolwiek to oznaczało dla niej.

Wstaje powoli od stołu. Rusza do wyjścia. Parę sekund zabrało jej przybranie maski na twarz; maski obojętności; maski ochronnej - chciała aby wszyscy zobaczyli Martę zwycięską. Martę, która tego oczekiwała i dostała dokładnie to, czego chciała. Pusty gest, ale nie da się tak od razu przekreślić całego jestestwa - nawet jeśli wiemy, że było niedoskonałe.

Szefowie stali przy recepcji. W ciszy szeptali coś do siebie. Marta uśmiechnęła się ironicznie na widok Kaśki, która pomimo nadludzkich wysiłków, starała się pogodzić obowiązki wklepywania dokumentów do komputera i jednocześnie rozwieszać uszy, aby dosłyszeć o czym szeptali mężczyźni. Wyglądała dosyć żałośnie. Marta prawie parsknęła śmiechem na jej widok, ale przezornie nie chciała burzyć tej obojętności, jaką przybrała jeszcze przed wyjściem.

Na jej widok Karol podszedł śpiesznie ku niej.

- W drukarce - beznamiętnie oznajmiła Marta.

Nie pytał co, bo przecież wiedział. Skinął tylko na potwierdzenie głową.

- Pozwól jeszcze na moment do biura - odpowiedział cicho jakby chciał się upewnić, że tylko ona go usłyszy.

Marta posłusznie się obróciła na pięcie i wróciła do pomieszczenia, z którego dopiero co wyszła. Pomieszczenia, do którego wracała niechętnie. Której na zawsze będzie się jej kojarzyć z klęską, a przynajmniej z poczuciem zawodu.

Karol zamknął za sobą drzwi. Marta była jedynie wdzięczna, że Arnold im nie towarzyszył -jakoś nie miała zamiaru ponownie być przed nim i znosić jego chłodny racjonalizm pomieszany z goryczką władzy. Nie lubiła korzyć się przed silniejszymi - nikt tego nie lubił, ona nie była wyjątkiem.

Karol wziął do ręki pismo i podawszy Marcie rzekł:

- Podpisz!

Marta sięgnęła po leżący długopis i machinalnie złożyła podpis. Nawet nie spojrzała na Karola.

- Komplet dokumentów przyjdzie na adres domowy. - kontynuował swój monolog. - A odprawa na konto.

Marta patrzy na niego tępo. Stoi nieruchomo niczym posąg.

- To wszystko? - pyta byłego przełożonego.

- Prawie... - zawiesił głos, czekając aż się Marta domyśli o co mu chodzi.

Ale Marta doskonale wie, czego Karol nie powiedział. Przez ulotną chwilę kusi ją aby podroczyć się z nim; aby zmusić go do wypowiedzenia tego jednego zdania, lecz nagle decyduje się zakończyć tę farsę. Ta wczorajsza Marta miałaby szaloną przyjemność z patrzenia na wijącego się przeciwnika pod jej wzrokiem, ale ta dzisiejsza - już nie. Tym bardziej, że Karol nie miał w zwyczaju krygowania się przed nikim. Aczkolwiek w tej konkretnej chwili zachowywał się jak na niego dość nietypowo, by nie rzec dziwnie.

- Wiem, wiem... - Marta doskonale rozumie czego po niej oczekują. - Zaraz się spakuję. Chce wyjść. Czyni ruch w kierunku drzwi, ale Karol jeszcze ją wstrzymuje:

- Naprawdę mi przykro, Marta - jego głos przybrany w tony tak ciepłe, że powinna się roztopić niczym wosk. - Byłaś świetnym pracownikiem. I rewelacyjnym szefem sekcji.

Te słowa były jak balsam na poranioną dumę Marty. W zasadzie bez znaczenia, ale jednak pieściły jej ego. Nawet jeśli to tylko kurtuazja ze strony Karola. Nie mówi jednak nic, wciąż milczy i marzy aby jak najprędzej opuścić ten gabinet. Opuścić całą tę firmę! Zapra gnęła być nagle sama, bała się, że za chwilę mogłyby puścić tamy i jej doskonała samokontrola weźmie w łeb. A łeb by tutaj nie zniosła. To byłoby upokorzenie ponad siły Marty.

Jedyną zemstą Marty było udanie, że nie widzi wyciągniętej do siebie dłoni Karola; odwraca się i idzie w kierunku drzwi.

- Szkoda - ugodził ją głos w plecy.

Marta wzruszyła tylko ramionami i nie dowiedziała się czego to mianowicie żałuje Karol. Nie interesowało jej to. Dla niej nie miało to już żadnego znaczenia. Wychodzi na korytarz i idzie w kierunku swego pokoju. Swego byłego pokoju. Czuje na sobie dziesiątki par oczu, ale stara się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

Wkracza po raz drugi dzisiaj do klitki, szumnie zwanej jej gabinetem.

Mariusz przerywa stukanie w klawiaturę i spogląda na nią wymownie. Widzi jak Marta stoi w drzwiach, po raz pierwszy w ich wzajemnych kontaktach niepewny jak się zachować. Nie pyta o nic. Albo nie chce wiedzieć, albo o wszystkim doskonale wie. Przez sekundę mierzą się wzrokiem: on - wschodząca gwiazda, ona - spadający pomnik z cokołu. Cokolwiek sobie myśli Mariusz, zostawia to dla siebie. Zachował jeszcze tę odrobinę szacunku dla niej, być może przez wzgląd na te wszystkie lata razem przeżyte; w końcu to ona go wszystkiego nauczyła, nawet jeśli miało to być dla niej zgubne; a może po prostu pojął iż on także podlega tym samym mechanizmom dzisiejszych czasów - że kiedyś może stać na jej miejscu...

W końcu zrywa się od biurka i mija ją w drzwiach. Jest tak ciasno, że niemal się ocierają o siebie. Marta wciąż stoi nieruchomo, czeka aż wyjdzie.

- Nie spiesz się - słyszy już po raz drugi to samo zdanie.

Zabawne jak wszyscy wokół się tak troszczą o ten zbytni pośpiech, jakby chcieli się upewnić, że na pewno zabierze ze sobą wszystko i nigdy tu nie wróci. Jego też nie zaszczyca nawet mruknięciem, nawet nie kiwa głową, że słyszała. Jest mu wdzięczna, że wykazał choć tyle taktu, aby zostawić ją samą w takiej chwili; ale nie na tyle by spróbować ponownie nawiązać jakikolwiek kontakt werbalny - sam wzrok wystarczy. Jeśli jest tak jak powiadają poeci, że oczy to zwierciadło duszy, to Mariusz wyczytał w jej wystarczająco by pojąć, że najlepsze co może uczynić to właśnie pójść sobie. Choćby tylko do automatu z kawą. Tyle wystarczy.

Marta zaczyna zbierać do pudełka na akta drobiazgi z biurka, z szuflad wyciąga kolejne przedmioty. Znać, że Mariusz tu nie myszkował, swoje przedmioty trzymał na wierzchu, jakby w oczekiwaniu aż kiedyś Marta opuści zakamarki biurka. Ucieszyła się z tego. Nie żeby miała tutaj zgromadzone jakieś relikty przeszłości, nic aż tak bardzo osobistego, nic z czym byłaby w jakiś sposób bardziej związana emocjonalnie - zaledwie parę rzeczy, sentymentalnych artefaktów - nic, bez czego nie mogłaby żyć. Ale nie chciała także ich tutaj zostawiać na pastwę kosza, bo tam najpewniej by trafiły. Te przedmioty miały znaczenie tylko dla niej. Znaczenie jak najbardziej niewymierne. Tkwiło tylko w niej. Wartości nie miały żadnej. Dla postronnych to tylko sterta śmieci. Skończyła w parę chwil. Ogarnęła tylko jeszcze wzrokiem znajome kąty, jakby się żegnając, na moment przypomniała sobie te dni kiedy tu wszystko organizowali, pełni zapału i marzeń o świetlanej przyszłości. Dziś po tym został tylko pył - przynajmniej dla niej.

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Już się nie obejrzała...

Na korytarzu ponownie napotkała wzrok ciekawskich, ale udała, że niczego nie dostrzega. Walczyła ze sobą, aby tylko nie wybuchnąć; byle tylko nie dać im powodu do satysfakcji.

Musi opuścić pokład niczym kapitan kapitulującego statku - powoli i z godnością. Miała świadomość, że z pudłem na osobiste rzeczy wygląda dość żałośnie, lecz nic nie można było na to poradzić. Po drodze zaglądnęła do pokoju swej ekipy. Ekipy, która jeszcze do niedawna była jej zespołem. Nawet nie udawali, że pracują. Wszyscy trwali nieruchomo, jakby w oczekiwaniu, że coś się wydarzy. Dała im tę chwilę rozrywki.

- Pewnie już wiecie, że waszym nowym szefem jest Mariusz. - zaczęła z nieco ściśniętym gardłem. Odchrząknęła i kontynuowała dalej: - Wiedźcie, że byliście najlepszym zespołem z jakim mi przyszło kiedykolwiek pracować. Szkoda, że tak wyszło... Ale wszystko kiedyś ma swój koniec. Życzę wam powodzenia. I bardziej wyrozumiałych przełożonych. Bardziej niż ja byłam kiedykolwiek.

Odpowiedziała jej cisza.

Marta zacisnęła mocniej usta i obróciła się ku drzwiom.

- Marta! Zaczekaj!

Julia podbiegła do niej. Uczyniła ruch jakby chciała ją uściskać, lecz tego nie zrobiła.

- Wybacz tę ciszę, ale my... - Na moment głos się jej załamał ze wzruszenia. - My też życzymy tobie wszystkiego dobrego. - I tak Marta miała wrażenie, że nie to chciała Julia powiedzieć. - Pozwól sobie wręczyć mały dowód naszej pamięci.

Mówiąc to podała Marcie małe pudełko. Marta odstawiła swoje rzeczy i otworzyła etui. Dali jej w prezencie pożegnalnym piękny zestaw kreślarski! Bardziej nadający się na wystawę niż do pracy. Teraz już nikt nie korzystał z takich przyborów. Ale był miłym przypomnieniem lat studiów.

- Dziękuję wam wszystkim.

Mimo to nikt się nie zerwał, aby ją uściskać, czy chociażby podać rękę. Marta spojrzała na Julię. Ta niewiele się namyślając runęła jej w ramiona. Pierwszy raz i pewnie ostatni były ze sobą tak blisko. Przez ułamek sekundy Marta poczuła wszystko to co czuje się w takich chwilach, a co było dla niej dotąd niedostrzegalne. Bliskość drugiej osoby... Ta chwila wspólnoty... Gest... Niby nic, a jednak!

Marta pierwsza się odsunęła.

- Żegnajcie!

Sięgnęła po swoje graty, a pokój wypełnił się niemrawym odzewem. Czas zakończyć ten melodramat. Ponownie znalazła się na korytarzu, ale teraz to już ruszyła rażno ku wyjściu. W przejściu zetknęła się z Mariuszem. Zabawił mnóstwo czasu przy automacie. W normalnych warunkach już dawno dorobiłby się nagany. Przez ten cały czas pewnie zaparzył wiadro kawy! Ale dziś był z całą pewnością dzień niezwykły...

- Marta. - zaczął prawie onieśmielony, po tamtym chłodzie nie został nawet ślad. Nie była to skrucha, tylko ton jaki zawsze towarzyszył przy ich wzajemnych kontaktach na co dzień. - Głupio wyszło. Ale dziękuję ci!

- Mnie?! Za co?

- Za wszystko, czego mnie nauczyłaś...

Marta pogardliwie wyduła wargi.

- Tylko nie stosuj tego w praktyce. Zobacz dokąd mnie to zaprowadziło!

- Nie popełnię twoich błędów. - Buńczuczne zapewnienie pewnego siebie człowieka, człowieka który jest przekonany o swojej nieomyślności.

Marta na sekundę zmarszczyła czoło w geście zastanowienia o jakich to mianowicie błędach mówi Mariusz, ale zależało jej na czasie, więc zbyła to.

- Oby... - Komentarz tyleż trafny, co zbędny.

Po tej wymianie zdań zapadła cisza. Powiedziano już wszystko. Należało kontynuować marsz ku wyjściu.

Mariusz usunął się pod ścianę. Marta miała wolną drogę. Skwapliwie skorzystała z tego.

- Powodzenia, Marta! - dobiegło gdzieś spoza niej.

- Tobie też - odrzekła nawet się nie odwracając.

W drodze do wyjścia minęła lokum Kasi. Triumf w jej oczach nawet dodał Marcie animuszu. Znacznie gorzej czułaby się, gdyby Katarzyna jej współczuła.

„Ciesz się, ciesz - pomyślała - nigdy nie wyjdiesz z za tego kontuaru! A już na pewno nie o własnych siłach!” Ta myśl była niczym klątwa.

Kiedy zamknęły się za nią szklane drzwi wejściowe do firmy pewien rozdział jej życia się zakończył. Marta miała tego pełną świadomość.

Jazda windą w dół nie przysporzyła jej żadnych przemyśleń. Po prostu się wyłączyła. Jedyne o czym marzyła, to być jak najdalej stąd. Wrócić do domu i zasnąć. A potem się obudzić i zacząć wszystko od nowa. Cokolwiek to miało oznaczać. Albo tylko dokończyć sprawy, które wymagały dokończenia. Bo kilka takich jeszcze było w jej życiu. Jak chociażby Kamil i jej zawiadomienie o przestępstwie! A przecież później będzie musiała jakoś zorganizować swoje życie, zadbać o przyszłość swoją i dziecka. Nauczyć się funkcjonować w nowych dla niej warunkach. Z nowym spojrzeniem na świat. Z nowymi wartościami. Z nową Martą...

Kimś kogo trzeba od nowa poznać w lustrze... Nie będzie to łatwe. Na pewno nie będzie. Ale Marta lubi wyzwania, a to było chyba najważniejsze w jej dotychczasowym życiu.

Kiedy winda dotarła na dół, już miała wstępny plan. Cała Marta!

Dźwigając ten swój majdan, szła przez hol. Przy wyjściu z budynku zetknęła się z Henrykiem. Nawet nie zerknął w kierunku jej rąk, świetnie udając, że nie dostrzega trzymany przez nią atrybutów. Bez słowa otworzył przed nią drzwi. Mijając go Marta rzuciła przez ramię:

- Do widzenia, Henryku!

- Do widzenia pani - usłyszała grzeczną odpowiedź.

Oboje wiedzieli, że to pożegnanie. I oboje zgodnie uznali, że należy udać iż jest inaczej.

Marta dotarła do samochodu. Zapakowała pakunek do środka i obrzuciwszy przelotnym wzrokiem gmach, w którym spędziła ładnych kilka lat, wsiadła i ruszyła przed siebie.

Podczas jazdy starała się nie myśleć o tym co ją dziś spotkało. Skupianie się na prowadzeniu izolowało ją od przemyśleń, wszystko to dogoni Martę w domu. Tam dokona rozliczenia i obmyśli co robić w przyszłości, a zasadzie dopracuje plan jaki się jej zrodził w głowie podczas jazdy windą. Może i przeszła metamorfozę, ale nadal była sobą - Martą, która wszystko planuje i nic nie zostawia przypadkowi. Co prawda dziś ją los zaskoczył jak nigdy, lecz to jeszcze nie powód, aby pozwolić by jej dalsze życie miało się stać pasmem niespodzianek. O nie! Na coś takiego Marta w życiu się nie zgodzi! Wciąż jeszcze nie miała świadomości, że w przypadku macierzyństwa niczego nie da się ująć w karby planowania. Macierzyństwo to jedna wielka, spontaniczna, czyniona ad hoc improwizacja. Tyle tylko, że Marta o tym nie wiedziała. Jeszcze...

W tym momencie rozjazgotał się jej telefon komórkowy.

Nie wiedzieć czemu Martę ogarnęło dziwne przeczucie, że to ciąg dalszy zaskakujących wieści. Wieści, które niekoniecznie muszą podnosić morale. Marta wetknęła słuchawkę w ucho i odebrała.

- Marta Raczek, słucham?...

9.

- Pani Raczek - męski głos w telefonie był jej znany, ale Marta miała poważne problemy z przypomnieniem do kogo należy. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że to przecież podkomisarz Widuch! - Musimy się spotkać. Koniecznie!

To podkreślenie wydało się Marcie cokolwiek zbyt ponagląjące.

- Właśnie dziś?

- Bezwzględnie, pani Raczek - uściślił bez zbędnych niedomówień.

Marta zrezygnowana poczuła jak ponownie pod czaszką rodzi się znajomy ból, te migreny zaczynały być symptomatyczne. Zawsze kiedy stres osiągać zaczął poziom niebezpiecznie wysoki, organizm ją ostrzegał pulsowaniem skroni.

- To o której mogę do was przyjechać? - zadała kolejne pytanie.

- Jak najprędzej!

- Aż takie to ważne?! - Miała cichą nadzieję, że nie słyhać jak bardzo jest rozdrażniona tą nieoczekiwaną wiadomością.

- Bardzo ważne, pani Raczek. Ach! I proszę przyjechać ze swoim prawnikiem... Jak mniemam, wynajęła pani już prawnika?

- Tak... - bąka nieco speszona. Jej wizyta na komisariacie to rzecz nagła, ale żeby przyjechać z prawnikiem, to już sprawa cięższego kalibru. Coś się musiało zmienić w jej sprawie przez te kilka dni. Coś bardzo ważnego. Ważnego na tyle, że niezbędna jest jej obecność. I jej prawnika. Ale Marta zdawała sobie również sprawę z tego, że to wcale nie musi być pozytywny aspekt; co więcej zaczynała mieć paskudne podejrzenia, że to następny z przewrotnych kolei losu. Słońce za szybą auta świeciło jakby w ironii nad jej obecnym samopoczuciem.

- To świetnie! Proszę zatem przyjechać jak najszybciej. - Widuch beznamiętnie popędził ją jeszcze bardziej.

- Nie wiem czy mój prawnik zdoła się stawić...

- To należy w pani interesie, pani Raczek. - Tym razem nie starał się ukryć irytacji w swym głosie. - W każdym razie proszę oddzwonić, gdyby były jakieś problemy. Rozumie pani?

- Tak - odpowiada, zła na cały świat.

Potrzebne jej było, żeby teraz ten łaps ją strofował jak jakąś zwykłą... Za późno jednak na odwrót, tym bardziej, że zdaje się iż wpadła w matnię. Coś się wydarzyło! I to coś nieprzyjemnego. Jej odczucia stawały się niemal pewnością.

- Zatem do szybkiego zobaczenia - Widuch się rozłączył i dopiero po chwili Marta skonstatowała ze zdziwieniem, że ponownie jest sama w samochodzie. Serce zaczęło bić szybciej, ale wraz z krwią adrenalina tłoczona na akord powodowała rozprzestrzeniającą się panikę w całym ciele. Musiała zjechać na pobocze, bo ręce niebezpiecznie zaczęły jej drżeć. Tak samo jak łydki i kolana. Całą rozdygotana przez chwilę walczyła z ogarniającą ją histerią. Nabrała głęboko powietrza. Parę razy odetchnęła i dopiero wtedy serce odrobinę zwolniło, a poziom adrenaliny nieco spadł.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer kancelarii mecenas Kozłowskiej.

- Kancelaria mecenas Marii Kozłowskiej. - usłyszała urzędowo przemiły głos aplikantki w recepcji. A wraz z tym głosikiem pojawił się w jej umyśle czek z niebezpiecznie dużą ilością zer wypisanych w rubryce wartości. - W czym mogę służyć?

- Dzień dobry. Mówi Marta Raczek. Czy mogłabym porozmawiać z panią mecenas?

- Dzień dobry, pani Raczek. - Aplikantka nadal ani na jotę nie zmieniła barwy swego głosu. - Obawiam się, że to niemożliwe. Pani mecenas jest bardzo zajęta.

Marta zduśiła rodzące się w jej ustach szkaradne przekleństwo.

- Ale to ważne!

- Ma pani termin na pojutrze, pani Raczek. - Marta wyraźnie usłyszała, że coś się zmieniło w zawodowo uprzejmym głosie. - Pani mecenas nie lubi nieoczekiwanych zmian w terminarzu wizyt.

To delikatne upomnienie tylko rozsierdziło Martę. „A w dupie mam wasze terminy!”

- Ale to niesłuchanie ważna sprawa. I dość zaskakująca okoliczność. - Próbowała ją wziąć na litość. - Proszę mnie połączyć z panią mecenas...

Marta umiała być słodka, kiedy potrzebowała.

- Rozumiem wasze zasady, ale proszę zrozumieć także mnie! To doprawdy wyjątkowa sytuacja! - dodała tytułem podkreślenia jak ważkie to powody.

Przez moment Marta kontemlowała ciszę w słuchawce, niemal dało się usłyszeć jak asystentka walczy pomiędzy obowiązkiem a dbałością o dobro klienta. Na samą myśl o tych rozterkach Marta skrzywiła usta w złośliwym uśmiechu.

- Łączę...

I tyle.

Ale dał się słyszeć wyraźny sygnał po drugiej stronie. Nie czekała długo.

- Mecenas Kozłowska! - Marta bardzo dobrze usłyszała rozdrażnienie w głosie prawniczki. Pewnie asystentka nie zostanie pogłaskana za to po swojej ślicznej główce. Nawet przez ułamek sekundy Marta poczuła jak jej żal tej młodziutkiej osóbką, w końcu ryzykowała dla niej! Ale trwało to tylko sekundę, potem rozplynęło się w nicości. Te ataki szkodliwych odruchów serca pojawiły się od niedawna, kiedyś Marta nie miewała takich rozterek.

- Marta Raczek - przedstawiła się niczym odzewem na hasło.

- Czy to nie może poczekać? - To pytanie jednoznacznie pokazało, że w istocie Kozłowska jest bardzo zajęta. Ale to akurat w tej chwili nie za wiele interesowało Marty. Miała swoje kłopoty; kłopoty, z których miała ją wybawić właśnie prawniczka. Nie bez sówitej zapłaty zresztą, nawiasem mówiąc. Jakiegokolwiek wyrzuty sumienia zgasły jak zdmuchnięte świece.

- Muszę się natychmiast z panią spotkać, pani mecenas! To bardzo nagła sprawa...

- Cóż się stało?!

- To nie jest rozmowa na telefon. Proszę...

- A kiedy może pani zjawić się w kancelarii?

- Za parę minut.

- A zatem zapraszam.

- Dziękuję.

I Kozłowska rozłączyła się tak samo nagle jak podkomisarz Widuch. Marta ponownie zobaczyła oczami wyobraźni jak jej konto się uszczupla o kolejną okrągłą sumkę. Zdawała sobie sprawę, że te perturbacje będą ją sporo kosztować, ale pal licha pieniądze! Byle tylko dobrać się wreszcie temu Kamilowi do tyłka!

Marta rusza ponownie.

Dojechanie pod kancelarię zajęło jej dosłownie pięć minut. Świejące wciąż słońce ponownie wprawiło ją w lepszy nastrój. Cokolwiek czeka ją na komisariacie, prawniczka z pewnością wykorzysta to dla jej dobra. A poza tym może wcale nie jest tak źle? Wpadła w panikę po przykrych doświadczeniach w firmie. Możliwe, że to pierwsze dobre wiadomości dzisiaj, to wezwanie na posterunek? A ona, jak taka głupia panikara, zaraz sobie wyobraża same złe rzeczy? W końcu ma Kozłowską - ona wszystkim się zajmie. Przecież za to jej płaci, nie?

Tak myślała idąc po schodach.

Kiedy znalazła się w znajomym otoczeniu kancelarii, wstąpiła w nią otucha. Zupełnie jakby znalazła się w miejscu, gdzie są odpowiedzi i rady na wszystkie ją gnębiące pytania i problemy. Cokolwiek ją przerasta, tutaj znajduje się remedium na te bolączki.

Kiedy stanęła oko w oko z mecenas Kozłowską poczuła, że zawojuje cały świat. Pomimo tego, że prawniczka sprawiała wrażenie wyraźnie niezadowolonej.

- Cóż to za niespodziewana wizyta?! - Bez zbędnych dygresji przechodzi tym pytaniem do sedna. Czas to pieniądz!

Marta siada na krześle naprzeciw biurka i odpowiada:

- Dostałam wezwanie, aby się wstawić na komisariacie wraz ze swym prawnikiem...

W tej samej chwili Marta odkrywa ze zdumieniem, że Kozłowskiej ogramniejają oczy w geście autentycznego zdziwienia.

- Na komisariacie? A po co?

- Nie wiem, tego mi nie wyjaśnili.

Ale prawniczka zmarszczyła brwi i po chwili wyskandowała:

- Chyba pani nie zignorowała moich rad i nie poszła na policję, co?

Marta poczuła się jakby gabinet skurczył się do rozmiarów maleńkiej klatki dla ptaków, a ona tkwi tam uwięziona. Cóż za huśtawka nastrojów! Od euforii po skrajną rozpacz...

- Właściwie to... - tylko tyle była w stanie wykrztusić z siebie.

- Czyli była pani - stwierdza Kozłowska. - Pani Raczek, na miły Bóg, jak mam pani pomóc, skoro pani sama robi sobie na przekór?

Marta nie odpowiedziała słusznie zakładając, że to pytanie retoryczne.

- Dlaczego pani to zrobiła?

- Chciałam... - Sama nie wiedziała właściwie co chciała. Zacięła się i zamilkła, dziwnie onieśmielona. A potem nagle wybuchła:

- Dziś mnie wywalili z pracy!

- I jak się spodziewam pani oczekuje, że tym także się zajmę? - To pytanie bardzo dotknęło Martę. Tak bardzo, że nieomal zerwała się i wyszła.

- Nie. Chcę tylko aby pani pojechała ze mną na posterunek. Z tamtym sobie poradzę. - odpowiada dumnie się prostując.

- A więc dobrze... - Kozłowska zdaje sobie sprawę, że odrobinę przeszarżowała. - Nie wie pani o co chodzi policji?

- Nie mam pojęcia. Kazali mi się tylko wstawić i tyle.

- A co im pani powiedziała?

- To samo co pani - Marta wzrusza ramionami. O co tyle zamieszania? Przecież nic innego im nie powiedziała, tyle samo co Kozłowskiej.

- Na pewno?

- Tak! Opowiedziałam im całą historię gwałtu. I zgłosiłam zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez Kamila...

Ta wiadomość najwidoczniej wstrząsnęła prawniczką, bo zaszła zmiana w jej starannie wystudiowanej fizjonomii.

- Co pani uczyniła?!

- Złożyłam zawiadomienie...

- Przecież rozumiem! - przerywa jej obcesowo.

Marta zaczyna ponownie mieć podejrzenia, że sprawy przybierają zły kierunek. Na wszelki przypadek milknie i czeka jaką podejmie decyzję Kozłowska. Ale po jej reakcji widzi, że istotnie popełniła błąd i to poważny. Nie rozumie na czym ten błąd polega, ale dostrzega zależność między jej wizytą na komisariacie przed kilkoma dniami, zwolnieniem z pracy a irytacją prawniczki. To wszystko jest w jakiś poplątany sposób połączone, jeszcze nie wie jak, ale z pewnością na komisariacie się to okaże. Możliwe, że zaszkodziła sprawie zemsty na Kamilu...

- No cóż... - prawniczka szybko zebrała myśli. - Cokolwiek się stało, tutaj tego się nie dowiemy. Musimy się udać do tych szakali.

„Zabawne, - myśli Marta - o prawnikach mówią tak samo...”

- Myśli pani, że to mi zaszkodzi w jakiś sposób?

- Zaszkodzi? Nie mam pojęcia, ale jedno wiem na pewno: czegoś się dokopali. I tego musimy się dowiedzieć! Ruszamy natychmiast!

Zerwały się obie.

W sekretariacie mecenas rzuca władczo do asystentki:

- Pani Moniko! Muszę pilnie wyjechać. Wrócę za godzinę. Proszę nikogo, rozumie pani, nikogo do mnie nie łączyć?!

- Tak pani mecenas. Nikogo... - asystentka omal nie zapada się pod ziemię.

- Jedziemy! - Kozłowska rzuca przez ramię w kierunku Marty, Moniki nie zaszczycając nawet przelotnym wzrokiem.

Pojechały autem Marty.

W drodze na komisariat nie zamieniły ze sobą ani słowa.

Zameldowały u dyżurnego swe przybycie. Były oczekiwane, bo natychmiast został wezwany podkomisarz Widuch. Czekwały tylko chwilę, zaraz się pojawił funkcjonariusz.

Po krótkich formalnościach grzecznościowych, poprowadził obie kobiety w głąb posterunku. Tam już czekała na nie komisarz Nadolna. Ponownie nastąpiła chwila Wersalu, a później wszyscy zajęli swoje miejsca i zapadła krępująca cisza. Ale tylko na moment...

Pierwsza do ataku ruszyła prawniczka.

- Mogę wiedzieć w jakim celu moja klientka została tutaj wezwana?

- Może pani. - Na obcesowy ton Nadolna odpowiedziała spokojnie, co samo w sobie było dość prowokujące. Marta siedząc z boku obserwowała to wszystko z zapartym tchem.

Zupełnie jakby to jej nie dotyczyło. - Pani klientka, obecna tutaj Marta Raczek, złożyła zawiadomienie o gwałcie. Na jej osobie.

- I?

- I nadaliśmy sprawie bieg, a jak z całą pewnością się pani orientuje, w takich przypadkach sprawdzamy wszystkie okoliczności wypadku...

Zawiesiła głos. I popatrzyła na nie obie, jakby chciała zobaczyć jaki to przyniosło efekt. Marta była jednym wielkim znakiem zapytania. Co myślała sobie prawniczka, Marta nie wiedziała. A wyrazu twarzy nie mogła dostrzec, bo Kozłowska siedziała do niej bokiem. Nie chciała się wygłupić i spoglądać ciekawsko na prawniczkę.

- I czegoż to się państwo dowiedzieli? - Kozłowska pyta ironicznie.

Policjanci milczą. Widuch sięga do teczki i wyjmuje jakieś papiery. Marta ma niejasne przeświadczenie, że przygotowują się do odparcia ataku. Absurdalne uczucie, ale takie właśnie skojarzenie Marcie przychodzi na myśl.

- Jak pani się doskonale orientuje, - Nadolna ciągnie dalej, niezrażona ironią zawartą w pytaniu - musieliśmy przepytąć wszystkich możliwych świadków z tamtego feralnego wieczoru. Nie było obdukcji lekarskiej, więc nie możemy jednoznacznie potwierdzić tego zarzutu. I jakkolwiek to brzmi, pani klientka sama przyznała, że się chce zemścić na domniemanym sprawcy. Tutaj mamy zeznania świadków.

Wskazuje na papiery trzymane przez mężczyznę siedzącego obok.

- Nawiasem mówiąc, ciekawa lektura...

- Ten komentarz był chyba zbędny! - Kozłowska odzywa się natychmiast wiedzioną zawodową rutyną.

- Kiedy się pani zapozna z tymi zeznaniami, być może inaczej pani pomyśli.

Wciąż Nadolna nie patrzy na Martę, za to Widuch bez skrępowania ją obserwuje. Marta zaczyna odczuwać coraz większy dyskomfort. „Zeznania? Jakie zeznania?” - myśli gorączkowo.

- Mam nadzieję, że pouczyła pani swą klientkę o odpowiedzialności karnej składania fałszywych zgłoszeń? - spytała znienacka całkiem niewinnie Nadolna.

Ta bomba niemal wtłoczyła Martę w krzesło! Co tu się dzieje?!

- Nie bardzo rozumiem - prawniczka jest wyraźnie zbита z tropu, patrzy na Martę, ale ta tylko kiwa głową, że także niczego nie pojmuje z tej sytuacji.

Za to policjantka sprawia wrażenie jakby się świetnie bawiła.

- Podkomisarz Widuch odczyta teraz protokół z przesłuchania świadków, do których dotarliśmy.

- To nie będzie konieczne. Zapoznam się u siebie z tymi dokumentami. Oczywiście dostaniemy kopię?

- Oczywiście, pani mecenas. Ale...

- Proszę nam pokrótce streścić, co zarzucacie mojej klientce. Bo jak rozumiem stawiacie pani Raczek zarzut zgłoszenia fałszywego przestępstwa, tak?

Marta miała uczucie kompletnego surrealizmu sytuacyjnego. Zupełnie jakby to nie było o niej, tylko o kimś całkiem innym. Tak do końca to nie rozumiała, co się wokół niej wyprawia.

Jedno było dla niej oczywiste: policjanci byli u niej we firmie, przecież to właśnie sugerowali jej szefowie. A jeśli pytali pracowników, a tak przecież musiało być w istocie, to Marta dobrze wiedziała, że nikt się za nią nie ujął. Wręcz przeciwnie! Teraz rozumiała doskonale - poświęcili ją! A właściwie zwalili na nią całą winę. Ale to oni mówili nieprawdę!

- Tak. Dokładnie tak, pani mecenas. Pani Raczek złożyła doniesienie o popełnieniu na niej gwałtu przez pana Kamila Sochę. Sprawdziliśmy wszystkie okoliczności. Mamy zeznania świadków, które jednoznacznie wskazują, że nie było żadnego gwałtu.

- Jakim cudem?! - Marta nie wytrzymuje, musi zaprotestować, bo ta farsa zaczyna ją niezmiernie irytować. Jak śmieją jej zarzucać kłamstwo! A to przecież ona jest ofiarą! - To się stało u mnie w domu!

- Tak. Tak pani zeznała. - Nadolna wciąż nie zmieniła intonacji swego głosu, mówiła spokojnie, beznamiętnie. - Dotarliśmy do taksówkarza, który państwa odwoził do domu. Z jego słów wynika, że była pani kompletnie upojona alkoholem i zachowywała się dość wyzywająco i prowokująco w stosunku do pana Sochy.

Marta opadła na krzesło zupełnie wstrząśnięta tą wieścią.

- Co do alkoholu, to samo twierdzą pracownicy firmy, w której pani pracuje...

- W której pracowałam... - machinalnie poprawia Marta.

Ale ta wiadomość niekoniecznie wzrusza stróżów prawa.

- No dobrze. - Prawniczka uznaje za stosowne wkroczyć do akcji. - Ale gwałtu dokonano bez świadków! I nie w biurze, tylko w domu poszkodowanej.

- Rzekomego gwałtu, szanowna pani - poprawia Kozłowską Widuch.

Po czym sięga po kolejną kartkę zapisaną pismem maszynowym:

- A z kolei z tych zeznań wynika, że odbyła pani stosunek płciowy w ubikacji firmowej.

- To jakiś absurd! - Marta czuje, że za chwilę oszaleje.

- To nie absurd, pani Raczek. To są zeznania kelnera firmy cateringowej.

Na dowód tego przysunął przed jej oczy stosowny dokument. Marta nawet nie spojrzała w tamtym kierunku.

- To kłamstwa! Stek kłamstw!

- Pani zniknięcie z rzeczoną świadkiem potwierdza kilka innych osób obecnych wtedy na sali. Jak i to, że pani zachowanie wobec kelnera było... hm, wysoce dwuznaczne. Jeśli pani rozumie, co mam na myśli.

Tym razem to ruszyło nawet prawniczkę. Pospiesznie sięga po papier i czyta szybko treść. A potem powoli odstawia na stół, z miną, która nie wróżyła niczego dobrego.

- To prawda, pani Raczek? - pyta przesadnie spokojnie Martę.

- Oczywiście, że nie! To jakiś absurd!!! - zaczyna się powtarzać.

- A co na te zarzuty ma do powiedzenia pan Socha? - Kozłowska wciąż stara się znaleźć jakiś punkt zaczepienia, jakąś lukę w postępowaniu. Pytanie kieruje do policjantki.

- Pan Socha nie przeczy, że także odbył tej nocy stosunek z panią Raczek...

- Więc jednak! Gwałtu może nie było, ale wciąż pozostaje otwarta kwestia spłodzenia dziecka! - Kozłowska ratuje, co się da. - Przeprowadzimy test DNA i stwierdzimy ponad wszelką wątpliwość...

- Jak to nie było gwałtu?! - Marta z poślizgiem wtrąca się do dyskusji.

- Proszę zamilknąć, pani Raczek! - Jej osobisty prawnik ją przywołuje do porządku.

Niewiarygodne!

- Ale...

- Zamilknij kobieto!

Przez moment czas zawisł pod sufitem. Wszyscy oniemieli, a Marta aż zamarła. Nie tego się spodziewała po kimś, komu płaci słoń za reprezentowania swojej osoby. Nie tego...

- Czy mogę na chwilę państwa przeprosić? Chciałabym zostać sama ze swą klientką.

Policjanci wychodzą posłusznie.

- Ma pani pięć minut na dogadanie się z klientem - rzuca w drzwiach Nadolna. Wygląda jakby policjanci i prawniczka połączyli się jakimś porozumieniem, którego natury Marta nie pojmowała.

Marta niemal się zrywa, ma dość tego wszystkiego. Dość stróżów prawa. Dość prawników. Dość całego świata!

- Pani Raczek! Proszę się uspokoić! Nie pomaga pani sobie tymi wybuchami agresji. Nie dość, że zrobiła pani wbrew moim sugestiom, to jeszcze okazuje się, że pani kłamała...

- Wcale nie! To wszystko, to dopiero są kłamstwa! - broni się Marta, wskazując palcem na leżące dokumenty.

- Jak na razie nic na to nie wskazuje, ale żeby tego dowieść potrzebuję pani współpracy, a nie hysterii. Wpakowała się pani w niezłe bagno, ale tylko ja potrafię panią z tego wyciągnąć. Czy to jest dla pani jasne?

Marta zszokowana kiwa tylko na potwierdzenie głową.

- Więc proszę już nic więcej nie mówić. Chyba, że postanowię inaczej. Rozumie pani powagę sytuacji?

- Tak...

- Mam taką nadzieję.

Dyskusję między kobietami przerywa przybycie policjantów.

- Czy porozumiała się pani z klientką? - Nadolna ignoruje obecność Marty, zwraca się tylko do prawniczki, na nią patrzy i z nią rozmawia, jakby uznawała, że to jedyna partnerka do jakichkolwiek rozmów. To doświadczenie było całkiem nowe dla Marty, dotąd aż tak bardzo nikt jej nie poddawał ostracyzmowi, a już na pewno nigdy tak bardzo jej to nie przeszkadzało. Chciała coś powiedzieć, ale pomna na reprimendę Kozłowskiej, ugryzła się w język.

- Tak, doszliśmy do konsensusu. - potwierdziła prawniczka.

- To dobrze. To już nie potrwa długo...

- Wręcz przeciwnie, mam wrażenie, że...

- Zapewniam panią mecenas, że zbliżamy się do końca. - Nadolna nie ustępuje, z naciskiem akcentując słowa.

- Nie bardzo rozumiem?

- Zaraz wszystko się wyjaśni. - Nadolna sięga po kolejną stronę maszynopisu. - Co do pani sugestii w kwestii ojcostwa... Badanie DNA nie będzie konieczne. Mamy zaświadczenie lekarskie o bezpłodności pana Sochy.

Ta wieść była jak grom z jasnego nieba! Marta prawie zemdląła.

- Mogę zobaczyć ten dokument?! - Kozłowska także była wstrząśnięta. Nawet jej zawodowa rutyna została zachwiana. Zapomniała o dystansie przystającym prawnikowi i zachłannie się rzuciła na papier, który jej podano. Czytała przez chwilę, a przez jej fizjonomię przeleciało takie spektrum odczuć, że Marta nie miała wątpliwości iż sprawy nabrały bardzo nieprzyjemnego dla niej obrotu.

Po przeczytaniu Kozłowska odłożyła dokument ostrożnie na blat, jakby w obawie, że zawartość tego feralnego pisma wyleje się na zewnątrz.

- Jak rozumiem, to jest opinia biegłego?

- Opinię biegłego także mamy - w głosie Nadolnej nie da się nie usłyszeć satysfakcji.

- Co to wszystko znaczy?! - Marta nareszcie doznała odblokowania narządu mowy, lecz niestety rozum wciąż miała otumaniony, bo to pytanie nie najlepiej świadczyło o jej inteligencji.

- To oznacza, pani Raczek, że Kamil Socha nie może być ojcem pani dziecka. Więcej, w świetle zeznań tych wszystkich ludzi, zarzut gwałtu też jest bardzo problematyczny. A do tego mamy tutaj podejrzenie złożenia fałszywego zgłoszenia o popełnieniu przestępstwa. - Roli uświadomienia podjęła się prawniczka.

Marta słuchała tego zupełnie oszołomiona. W tej jednej chwili świat się Marcie zawalił i to dosłownie. Najpierw straciła pracę. Teraz okazało się, że nie ma ojca dla swego nienarodzonego jeszcze dziecka. A do tego sama może zostać oskarżona!

- Pani zgłoszenia, pani Raczek. - dodała Kozłowska.

- Więc teraz to ja jestem oskarżona?! - Marta sprawiała żalosne wrażenie.

- Jeszcze nie, pani Raczek. Pan Socha nie chciał nadawać tej sprawie dalszego ciągu.

- Nadolna tym razem zdawała się być nieco rozczarowana. - A co do pani winy... Warunkowo odstąpimy od wymierzania kary za wprowadzenie organów ścigania w błąd. Kładziemy to na karb pani wzburzenia. No i jest to pani pierwszy raz.

- Czyli?

- Czyli ma pani czystą kartotekę, jak dotąd - odpowiada machinalnie prawniczka.

Policjanci potwierdzają zgodnym skinięciem głów.

Nagle w Marcie obudziła się dawna lwica. Przecież ona nie przegrywa. Nie w ten sposób. Nie dziś. Nie w obecnej sytuacji!

- Ale mogę próbować podważyć te zeznania?

Wszyscy, włącznie z prawniczką, spojrzeli z niedowierzaniem na pytającą.

- Pani mecenas?... - Nadolna zwróciła się do Kozłowskiej z niewróżącym niczego dobrego spokojem.

- Na dziś wystarczy! - Kozłowska zareagowała natychmiast. - Resztę omówię z klientką w kancelarii.

Marta nie miała zamiaru na to przystać, lecz prawniczka nie pozostawiła jej wyboru.

- Pani Raczek, radzę w dobrze pojętym pani interesie, aby najpierw porozmawiała ze mną.

Nie omieszkała zabarwić głosu taką dozą nacisku, że Marta zaniechała dalszej walki. Niech im będzie! To starcie przegrała, ale to dopiero początek wojny. Chyba nie myślą, że to niepowodzenie powstrzyma ją przed dochodzeniem sprawiedliwości? Przecież to ona ma rację! A Kamila musi ukarać! Z wszelką cenę...

Spotkanie dobiegło końca.

- Proszę przygotować kopie tych wszystkich dokumentów. Jutro ktoś z mojej kancelarii zgłosi się po nie. - To zdanie zostało skierowane do policjantów.

- Oczywiście. Posterunkowy odprowadzi panie do wyjścia. - Widuch traktował to jak pożegnanie.

Policjanci pierwsi opuścili pokój. Kobiety jeszcze przez chwilę siedziały w milczeniu.

- Zapraszam do kancelarii, pani Raczek.

- Będziemy walczyć dalej, prawda? - Marta była niczym synonim nadziei.

- Porozmawiamy o tym u mnie, dobrze?

Marta posłusznie skinęła głową.

Po chwili zjawił się młody policjant, ruszyły zatem ku wyjściu.

10.

Droga powrotna do kancelarii przypominała kondukt pogrzebowy.

Prawniczka nie odzywała się wcale, a Marta milczała skupiona na jeździe. Wprawdzie aż ją korciło by dowiedzieć się czegoś od Kozłowskiej, lecz czuła, że lepiej będzie siedzieć cicho.

Wciąż przeżywała smak porażki jakiej doznała na komendzie. Jak oni śmieli tak ją potraktować?! Jeszcze nigdy nikt tak jej nie upokorzył jak dziś. Biorąc nawet pod uwagę wydarzenia z przedpołudnia. W ogóle dzień zaczął się jawić jak jakiś jeden niekończący się koszmar. Był niczym przedsiónek piekła. Dotychczas Marta dumnie kroczyła naprzód, prac do przodu bez oglądania się na cokolwiek i kogokolwiek wokół. A dziś wszystko wali się jak domek z kart. Z całego jej życia zostały zgliszcza, jeszcze miała nadzieję wszystko to odbudować, ale w głębi duszy czuła, że to już niemożliwe. Nowe wcielenie Marty

podejrzewać zaczęło, że nadszedł czas zapłaty za wszystkie zło jakiego się dopuściła w dotychczasowym życiu. A przecież na pewno aniołem nie była, tego wymagał dzisiejszy świat - jeśli chcesz coś osiągnąć, gdzieś zejść, musisz być twardym i nieczułym na innych. Tylko wtedy możesz osiągnąć cel. Tak myślała kiedyś i taką wyznawała zasadę, dziś wie już, że tak się nie da, ale było zbyt późno na odwrót. Nadszedł czas zapłaty... Przegrała wszystko. Nawet zemsta na Kamilu okazała się kłęską! Wszystko czego się ostatnio dotknęła zamieniało się w paskudny obraz, wynaturzony odzew jej własnych chorych, pokręconych pragnień. Jakby każdy zamiar wracał do niej przenicowany. Bardziej szkodził niż pomagał w czymkolwiek. Znalazła się na zakręcie życiowym. Zupełnie sama. Bez widoków na pomoc. Chyba, że jednak milczenie Kozłowskiej oznacza jej pełną koncentrację w opracowywaniu planu jak wyprowadzić ją, Martę, na prostą? W końcu płaci jej za to aby szukała kół ratunkowych. Zabawne jak wygodna stała się ostatnio Marta... Kiedyś sama znajdowała wszelkie rozwiązania, sama ciągnęła ten swój wózek - teraz chętnie czekała aż ktoś inny poda jej gotowy plan. Musi za to wszystko płacić. Nie tylko dosłownie, ale także swym prestiżem, poczuciem godności, dumą i cholera wie czym jeszcze. Nie tak dawno jeszcze nawet by nie pomyślała, aby mogła być zależna od kogokolwiek. A dziś myśli z upokarzającą dla niej nadzieją o obcej osobie jaką była w końcu dla niej Kozłowska, że ta wymyśli dla niej złoty środek, takie cudowne lekarstwo na każdą głupotę, którą wprowadzi w życie Marta. Wygodne to, ale jakże zawodne... Resztką nadziei utrzymywała nad powierzchnią swe przekonania, ale coraz bardziej nie wierzyła, że nie zatonie. Marta czuła, że spada w bezdenną przepaść i nie ma nikogo wokół, kto wyciągnąłby ku niej pomocną dłoń. Nawet jeśli przyszło by jej za to słono zapłacić. Wierzyła dotąd święcie, że jest samowystarczalna. A teraz nie miała do kogo się zwrócić o pomoc, czy chociażby o wsparcie. Dobre słowo otuchy w zupełności by wystarczyło. Ale nikt taki nie istniał. Marta już dobrze zadbała o to, aby nigdy nikt taki nie pojawił się obok niej. Chyba, że jednak mecenas Kozłowska ma już gotowy plan? To była jej jedyna, ostatnia nadzieja.

Tak rozmyślając dotarła pod kancelarię Kozłowskiej. Wsiadły wciąż w milczeniu i udały się do biura. Prawniczka przypominała raczej chodzącą chmurę gradową, ale Marta tłumaczyła sobie tym, że to efekt spotkania na komisariacie.

Kiedy już znalazły się w gabinecie Kozłowskiej, prawniczka usiadła za swym biurkiem i przez chwilę przykneła oczu, dając podstawy Marcie do snucia wizji odważnych ofensyw jakie wciela w życie. Wszystko po to, aby ratować nadwątlony honor Marty.

Przez grzeczność czekała cierpliwie aż prawniczka zbierze myśli i przedstawi jej swój genialny plan! Już widziała oczami wyobraźni, jak obalają wszystkie kłamliwe oszczerstwa na jej temat, wygrywają procesy o zniesławienie i niesłuszne zwolnienie z pracy, a nadto wreszcie doprowadzają do skazania Kamila za gwałt! Marta całkiem zapomniała, że wszystkie te rojenia były tylko pobożnymi życzeniami. Ale przecież ona nie może tak przegrać! Przecież prawda jest po jej stronie... To nie może się skończyć!

- Pani Raczek - zaczęła Kozłowska, a głos miała wyraźnie zmęczony, - będę z panią szczerą. To koniec...

- Jaki koniec?! Co pani mówi?!

- Postąpiła pani nierozważnie idąc na policję. Wierzę, że zrobiła pani to przekonana o swych racjach. Niemniej, storpedowała pani moją pracę, dając oręż przeciwnikowi. Pewnie i tak to wszystko wyszłoby na światło dzienne, ale być może wtedy miałabym jakieś szanse na ocalenie chociażby małej części...

- Nie rozumiem? - Marta sprawiała wrażenie zdruzgotanej. - Poddaje się pani?! Bez walki?

- Nie poddaję się. Nie dała mi pani możliwości do walczenia. Kłamała pani cały czas, a co gorsza postępowała wbrew radom. Nie mogę reprezentować kogoś, kto myśli, że jest najmądrzejszy na świecie...

- Jak pani śmie?! - w Marcie krew zawrzała w geście świętego oburzenia.

- Proszę się uspokoić. Nie obrażam pani i dobrze o tym pani wie, pani Raczek. Chciała pani zemsty, a tymczasem okazało się, że to pani jest godna potępienia. Palicho dekalog! Nic mnie nie obchodzi pani życie prywatne, ale żeby pracować, muszę mieć pani pełne poparcie. A co pani robi? Bagatelizuje moje rady i uprawia jakąś donkiszoterię prawniczą. Zupełnie nieodpowiedzialnie. Nie mam zamiaru uczestniczyć w tej farsie. Zbyt długo pracowałam na swoje nazwisko, aby teraz w szalony sposób to wszystko utracić wdając się w jakieś niepoważne zabawy. Nie mam na to czasu. I obawiam się, że nie stać pani na moje usługi.

Cały ten monolog prawniczka prowadziła głosem beznamiętnym, starając się nie angażować zbyt emocjonalnie, chociaż już dawno nikt tak jej nie upokorzył, jak dziś. Nikt z klientów. Ale wypracowany przez lata zawodowy dystans pozwolił jej na mówienie tego wszystkiego zupełnie jakby plotkowały przy kawce o koleżankach. Znacznie gorzej znosiła to Marta. Ona była stroną zaangażowaną bardziej emocjonalnie, ale to było zrozumiałe. Tym bardziej, że wciąż tkwiła w ciemnościach swego egoizmu.

- Pójdę do innego prawnika! - odgraża się desperacko Marta chcąc zagrać prawnicze na ambicji.

- Proszę bardzo. Ale nawet jeśli pani znajdzie na tyle szalonego adwokata, aby się podjął tej sprawy, kosztować to będzie panią krocie. A jak myślę, w obecnej sytuacji, koszty to ostatnia rzecz, na jaką pani może sobie pozwolić.

Zabawne, ale ten właśnie argument dotarł nareszcie do upartej Marty. I nie chodziło tu wcale o pieniądze jako takie, ale o kontekst ciąży, jej przyszęłego macierzyństwa i celów, do jakich te środki będzie musiała zużyć w przyszłości. Z całą pewnością prawniczka miała rację - pieniądze przydadzą się w wychowaniu dziecka, a wydawanie ich na niekończące się sprawy sądowe, bez cienia gwarancji na sukces, było skrajną głupotą. Tym bardziej, że przecież była bez pracy.

W jednej chwili opadło z Marty całe to chore napięcie jakie ją jeszcze nakręcało. A po policzkach płynąć zaczęły strugi łez. Najpierw bezgłośnie, jakby zniemacka, a później coraz szybciej i głośniej. Z ust wydarł się szloch, spazmatyczny i straszny, nacechowany wieloletnią kontrolą tłumienia w sobie cech i uczuć - jakichkolwiek odruchów człowieczeństwa. Teraz Marta dawała upust wszystkim nagromadzonym w sobie frustracjom. I brzmi to paradoksalnie, ale czuła, że wreszcie po raz pierwszy w życiu poczuła się w pełni kobietą.

- Przepraszam... - wybełkotała poprzez zwały chusteczki przytkniętej do ust.

- Nie szkodzi. - Wspaniałomyślnie odpowiedziała prawniczka. W końcu ona także była kobietą... - Pani Marto, proszę sobie dać z tym spokój. Szkoda czasu, nerwów i pieniędzy. Niech pani to wszystko zostawi i zacznie od nowa. Dobrze radzę, jak kobieta, nie jak prawnik...

Marta nawet nie spostrzegła, że stała się „panią Martą”, a nie jak dotąd tylko „panią Raczek.” Już samo to świadczyło o zmianie podejścia prawniczki do Marty.

- Jakże mam o tym zapomnieć?

- Nie mówię, że ma pani zapomnieć, bo to niewykonalne. Ale musi pani zamknąć te drzwi i iść dalej. Nie tylko dla siebie...

Słuszność uwagi jakby Martę otrzeźwiła. Jakąkolwiek poniosła porażkę, musi żyć dalej. Nawet jeśli teraz jej się wydaje, że ta klęska ją pogrzyżyła, ona musi kroczyć naprzód - ma dla kogo żyć. W tej jednej chwili poczuła, że odzywa się w niej natura kobiety; natura samicy, która zrobi wszystko, aby przetrwać: dla swego potomstwa! Łzy przestały płynąć. A wraz z nimi Marta poczuła jakby się narodziła na nowo. Coś w niej umarło bezpowrotnie, ale coś także się narodziło.

- Proszę przypomnieć sobie nieśmiertelne słowa Scarlett...

- Jakie słowa? - Marta ma uczucie jakby nie do końca nadażała za rozmówczynią.

- „Pomyślę o tym wszystkim jutro. Mimo wszystko, życie się dzisiaj nie kończy...”** - zacytowała Kozłowska z szelmowski uśmiechem.

Marta uśmiechnęła się, sama nie widząc z czego. Ale ta namiastka nici porozumienia z kimś innym, i to tej samej płci, dała jej złudę uczucia, że jest częścią czegoś większego; że nie jest samotną kometą zdążającą ku celowi poprzez bezkres zimnych przestrzeni.

- Dziękuję - odparła już silniejszym i pewniejszym głosem. - Dziękuję za wszystko. I przepraszam...

- Drobiazg, nie ma za co. I wie pani co? Ja myślę, że może lepiej iż tak się stało. Niech pani pomyśli, co by było gdyby to wszystko wylało się na procesie?

- Tak. Jeśli tak na to spojrzeć, to ma pani rację... Już czas na mnie.

Prawniczka podniosła się, na pożegnanie wyciągając rękę do Marty.

- Nie mówię do widzenia. Lepiej zabrzmi: żegnam!

- Z całą pewnością - potwierdza Marta wstając.

W recepcji zapłaciła rachunek, który był znacznie mniejszy niż się spodziewała. To pewnie Kozłowska w geście litości obniżyła swoje honorarium. Marta nie wiedziała czy to prowokacja, czy gest sympatii, ale w końcu nie zamierzała drzeć szat z powodu mniejszego rachunku. Kiedyś pewnie by to miało dla niej znaczenie i to przynoszące ujmę jej godności, ale czuła, że dziś zakończyła swoją podróż ku drugiej stronie swej osobowości.

Kiedy wyszła na parking przed kancelarią, ujrzała że niebo się zachmurzyło. Po słońcu ani śladu, skłębione chmury zwiastowały deszcz. „Czyżby metafora przyrody?” - pomyślała. - „Świat zamierza zapłakać nad moją głupotą?”

Uśmiechnęła się do tej myśli. Absurdalność takiego postrzegania rzeczywistości już tak jej nie raziła. Być może to był pierwszy, nieśmiały znak, że nosi w sobie zarodki romantyczki? Choćby to był tani romantyzm na swoje własne potrzeby...

Wsiadła do auta i ruszyła do domu. Jedyne o czym marzyła to jeszcze raz porządnie się wypłakać w samotności. Niegdyś takie skłonności były dla niej oznaką słabości, na którą jej nie było stać; dziś zaczynała dostrzegać oczyszczającą moc takich gestów. Nie zamierzała płakać nad sobą, już prędzej nad swoją głupotą - zamierzała popłakać dla samej siebie, aby wewnętrznie oczyścić swe ego.

Kiedy znalazła się w swoim mieszkaniu, jeszcze bardziej odczuła samotność. Cieszyło ją wszystko wokół. Mieszkanie, które sama urządziła. Przedmioty, którymi się otoczyła. W końcu cieszyło ją życie jakie prowadziła. Teraz to wszystko wydało jej się nieważne i błahe. Zupełnie jakby pragnęła dotąd rzeczy, których nie potrzebowała. A już na pewno nie była szczęśliwa. A czy teraz jest? Nie. Ale od dziś ma szansę stać się zupełnie kimś innym. Czuła, że dojrzała do tego. I czuła, że nareszcie ma szansę wkroczyć na ścieżkę prowadzącą do chociażby namiastki szczęścia.

Podeszła do okna. Pierwsze krople deszczu zabębniły o szybę. Marcie zdało się, że wraz z deszczem spływa z niej tamta dawna kobieta. Nawet przez chwilę chciała wybiec na zewnątrz i poddać się naturze. Chciała wybiec i pozwolić aby strugi lejące się z nieba oczyściły ją naprawdę, nie tylko tak w przenośni, ale zaniechała tego. Przeziębienie w jej stanie raczej nie wchodziło w grę, a już na pewno nie świadomie podjęty krok ku chorobie. Aż tak szalona nie była, choć pewnie jeszcze kilka tygodni temu, gdyby ktoś jej powiedział, że tak się będzie zachowywała, pewnie uznałaby go za szaleńca. A dziś? Dziś spogląda na całe swoje życie i ma uczucie pustki i bezsensowności. Za czym goiła? Za marzeniami? Za celami wytykanymi sobie co wieczór przy samotnych kolacjach? Za blichtrzem? Karierą? Pieniędźmi? I po co to wszystko? Co osiągnęła? Niewiele, a straciła to wszystko niemal w jednej chwili. Ilu ludzi skrzywdziła na swej drodze na szczyt?

Przypomniała sobie słowa babci, gdzieś zagrzebane w pamięci: „Żyj tak, aby nikt przez ciebie nie płakał.”*** Zabawne, że to pamięta. Przecież to niemożliwe - zawsze się kiedyś kogoś skrzywdzi, choćby niechcący. Lecz Marta wie w czym rzecz. Sedno tkwi w tym, aby nie krzywdzić innych świadomie. A to właśnie Marta robiła dotąd - nie liczyła się z innymi,

wykorzystywała ich do swych celów bezwzględnie i z premedytacją. Nawet jeśli wiedziała, że rani nie przestawała tak czynić, bo przecież ona i jej potrzeby były najważniejsze!

A Kamil? Z Kamilem było tak samo. Gdybyż mu dała szansę... Odtrącała wszystkich wokół siebie, nie pozwoliła zbliżyć na tyle blisko by z kimkolwiek zacząć wspólne życie. W obawie przed zranieniem sama raniła każdą istotę na swej drodze. Egoistka do szpiku kości - dziecko czasów, w których nie ma miejsca dla słabych...

Położyła się na kanapie i zwinęta w kłębek zaczęła bezgłośnie płakać. Wyplakiwała cały swój żal. Żal do siebie, do świata, do bogów, w których nie wierzyła. Jediną religią jaką wyznawała był racjonalizm i konsumpcjonizm, wreszcie - wyścig szczurów. Aby szybciej, aby więcej. Nie dać się uprzedzić. Wciąż walczyć! I po co? Kiedy tylko stała się zbędna, pozbyto się jej bez ceregieli. Zawsze się tego bała. Że kiedyś, kiedy na moment zwolni, odpadnie. I tak się stało... Tak bardzo pilnowała, aby tego uniknąć. I tak do tego doszło. Nie unikniemy przeznaczenia. Choćbyśmy nie wiem jak starali się uciec, kiedy przyjdzie moment zwątpienia, chwila zadyszki - wszystkie nasze lęki nas dopadną i bezlitośnie upokorzą. Im bardziej się boimy tego, tym mocniej nas to dotyka w chwili konfrontacji.

Gorzkie to było rozliczenie z przeszłością.

Marta, w końcu zmęczona łzami i ukołysana szumem deszczu za oknem, zasnęła. Po raz pierwszy od dawna nic jej się nie śniło.

Jak długo tak trwała? Nie wiedziała. Otrzeźwił ją dzwonek do drzwi. Nawet z początku zdawało jej się, że to kolejny wytwór wyobraźni, ale natarczywość z jaką dźwięk jej wibrował w uszach przekonał ją, że istotnie komuś pilno się z nią widzieć. Ale komu? Nie było w mieście nikogo takiego, kto by do niej zaglądał. Bardzo tego pilnowała, by chronić swą samotnię. Nie wspominając, że nie było nikogo przy niej, kto dostąpiłby zaszczytu przebywania w jej mieszkaniu. Nawet kochanków tutaj nie wpuszczała, wierna tej zasadzie. Jedynym wyjątkiem był tamten feralny wieczór, kiedy wylądowała w mieszkaniu z Kamilem! Ach, to wszystko się wtedy zaczęło!...

Ale któż tam tak się dobija do niej? A może uznać, że nie chce się widzieć z tym kimś? Udać, że nie ma jej w domu i poczekać aż się temu komuś znudzi czekanie pod drzwiami? Ale właściwie po co? A poza tym Marta wcale nie chciała być sama. Była, bo nie miała nikogo takiego, co by mu się wypłakać w rękaw i wyżalić. A teraz to mogło ulec zmianie. Choć pewnie to nikt do niej. Co najwyżej pomyłka.

Marta wstaje i podąża ku drzwiom wyjściowym. Nie patrzy w wizjer. Nie chce wiedzieć kto stoi po drugiej stronie. Po prostu otwiera.

- Cześć!

Marta zrazu nie bardzo rozumie. Przez zapuchnięte od płaczu oczu nie do końca dowierza w ten najdoskonalszy ze zmysłów. Nawet nie myśli o tym jak żałośnie musi wyglądać z zaczerwienionymi oczami i rozmazanym makijażem.

- Agnieszka?! A co ty tu robisz?

- Wpadłam zobaczyć co z tobą. - Agnieszka stara się ignorować stan Marty. Stała w przemoczonym płaszczu i sama wyglądała dość oplakanie, ale na zupełnie inny sposób.

„Sępy się zlatują?” - pomyślała nie bez ironii Marta. Widać mało im było widowiska w firmie, niektórzy postanowili sobie jeszcze bardziej ubarwić ten dzień. Marta na powrót stała się czujną i nieufną osobą, bo jakże tu być otwartym na innych, jeśli oglądają cię w takim, godnym pożałowania stanie i do tego czerpią z tego chorą przyjemność?

Na wszelki przypadek nie pozwoliła Agnieszcze przekroczyć progu tej magicznej bariery własnego terytorium.

- Mogę wejść? - pyta stawiając Martę przed jednoznacznym się określeniem, ufać czy nie?

Bez słowa Marta przepuszcza przybyłą do mieszkania. Od tej chwili znaczyło to dla niej tyle, co zupełną odsłonę. Nic nie zostawiła dla swojej ochrony. Tak wielkie miało znaczenie dla

Marty to poczucie własnego kawałka podłogi. Z chwilą wpuszczenia intruza, pozbawiła się ostatniego azylu dokąd można uciec w razie potrzeby.

- Siadaj - wskazuje Agnieszce fotel. - Czym mogę ci służyć?

Pytanie zimne, niedostępne, obliczone bardziej na kurtuazję niż na realne znaczenie.

- Myślę, że to ja mogę się przysłużyć tobie - odpowiada dość tajemniczo kobieta.

Czyżby chciała rozbudzić w Marcie fałszywą potrzebę dalszej walki, ku uciechu swojej i gawiedzi? Za mało mieli wrażeń dzisiaj? A może to tylko próba wciągnięcia jej w jakieś chore gierki, po to aby jeszcze bardziej ją upokorzyć? Taka forma zemsty za wszystkie lata bardziej lub mniej wydumanych krzywd własnych jakich doznała Agnieszka z rąk Marty? A może to tylko delegat większej grupy? Kto wie?

- Nie sądzę, Agnieszka. Dam sobie radę sama. - Odpowiedź brzmi bardzo sztywno, nawet można by odnieść wrażenie, że obcesowo.

- Marta, przestań... - Jakkolwiek brzmiała odpowiedź Marty, Agnieszka tak łatwo nie chciała dać za wygraną. Albo była zbyt tępa aby pojąć chłód postawy gospodyni. - Przykro mi. Martwi mnie to, co cię spotkało.

- Doprawdy?

- Wiem, że mi nie wierzysz. Rozumiem nawet tę rezerwę, ale zechciej mnie wysłuchać, proszę...

- Słucham zatem!

Agnieszka wzdycha jakby brakło jej tchu.

- Stało się jak się stało, nie bez twojej winy, przyznasz to samo, co nie? - pytanie zawisło w powietrzu, ale bez odpowiedzi. - Ale nie wszyscy uważają, że zasługujesz na taką karę...

- Nie baw się ze mną, Agnieszka - słowa w ustach Marty twardnieją jak żywica epoksydowa wylana na powietrzu.

- Kurczę, Marta... Wysłuchaj mnie i nie przerywaj!

Marta siada naprzeciwko na kanapie. Tej samej gdzie jeszcze chwilę temu pielęgnowała swój ból...

- Nie wiem od czego zacząć abyś nie poczuła się urażona - Agnieszka płacze się i widać, że istotnie ma problemy z nawiązaniem sensownego początku rozmowy.

Marta wpada na genialny sam w sobie pomysł zaparzenia kawy.

- Napijemy się kawy, co?

Agnieszka zatrzymała powietrze w płucach, a później je powoli i ze świstem wypuściła z powrotem.

- Ja zaparzę kawę, a ty pozbieraj do kupy myśli. Będzie nam się lżej rozmawiało. - W życiu Marta nie podejrzewała siebie o taką wyrozumiałość. Ta dawna osoba jaką była, już dawno pogoniła by gościa za drzwi. O ile w ogóle dałaby przekroczyć próg...

Znać było, że Agnieszka także nie do końca potrafiła sobie umieścić Martę w znanych sobie realiach.

- Pijesz z ekspresu czy po turecku? A może wolisz rozpuszczalną? - Martę coraz bardziej bawiło odstawianie przykładowej gospodyni.

- Po turecku proszę...

Czynności związane z przygotowaniem napoju pozwoliły Marcie oswoić się z tym nowym doświadczeniem. Kiedy już porzuciła na stole filiżanki, cukierniczkę i dzbanuszek ze śmietanką, usiadła ponownie naprzeciw Agnieszki i pytająco uniosła brwi. Przybyła jakby dokańczając zbieranie myśli lub dla nabrania odwagi, celebrowała moment rozpoczęcia rozmowy, przyrządzając kawę odpowiednio dla swych upodobań.

- Wiem, że dziwi cię moja wizyta. Ale... Marta! Chciałabym abyś dobrze mnie zrozumiała. Nie jest to z mojej strony próba wykorzystania sytuacji, chociaż w pewnym sensie tak to wygląda. Ja już od dawna mam marzenie, tylko nie miałam z kim go zrealizować...

- O co tobie chodzi?! - Podaje filiżankę gościowi.

- Jesteś bez pracy. A ja marzyłam zawsze o własnej firmie... Zawiążemy spółkę?
Marta zaczęła się histerycznie śmiać.
- Z czego się śmiejesz? - pyta wyraźnie urażona Agnieszka.
- Wybacz, to nie śmiech z ciebie. Ale ja także miałam takie marzenie. Kiedyś...
- Kiedyś? To wciąż jest aktualne! Może nawet dziś bardziej niż kiedykolwiek.
Marta przecząco kręci głową.
- Nie! Ale doceniam. To musiało być bardzo stresujące przyjść z taką propozycją właśnie do mnie...
- Trochę - przyznała z rozbrajającą szczerością Agnieszka. - Dlaczego uważasz, że nic z tego nie będzie? Nie chcesz?
- Chcę. Ale, jak sama już wiesz, mam inne kłopoty. A własna firma...
- Ale kiedy ja już mam wszystko przemyślane! Ja zajmę się buchalterią, a ty sprawami typowo zawodowymi. To znaczy ja też będę projektować, ale głównie bym odciążyla ciebie od zadań biurowych. Jak myślisz?
- Czyli chcesz robić to co dotychczas, tylko na własny rachunek?
- Dokładnie! A ty miałaś inne plany?
- Nie. Tylko nie myślałam o wspólnicze...
- Rozumiem - rozczerwanie w głosie Agnieszki było dla Marty rozczulające. Ona naprawdę wierzyła w ten swój projekt!
- Nie rozumiesz. Nie mogę wejść w ten pomysł, nie w mojej sytuacji.
- W jakiej sytuacji? A ile matek pracuje zawodowo? Odważ się tylko...
- Marta zaczęła się intensywnie zastanawiać. A może to rzeczywiście nie jest taki zły pomysł?
- Ale ty wiesz jaki to ogrom pracy? I wcale nie mam na myśli projektowania. A skąd wziąć klientów? Jak wbić się w rynek?
- Oj, Marta! Miałyśmy jakichś przecież w „Projektach Marzeń”. Zapewniam ciebie, że przyjdą do nas. Już nawet tak wstępnie napomykałam co niektórym o takim rozwiązaniu, nie mieli nic przeciwko. Oni chcą nas! A jeśli do tego mieliby mieć usługę taniej...
- Marta zawsze ceniła ludzi z inicjatywą, przebojowych i pełnych niewyczerpanych pomysłów. Imponowała jej Agnieszka swoim zapałem. Imponowała i zarazem zarażała tym swoim entuzjazmem. Bo przecież to mogłoby być jedyne rozwiązanie jej problemów. I także spełnienie własnych marzeń. Tylko czy Marta potrafiłaby z nią współpracować na stopie partnerskiej?
- Nie boisz się? - zadaje pytanie.
- Czego?
- Że jestem wredna? - Nadszedł czas na sondażową samokrytykę.
- Myślę, że dostałaś nauczkę...
- Marta uśmiecha się ironicznie. Nie wiadomo tylko, nad naiwnością Agnieszki, czy nad własną głupotą...
- Dostałam. Zapewniam cię Aga, że dostałam. Tylko nie wiem czy wyciągnę z tego wnioski. Wiesz... Natury tak łatwo nie zmienisz.
- Myślę Marta, że już sam fakt iż o tym rozmawiamy, dowodzi zmian jakie zaszły w twoim charakterze. A może te cechy w tobie były, tylko je skrywałaś przez ten cały czas na użytek sobie znanych powodów.
- Doprawdy Marta głęboko się zadziwiła jak celna to była uwaga. Mogło tak być! Nikt przecież nie zmienia swojego charakteru w parę dni, nawet pod wpływem tak gwałtownych przeżyć! A Agnieszka to dostrzegła...
- Całkiem możliwe, że inni także to widzieli, a jedyną która tego nie potrafiła była ona sama.
- Czyli jesteś zdecydowana zaryzykować? - upewnia się jeszcze raz Marta.
- Inaczej mnie by tutaj nie było.
- No tak... I nie boisz się opinii o mnie?

- Nie jestem strachliwa. - zapewnia Agnieszka. - Ani nie opieram się na pobieżnych osądach ludzi.

- No, tak całkiem pobieżne to one nie są! Jednak kilka lat pracowaliśmy obok siebie, a ten ostatni numer...

Marta zawiesiła głos.

- No i co z tego? Można żyć pośród innych i nic o sobie nie wiedzieć. Ty jesteś tego najlepszym przykładem. A poza tym, któż z nas może powiedzieć o innym człowieku, że go zna? Nawet jeśli było się blisko siebie.

Celność tej uwagi niemal Martę przekonała.

- I nie zraża cię mój charakter?

- Nie. Bo wiem, że ty wcale nie jesteś taka, jaką chcesz się kreować.

- Doprawdy? - Ironia w głosie Marty niemal jest namacalna. - A skąd ten wniosek? Bo wpuściłam cię do siebie i poczęstowałam kawą?

Ta swoista naiwność i prostota w myśleniu nieco studziła zapał Marty by wchodzić w jakiegokolwiek układy zawodowe z Agnieszką. Taka filozofia mogła być zgubna w realiach twardego rynku pracy.

- Nie. Bo widziałam cię na imprezie firmowej...

- Nie przypominaj mi! To był koszmar. Zachowałam się jak ostatnia idiotka!

- Wcale nie! Po prostu po kilku głębszych ujawniła się twoja prawdziwa natura. I dlatego wiem, że ty jesteś inna niż chciałaś nam to pokazać. Dlaczego tak postępowałaś, nie mam zielonego pojęcia. Ale wiem jedno - wtedy widziałam prawdziwą Martę!

- To nie jest zbyt chwalebne, Agnieszka. Widziałaś wtedy głupią babę, która nie tylko się zalewa w trupa, ale także pozwala sobie na chwilę zapomnienia z przygodnym facetem. W firmowym kiblu! I to z kim?! Z kelnerem...

Gorzkie to było wyznanie. Ale dzień jakby sprzyjał takim oczyszczającym zabiegom. Marta zastanawiała się skąd właściwie bierze siły na te wszystkie wyznania? Przez cały dzień nic innego nie robiła, tylko przyjmowała ciosy od losu, a do tego jeszcze wciąż dowiadywała się o sobie coraz to nowych rzeczy i to rzeczy nie całkiem pochlebnych, żeby nie powiedzieć całkiem dołujących! I teraz ta wizyta Agnieszki i jej propozycja, lubo fantastyczna z gruntu, ale jednak w jakiś sposób podniosła morale Marty.

- Zdziwiłabyś się, co się działo na firmowych imprezach. Albo kiedy się spotykaliśmy na mieście...

- Ale tylko mnie spotkała za to kara? - pyta Marta, a w jej głosie słychać wyrzut połączony z biernym zrezygnowaniem.

Agnieszka upija łyk zimnej pewnie już kawy. Byle tylko odwlec chwilę odpowiedzi. A może Marta wcale nie chce jej usłyszeć?

- Ty miałaś pecha.

Tym razem Marta wybucha śmiechem na całe gardło. Po pokoju niesie się jej niemal histeryczny rechot.

- Pecha?!

- Niepotrzebnie wplątałaś w to wszystko własną zemstę na Kamilu.

- Jak to?!

- Jakikolwiek kierowały tobą powody, należało trzymać się z dala od policji!

- Zabawne...

- Co jest dla ciebie takie zabawne?

- Zabawne, bo to samo usłyszałam z ust mego prawnika.

- A więc widzisz!

- Widzę. Tylko nie wiem, co? Miałam się nie domagać zadośćuczynienia od niego za to co mi zrobił?!

- No ale to nie był on!

- Lecz wtedy tego nie wiedziałam, do jasnej cholery! - Przekleństwo i ekspresja z jaką je wyraziła, pozwoliła Marcie odzyskać panowanie nad sobą, bo czuła, że lada moment znów się rozklei.

- No... Był niezły ubaw we firmie, kiedy to wszystko wypłynęło na wierzch. - Agnieszka jakby nie pamiętała do kogo to mówi.

- Aga!!!

- Przepraszam Marta, ale rozmawiamy szczerze, nie? Więc ci mówię, że dopiero kiedy szefostwo się wnerwiło i Kamil odszedł, pojęliśmy jak poważna to sprawa.

- I to ma mnie pocieszyć?

- Nie. Nic nie jest w stanie cię pocieszyć, ale przecież nie to jest tobie potrzebne. Nawarzyłaś niezłego piwa. Czas je wypić. Tyle tylko, że po tym musisz otrzeć usta, beknąć na zdrowsze trawienie i ruszać dalej.

- Beknąć?! - Ta fraza autentycznie zwała Martę z nóg. Zaiste, Agnieszka chociaż używa niecodziennych porównań, trafia nimi w samo sedno. Zaczynają się śmiać obie, niemal spazmatycznie, jak para głupiutkich podlotków. Marcie przemyka przez głowę konkluzja, że takich właśnie oczyszczających momentów brakowało w jej dotychczasowym życiu. Tłamsiła w sobie wszystkie niepowodzenia, porażki i potknięcia. Dusiła w sobie poczucie krzywd i niespełnienia, wierna hołdowanej przez siebie zasadzie, że musi być twarda i odporna na wszelkie przeszkody. Kumulowała w sobie stres, który w końcu doprowadził do prawdziwej katastrofy! Człowiek musi mieć kogoś obok siebie, po to aby mieć z kim dzielić się radościami, a zwłaszcza po to żeby szukać wsparcia i pocieszenia w chwilach zwątpienia. Marta nie miała nikogo takiego. Dziś już wie, że to był błąd.

- Skrzywdziłam Kamila...

Momentalnie zapadła cisza.

- Skrzywdziłam go, jak jeszcze nigdy nikogo nie skrzywdziłam!

- Tak, Marta... - Agnieszka nie zamierza zaprzeczać. - Ale on ma wprawę... Poradzi sobie, choć żal mi go w dwójnasób.

Milknie zaraz jakby w przeświadczeniu, że teraz to ona mówi zbyt dużo.

- Nie rozumiem? - Marta czeka na dalszy ciąg, który by jej wyjaśnił pewne kwestie, bo chyba nie bardzo rozumiała kontekst.

Ale nie ma odpowiedzi. Marta nie wie czy drażyć ten temat, czy lepiej nie wystawiać na próbę nowo pozyskanej sympatii, bo przecież przyjaźń to nie była. Jeszcze...

- Zaparzyć jeszcze kawy? - Ratuje sytuację. Zrywa się z kanapy, wymuszając tym na gościu reakcję. Agnieszka przez chwilę milczy, a później mówi:

- Jak już się tak wrywasz, to wołałabym herbatę.

- Dobrze - Marta prawie biegnie do kuchni, byle tylko być jak najdalej od niej, byle jakoś pokryć zmieszanie ich obu, a zwłaszcza Agnieszki. Marta nie wie co jest tego przyczyną, ale czuje, że to ma związek z Kamilem. Tylko jaki?

- Poproszę zieloną, jeśli masz! - dogania ją w kuchni głos. - I parzoną tak po domowemu, w kubku...

Dziwne jak tego typu szczegóły mogą sprawiać przyjemność. Odstawiamy na bok konwenanse i gościmy się jak dobrzy znajomi, by nie rzec - rodzina. Marcie podobały się te nowe dla niej relacje w kontaktach z innymi ludźmi, tak jakby tęskniła podświadomie do tego wszystkiego. Niby takie nic, a potrafi mocniej człowieka dowartościować niż najbardziej wyelegantowane spotkanie. Marta dotąd nie podejrzewała siebie o takie drobnomieszkańskie odruchy, zawsze postrzegając swoją osobę jako tę, która potrafi zachować dystans do wszystkiego. Dziś jak widać tęsknota za prostymi odruchami była zakorzeniona bardzo głęboko. I chociaż walczyła z tym dzielnie, w końcu się poddała i nie miała z tego tytułu żadnych wyrzutów. Wręcz przeciwnie! Czuła, że dopiero teraz żyje swoim życiem! Albo życiem za jakim tęskniła... Choć sama temu zaprzeczała.

- Mam zieloną. Wolisz z torebki czy liściastą?
- Liściastą! Sypaną prosto do kubka.
- Też tak lubię! - To nie była prawda, zawsze parzyła sobie w czajniczku i piła dolewając sobie z dzbanka. Ale zabieg się chyba udał, wróciła atmosfera porozumienia, a przynajmniej tak się Marcie zdawało.

11.

Kiedy już każda wzięła w dłonie kubek i rozsiadły się wygodnie na swoich miejscach, Marta upiwszy pierwszy gorący łyk naparu, odezwała się:

- Głupio wyszło z Kamilem...

Zawiesiła głos w nadziei, że Agnieszka podejmie wątek. Ale ta, jak na nią dziwnie milcząca, siedziała i całkiem bez skrępowania siorbała herbatę. Takie zachowanie jeszcze nie tak dawno zdyskredytowało by Agnieszkę w oczach Marty, lecz dziś taki pokaz złego wychowania stał się bardziej gestem tego iż gość czuje się u niej niemal jak w domu, niż powodował nawrót starych uprzedzeń. Marta pochlebiała sobie, że to dobry znak.

- Nie wiesz przypadkiem dokąd wyjechał Kamil?

Agnieszka kiwa przecząco głową nadal milcząc.

Marta zaczynała się czuć cokolwiek nieswojo.

- To się odbyło tak szybko. - Wreszcie Agnieszka przemówiła. - Nie było czasu na pożegnania...

Przez chwilę Marcie wydało się, że głos Agnieszce się załamał. Zupełnie jakby się wzruszyła. A potem nagle Marta zrozumiała!

- Rany! Aga! Ty go kochasz!

- Od zawsze... Kochałam go od zawsze. - Wyznanie to musiało jednak ją sporo kosztować. Tym bardziej przy Marcie, swojej rywalce. Co prawda Marta zupełnie była nieświadoma tego faktu, ale to nie zmieniało sytuacji.

- Musisz mnie nienawidzić.

- Dlaczego?

- Bo tyle czasu stałam ci na drodze. On się za mną uganiał, ja go lekceważyłam, a ty pewnie cierpiałas z boku...

- Nie. To znaczy coś w tym jest. Ale kiedy ciebie nie było u nas, także mnie nie chciał! - Tym razem w jej oczach zaszklily się łzy.

- Przykro mi, Agnieszka... Ale chyba to nie był facet dla ciebie?

- Co ty tam wiesz!

- W sumie tak. Jak dla mnie ta jego opinia... - Marta celowo nie dokończyła.

- Mylisz się co do niego! - W tym proteście było coś więcej niż tylko zaślepienie zakochanej kobiety, gotowej bagatelizować wady faceta, który był jej bliski.

- Nie rozumiem? Rozwód, ciągle nowe romanse... A ty go idealizujesz!

- Nie! Nic o nim nie wiesz!

- Nie wiem, bo nikt mi niczego nigdy nie wyjaśnił. Zresztą, nie potrzebowałam tej wiedzy, aby się zorientować jaki z niego facet.

- Właśnie! Ty i to twoje zadufanie, że wiesz wszystko!

- Nie wszystko - Martę dotknęła ta uwaga. - Ale jeśli jest inaczej, to wyprowadź mnie z błędu. Być może jednak twoje do niego uczucie nie pozwala ci obiektywnie go ocenić...

Po tym zdaniu w pokoju znów zapadła cisza. Rozmowa zaczynała się rwać, nie porozumienia i sympatii znikła, a jej miejsce zajęło dawne uczucie dystansu.

- Od dawna się znaliście? - Marta podjęła ostatnią próbę wskrzeszenia rozmowy.

- Od czasów studenckich - niemal machinalnie odpowiedziała Agnieszka.

Marta nie wiedziała czy dalej brnąć, czy może lepiej zakończyć ten temat, lecz ona sama była ciekawa tej historii. Co prawda nie spodziewała się usłyszeć niczego innego niż to co sama wiedziała, ale dobrze by było wreszcie dowiedzieć się tego od innych. Usłyszeć potwierdzenie swych przypuszczeń, bo Marta nigdy przecież się nie myliła w ocenie ludzi.

- Poznaliśmy się tuż po rozpoczęciu roku akademickiego. - Agnieszka rozpoczęła swą opowieść zapatrzona gdzieś w głąb siebie, jakby próbowała odtworzyć dawne obrazy z jak najwierniejszą dokładnością. - Zakochałam się od pierwszego wejrzenia! Marta, znasz to uczucie?

Nie, Marta nie wiedziała o czym mówi Agnieszka. Nic takiego jej się nie przydarzyło. Może dlatego, że nie dopuszczała takiej możliwości do siebie. Nigdy...

- Lecz on traktował mnie jak kumpla. - Agnieszka nie dostrzegła braku odpowiedzi na pytanie, a może nieco złośliwie spytała się retorycznie. - Zwierzał mi się ze swych marzeń, pragnień i planów na przyszłość. Wyobrażasz sobie jak się czułam wiedząc, że nigdy nie będę częścią tych zamierzeń? To było okropne! Cierpiałam w beznadziejnej miłości, a jednocześnie nie potrafiłam się od niego oddalić. Byłam całkowicie uzależniona od niego! Ileż to nocy przepłakałam...

- I nigdy nie próbowałaś mu powiedzieć, co do niego czujesz? - Marta czuła się w obowiązku zadać to pytanie. Choćby po to, aby pokazać Agnieszcze, że słucha uważnie. Tym bardziej, że opowieść ją zaciekała.

- Z początku nie. To nastąpiło znacznie później... I tak sobie żyliśmy obok siebie. Przez pierwszych kilka miesięcy za każdym razem, gdy się umawiał na randki, ja cierpiałam. A jest taki przystojny! Na brak kandydatek nie narzekał, ale wciąż tak naprawdę by sam. To były krótkie znajomości, na jeden wieczór lub co najwyżej parę tygodni. Później przywykłam. Doszło nawet do tego, że sama mu stręczyłam kochanki. - na to wspomnienie, Agnieszka się gorzko uśmiechnęła. - Dasz wiarę? Byłam tak blisko niego, że wszystkie napalone idiotki szukały u mnie protekcji. A ja jak ta głupia pomagałam im, byle tylko on był szczęśliwy. Niewiarygodne jak można być do tego stopnia zaślepionym?!

Agnieszka na moment przerwała aby się napić z kubka, a Marta pomyślała, że to niemal nieprawdziwe, bo ona w życiu tak by nie postąpiła. A już na pewno nie dla faceta! I to którego by kochała. Ale przecież ona nigdy nikogo nie kochała, więc skąd może wiedzieć jak by postąpiła? Może Agnieszka wcale nie była taka śmieszna w tym swoim postępowaniu? Kochała i z tej miłości była gotowa do wszelkich poświęceń, byle tylko Kamil czuł się szczęśliwy. Pokręcona logika, ale cóż prostego i logicznego jest w uczuciu?

- I jakoś tak to trwało. - Agnieszka ciągnęła dalej. - A później poznał Weronikę. I tym razem on wpadł po uszy! Zakochał się jak młokos...

- I co?

- Nic. Wykorzystała go.

- Jak to?

Agnieszka sprawiała wrażenie, jakby to pytanie wyrwało ją z jakiegoś transu, nagle zamilkła. Zupełnie jakby zdała sobie sprawę, że powie coś za dużo.

- Ale przecież wzięli ślub! - Marta z naciskiem próbowała zagaić opowieść ponownie.

- Wzięli...

- A potem się rozwiedli! Albo bardziej właściwie byłoby powiedzieć, że to żona się rozwiodła z Kamilem.

- Nie, mylisz się. To Kamil dał jej rozwód. - zaprzeczyła Agnieszka.

- Gadanie! Zdradzał ją na każdym kroku! - Marta była pewna, że dotarła do sedna.

Rozumiała, że Agnieszka widziała Kamila przez pryzmat swojego do niego zaślepienia, lecz dla niej ta sprawa była jasna. Któż kobieta zniosłaby takie zachowanie swego męża?!

Agnieszka spogląda na Martę i przez chwilę ta czuje się jak na przesłuchaniu. Podobny wzrok miał Widuch, kiedy składała swe zeznania w celu pogrążenia Kamila. Już wtedy zdawał się wiedzieć, że kłamie...

- Nie zaprzeczysz, że ją zdradzał?! - pyta napastliwie, jakby w geście samoobrony.

- Nie. Nie zaprzeczę - potwierdza Aga.

- Więc?

- Nie ma żadnego więc... - Na ustach Agnieszki błąka się drwiący uśmiezek znamionujący wyższość z jaką w tej chwili traktuje Martę. - Jak widzę, twój osąd co do Kamila jest ostateczny, co?

- Ja się nie mylę w ocenie ludzi. - Nawet Marta usłyszy jak to brzmi zarozumiale, ale przecież tak jest w istocie. - A ty, wybacz, ale jesteś zaślepiona i nie dostrzegasz ciemnych stron Kamila. A ma ich bez liku! Opowiadasz mi tę historię i coraz bardziej się przekonuję, że Kamil to zarozumiały, narcystyczny i w pełni egoistyczny dupek! Czyli tak jak go widziałam bez tych różowych okularków, które tkwią na twym nosku.

Dobitne stwierdzenie zawisło pomiędzy nimi i Marta spostrzegła, że chyba przekroczyła granicę ich delikatnej sympatii. I wystraszyła się, że utraciła to uczucie jeszcze zanim na dobre je poczuła na sobie.

- Zawsze wiesz najlepiej, nie? - Agnieszka patrzy w oczy Marcie i nie zamierza ich spuścić. Lecz to pytanie świadczy także, że jeszcze Marta nie utraciła nowej przyjaciółki.

- Może nie zawsze, ale w tym przypadku na pewno!

- Wszystko to iluzja...

- Nie bardzo rozumiem?

- No właśnie, nie rozumiesz... Ale nie przeszkadza ci to wypowiadać sądów ostatecznych.

- Aga! Daj spokój... - Marta wyciąga ręce w geście pojednania. - Wciąż go kochasz, co? Po tylu latach, po tych wszystkich upokorzeniach ty wciąż gotowa byłabyś pójść za nim wszędzie!

Dla Marty to niepojęte! Ona nigdy nie potrafiłaby aż tak się poddać nikomu i niczemu. I miała rację... Po co tak się angażować? Komu to ma służyć? Bo na pewno nie jej. Agnieszka była najlepszym przykładem, jak można oberwać od innych i to na własną prośbę!

- Marta, ty nigdy tego nie zrozumiesz...

- Zgadzam się, nie w moim stylu takie zachowanie. Ale wróćmy do Kamila... Co się wydarzyło, że się ożenił?

- To co zwykle... Któregoś dnia Weronika mu oświadczyła, że jest w ciąży!

- Przecież jest bezpłodny?!

- Ale wtedy nikt o tym jeszcze nie wiedział. I wbrew opinii jaką masz o nim podjął wyzwanie. Wzięli ślub i jakoś ciągnęli ten wózek.

- Czyli kiedyś potrafił być odpowiedzialny, szkoda, że przez krótką chwilę...

Agnieszka zignorowała te uwagi.

- Niestety, stracili to dziecko. Weronika poroniła. Na szczęście...

- Na szczęście?! Jak możesz być tak nieczuła?! Rozumiem, że tkwiła w tobie zazdrość, ale...

- Posłuchaj do końca, Marta... Weronika to była wyrachowana zdzira. Polubiłabyś ją! Na każdym kroku dawała odczuć Kamilowi, że to on jest całkowicie winny. Pomiatała nim, a on znosił to cierpliwie, kładąc na karb jej humorów ciężę. Ty wiesz co czułam, kiedy to widziałam?! A widziałam wiele, jako przyjaciółka domu niemal mieszkalam z nimi... Nieważne. A kiedy stracili to dziecko, to rozpętało się istne piekło!

- I wtedy Kamilek pękł i poszukał sobie ukojenia w ramionach innej? - Marta udala, że nie dosłyszała uwagi o jej charakterze. W sumie to Agnieszka miała rację, pewnie by sobie przypadły do gustu obie z Weroniką, przynajmniej jeśli wziąć pod uwagę tamtą dawną Martę...

- Nie. Nie pękł. Pewnie i tak nie uwierzysz, ale bardziej czulego i kochającego faceta nie widziałam nigdy! Jakże ja zazdrościłam Weronice! A ona i bez tego mu urzędowała wciąż nowe awantury. Wyszło na to, że to jego obwiniała za stratę dziecka... Ale w końcu jakoś się uspokoiła. Tylko na chwilę, co prawda.

Agnieszka dopiła jednym haustem herbatę i odstawiła pusty kubek na stół.

- Jeszcze jedną? - pyta Marta wskazując palcem na kubek.

- Nie, dziękuję.

- I co dalej? - pogania Agnieszkę kolejnym pytaniem. Zupełnie jakby oglądała telenowelę w telewizji. Niby banalna treść, a wciąga...

- Kamil harował jak wół. Praca, studia, rodzina. Gaśł w oczach. A Weronice zachciało się kolejnego dzieciaka. Miała chyba obsesję na tym punkcie. Lecz nie mogła zająć. Zaczęła się leczyć, później namówiła Kamila na wizytę u specjalisty. Chłopak przechodził katusze, ale trwał dzielnie: wszystko dla ukochanej kobiety. A ja stałam z boku, wspierałam ich oboje a zwłaszcza Kamila i sama cierpiałam nie mniej... A potem okazało się to, co dziś wiesz już i ty. Że Kamil nie może mieć dzieci...

- Więc tamto dziecko nie mogło być jego?

- Nie mogło. Weronika naciągnęła go na dzieciaka. Prawdziwy tatuś umył rączki, albo nawet nie wiedziała kto nim jest. Weronka miała opinię dość swobodnej dziewczyny. Jej moralność była, jakby to powiedzieć, wyzwolona...

- A mimo to Kamil się z nią ożenił? - W głosie Marty czuć było autentyczny podziw. I coś paskudnie znajomego zajaśniało w jej głowie...

- Zakochany - padła lakoniczna odpowiedź. - A później zaczął pracować w „Projektach Marzeń”. Załatwił etat także i mnie. Jakoś tam żyliśmy obok siebie, zbliżyliśmy się jeszcze bardziej, ale wciąż to nie wychodziło poza obręb przyjaźni, niestety... Traktował mnie jak swoją ostoję i bał się chyba rozczarowań jakie mu dawały kobiety. Mówił, że zbyt szanował to co nas łączyło, by zepsuć to wszystko jedną nocą. A ja bym dała wszystko za tę noc...

- I wtedy zaczął szaleć? Panienci co noc?

- Co noc to nie, ale rzeczywiście kobiety przechodziły przez jego łóżko jak przez promenadę. A raczej on przechodził przez ich łóżka... W końcu jakie to ma znaczenie?

- A Weronika?

- Wiesz Marta, tylko ja wiem, że on nie jest taki. Mimo tego co ona mu zrobiła, on kochał ją na tyle, że chciał aby to wszyscy myśleli, że to jego wina. Zdradzał ją tak długo iż każdy uwierzył, że jest draniem. Zwłaszcza jego rodzina. I jej. Z powodu jego rozlicznych przygód dostała rozwód i wszystko co tylko zechciała.

- Więc to wszystko zrobił dla niej?!

- Tak. Jako fasada było świetne! Tylko ja wiedziałam jak jest naprawdę. Chyba nawet Weronika nie domyślała się tego. Ona także uwierzyła w to, co jej pokazał. Gdyby go kochała choćby w małej części tą miłości jaką kochał on - zrozumiałaby... A tak, cóż...

- Niewiarygodne! - Tylko na taki komentarz było stać Martę.

- Mówiłam, że go nie znasz. I że bardzo się mylisz...

- Istotnie, mówiłaś...

- A wiesz co w tym jest najsmutniejszego?

- Nie.

- Że ten kamuflaż go zgubił.

- Nie rozumiem? - Jak na osobę z jej ilorazem inteligencji zadawała zbyt dużo pytań świadczących o niewielkiej bystrości.

- Pewnego dnia pojawiłaś się ty! I Kamil ponownie zaczął tonąć. A ty go z premedytacją odtrącałaś...

- Nie z premedytacją! Po prostu go nie chciałam. - Czuła się w obowiązku wyjaśnić Agnieszce swoje pobudki.

- Myślisz, że miało to dla niego jakieś znaczenie? Zakochał się w tobie po uszy!
- A ty znowu cierpiałaś?
- Tak, bo widziałam co z ciebie za kobieta. A mówiąc szczerze byłam pewna, że prędzej czy później staniesz się dla niego kolejną Weroniką...
- I nie pomyliłaś się!
- Nie. Ale cóż mi ta wiedza dała? Nie chciał mnie słuchać. Pierwszy raz się poróżniliśmy. On mi zarzucał zazdrość i zaślepienie, a to właśnie jemu przydałyby się okulary wtenczas! I wyszło na moje... Satisfakcja przez łzy, cholera jasna!
- I Agnieszka straciła kontrolę nad sobą i rozplakała się. Marta, zrazu niepewnie, ale później już całkiem zdecydowanie przysunęła się do niej i objęła za ramiona. Chwilę Agnieszka pochlipała wtulona w Martę, a kiedy się już opanowała na tyle, że wytarłszy chusteczką powieki, obdarzyła Martę wdzięcznym uśmiechem.
- Przepraszam cię...
- Nie przepraszaj. Nikt nie wie jak to jest nie mieć nikogo bliskiego w takich chwilach. A i dla mnie to wiele znaczy, Aga. Że mogę być dla kogoś wsparciem, choćby po to aby mu zasmarkać rękaw.
- Zapaskudziłam ci bluzkę?! - Agnieszka odsunęła się gwałtownie wyraźnie wystraszona i zakłopotana.
- Uspokój się! To tylko przenośnia, głuptasie... - Marta ją powstrzymuje. - Czyli jednym słowem niemal kalka wydarzeń sprzed lat.
- No tak, tylko z tą różnicą, że tamta go nie oskarżyła o gwałt!
- Nie przypominaj mi! Musiałaś się niezłe bawić moim kosztem wiedząc, że Kamil nie może być ojcem mojego dziecka.
- Nikt nie wiedział co się dzieje aż do końca, Marta! Afera wybuchła w dniu, kiedy policja zawitała do biura... A Kamil postąpił zgodnie ze swymi zasadami. Usunął się w cień i nie zażądał żadnych odszkodowań. A należało mu się jak żadnemu.
- Należało się, masz rację. Ale on zrobił coś znacznie większego...
- Jak to?
- Przyszedł do mnie i chciał uznać to dziecko.
- Co takiego?! Wiedząc, że to niemożliwe on mimo to chciał wziąć odpowiedzialność na siebie?
- Tak. Tylko, że ja mu to uniemożliwiłam... A potem - już wiesz co było potem...
- Nie do wiary! Żeby dwa razy otrzeć się o ojcostwo, nie móc jednocześnie splodzić potomka! Cóż za przewrotność losu...
- Zapadło nagle milczenie. W zasadzie Marta dowiedziała się już całej historii Kamila. Bardzo się myliła co do niego. Ale teraz na naprawę czegokolwiek było zbyt późno.
- Niezła ze mnie zołza, co?
- W każdym razie mam nadzieję, że to już przeszłość.
- No tak, dostałam nauczkę...
- Siedzą naprzeciw siebie i spoglądają jedna na drugą.
- Kamil to już przeszłość - zaczyna Agnieszka. - Myślę, że nie będzie to przeszkoda w naszych kontaktach?
- Nadal chcesz spółki ze mną? - Marta nie może uwierzyć, że mimo tego wszystkiego ktoś chce związać z nią swój los.
- Nie znam osoby bardziej obrotnej od ciebie. W parę tygodni zorganizowałaś zespół i osiągnęłaś najwyższe obroty w firmie! To nie przypadek...
- No tak, ale...
- Nie ma żadnego ale, Marta!
- To nie takie proste.
- Wiem, że nie. Ale ja jestem zdecydowana, a ty zdaje się, że nie masz wyjścia...

- Jesteś pewna siebie! Ale masz rację: nie mam za bardzo wyjścia.

- Więc jak będzie?

Marta wstaje i podchodzi do okna. Deszcz zaczął ustawać. Przez chmury nieśmiało wygląda słońce. A ona ma w głowie mętlik!

- Nie wiem czy dam radę, Aga...

- A rodzice? Może mama by ci pomogła, przynajmniej w pierwszym okresie?

Marta się krzywi na samą myśl, że musiałyby tłumaczyć wszystko rodzicom. Że musiałyby im pokazać jak bardzo ich zawiodła, jak bardzo poległa w starciu z życiem i to na swoje wyraźne życzenie! Poddać się ich osądowi i skazać na banicję. Chociaż, w końcu i tak będzie musiała im powiedzieć. Kiedyś... Ale jeszcze nie dziś. Być może, kiedy ten szalony pomysł Agnieszki się sprawdzi i będzie mogła cokolwiek okazać rodzicom, może wtedy się odważy pokazać im wnuka. W głębi serca Marta była tchórzem.

- Nie, rodzice mają inne plany - bardzo uważa, aby ton głosu nie zdradził jej.

Agnieszka domyślnie kiwa głową.

- A ojciec dziecka? - wciąż draży drażliwy temat.

- Co ojciec?

- No dziecko ma ojca, choć może nie tego co chciałaś - nieco złośliwie uściśla Agnieszka.

- Nie. To nie wchodzi w rachubę. A zresztą... Niech on sam mnie odszuka. Jeśli jest zainteresowany, to niech szuka. Chociaż, jeśli chodzi o mnie, to raczej niech sobie da spokój...

- Czyli chcesz sama wychowywać?

- Od samego początku tak chciałam - zakończyła nieprzyjemny dla siebie temat Marta.

- Nie szkodzi. Damy sobie radę. - zapewnia ją dziarsko Aga. - Marta? Co mi odpowiesz?

- A muszę dziś?

- Nie chcę nalegać, ale im szybciej tym lepiej.

Odwraca się ponownie do okna. Ulewa całkiem ustała. Nad miastem na niebie rozciągnęła się prześliczna tęcza. Marta przez chwilę kontemplowała jej kolory. Wszystkie kolory. Wydała się Marcie przerośniętą jej życia, od jasnych barw jej dawnych dni, gdzie wydawało się, że wszystko jest takie proste i przewidywalne; aż do dzisiaj, kiedy przyszłość jawiła się w ciemnych kolorach. Choć gdyby się tak zastanowić to może jest zupełnie na odwrót? Że to właśnie wtedy tkwiła w jakimś koszmarnym śnie, a teraz się zbudziła i zaczyna nowe życie? Trudne, ale jednak paradoksalnie bardziej kolorowe niż dotychczas.

- A masz jakiś biznes plan albo coś w tym rodzaju? - zadaje pytanie Agnieszce wciąż przypatrując się zjawisku za oknem.

- Mam! Ale nie przy sobie. - słyszy błyskawiczną odpowiedź. - Ale jeśli chcesz to mogę zaraz ją przywieźć...

- Nie Agnieszka, nie trzeba. Umówimy się na inny dzień, to ją przedstawię...

- Rany! Marta!!! - wrzeszczy Agnieszka, zupełnie jakby wygrała milion w Totka.

Podbiega do Marty, chwytą w objęcia i kręci się z nią w kółko jak szalona.

- Przestań! Bo zemdleję! Kręci mi się w głowie...

- Przepraszam, zapomniałam o dziecku - Agnieszka zatrzymuje się strapiona. - Ale to z radości...

- Dobrze już, dobrze. Tylko już mnie zostaw - Marta śmieje się. Ją samą cieszy ta bliskość drugiej osoby. To poczucie więzi z kimś innym.

- O, tęcza! - Agnieszka zauważa barwną wstęgę za szybą. - Jaka piękna. Wiesz? Zawsze mi się tęcza kojarzy z dzieciństwem. Wychowałam się na wsi, może dlatego? - dodaje tytułem wyjaśnienia, ale po co? Nie ma to żadnego znaczenia gdzie się Agnieszka wychowała. A zachwyty tęczą wcale nie jest ani dziecinny, ani dowodzi braku miejskiego obycia.

Dotąd tęcza dla Marty nie miała żadnego znaczenia, zjawisko atmosferyczne i tyle. Choć, gdzieś w zakamarkach pamięci było obecne wspomnienie z jej dzieciństwa. Coś w tym musi

być, że takie rzeczy kojarzą się nam z najszcześniejszymi dniami naszego życia. Przynajmniej teoretycznie najszcześniejszymi...

- Tak, jest piękna - Marta potwierdza. - Mam pomysł!

Agnieszka odsuwa się od niej nieco przestraszona tym nagłym okrzykiem. Patrzy z obawą na Martę.

- Nie patrz tak na mnie! Po prostu pomyślałam sobie, że mogłybyśmy wyskoczyć na miasto coś zjeść. Co sądzisz?

- Marta! To świetna myśl.

- To dobrze. Zjemy coś dobrego, ja stawiam - zaznacza szybko Marta - a potem się umówimy co dalej. Czekaj nas dużo do obgadania.

- Marta cieszę się!

- Aga! Zgodziłam się warunkowo, nadal nie jestem pewna czy to dobry pomysł. - Studzi zapał gościa.

- Zobaczysz, już ja cię przekonam. - Nie słychać wahania w głosie Agnieszki. Ten nieco dziecinny zapał trochę drażni Martę, ale także przyciąga jak magnes. To takie inne od tego co dotychczas robiła, a może nie inne tylko w odmienny sposób zaplanowane i przeprowadzone. Marta nigdy nie działała pod wpływem chwili czy impulsu, zawsze wszystko miała przemyślane i starannie poukładane w głowie. Jednego była pewna, jeśli zgodzi się na spółkę z Agnieszką, czeka ją zupełna rewolucja w postępowaniu. Ale... Tak czy siak, będzie musiała zmienić swoje postrzeganie świata. W zasadzie to już się zmienia...

- Dobrze, już dobrze ty wariatko! Ubieram się i idziemy jeść. Jestem głodna za dwoje...

Wybuchają razem śmiechem.

Po chwili zjeżdżają windą na dół. Na parkingu odszukują auto Marty i zajmują miejsca w środku.

A nad miastem wstążka tęczy dumnie panuje na niebie. W pełnym słońcu wyraźnie widać jej całe piękno.

Wszystkie barwy. Wszystkie barwy tęczy...

Mosina, 23.10.2006 r. - 15.02.2010 r.

* - fragment utworu „Do szpiku kości” zespołu Banda i Wanda,

** - fragment powieści „Przeminęło z wiatrem” Margaret Mitchell,

*** - cytata z serialu „Dom” w reżyserii Jana Łomnickiego.

Wydano przy współpracy z Forum Literackim
Interebook.pl



INTEREBOOK.PL